



Diana Palmer



*Deszczowa
piosenka*

Tytuł oryginału: Unlikely Lover

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Ward Jessup podszedł do stołu. Najwyższa pora na kolację, pomyślał, zacierając ręce. Jego zielone oczy lśniły niczym ciemne szmaragdy, a gęste, kruczoczarne włosy okalały twarz o rzymskich rysach. Sylwetkę miał smukłą i poruszał się z wrodzoną elegancją odziedziczoną po brytyjskich przodkach, choć był na wskroś Amerykaninem z solidną domieszką krwi Czirokezów, która zapewne była odpowiedzialna za mrukliwość, upór i uszczypliwość, rzucające się w oczy cechy jego charakteru.

– Oho, ależ rozpiera cię duma – rzuciła kąśliwie Lillian, stawiając na stole półmiski z wołowiną, ziemniakami i drożdżowymi bułeczkami.

– A uważasz, że nie mam powodu? Przecież wszystko układa się dobrze. Nawet babcia niedługo wyjeżdża. Czyżby ci jeszcze tego nie powiedziała? Zatrzyma się na jakiś czas u mojej siostry.

– Belinda na pewno już szaleje z radości – skomentowała z sarkazmem. – Musisz być ze mnie naprawdę zadowolony, skoro tak szybko zareagowałeś na moją prośbę, a raczej nieustające modlitwy.

– A mnie się zdawało, że świetnie się dogadujecie... – Z kpiącym uśmiechem puścił do niej oko, po czym sięgnął po półmisek z plastrami rostbefu.

– Oczywiście, pod warunkiem, że uwijam się jak fryga, trzymam język za zębami i udaję, że kocham przygotowywać posiłki z pięciu dań.

– Niestety musisz się liczyć z tym, że prędzej czy później ona tu wróci.

– Żaden problem, po prostu odejdę i sprawa załatwiona. – Głos Lillian stał się nieco szorstki. – Była tu zaledwie kilka miesięcy, a ja marzę tylko o tym, by zostać kucharką u Wade'a.

– Uważaj, co mówisz, bo skończysz jako pomagierka niani przy jego bliźniętach.

Lillian uśmiechnęła się, po czym zaczesła do tyłu palcami siwe włosy, które dziwnie pasowały do garbatego nosa, długiej brody i świdrujących, czarnych oczek.

– Lubię dzieci i nie mogę pojąć, dlaczego sam się nie ożenisz i nie zrobisz sobie własnych.

Ward uniósł w zdziwieniu idealnie wyprofilowane brwi. W ogóle cały był jak z obrazka, dlatego na jedno skinienie mógł mieć i u swych stóp, i w łożu cały tabun kobiet. Jednak randkował tylko sporadycznie, a już o sprowadzaniu przyjaciółek do domu w ogóle nie było mowy. Nigdy też poważnie się nie zaangażował, w każdym razie od czasów Caroline, która już prawie zaciągnęła go do ołtarza, by w ostatniej chwili zrobić w tył zwrot i wyjść za Buda, kuzyna Warda. Może myślała, że skoro ma to samo nazwisko, będzie równie wspaniałą. Małżeństwo trwało jednak tylko kilka tygodni, dopóki Bud nie odkrył, że Caroline interesuje tylko jedno, a mianowicie ta część jego spadku, którą skłonny jest wydać na śliczną żonusię. Gdy się z nią rozszedł, cała we łzach przybiegła do Warda, ale że przejrzał już na oczy, po prostu wystawił ją za próg.

To był ten pierwszy, a zarazem ostatni raz, kiedy połączyło go żywsze uczucie z płcią piękną.

– Na litość boską, po co mi dzieci? Popatrz tylko, co się stało z Tysonem Wade'em! Cieszył się kawalerskim życiem, zarabiał szybko i dużo, a gdy tylko pobrał się z tą modelką, zaraz wszystko stracił...

– Ale potem wszystko odzyskał, i to z odsetkami! – przerwała mu z oburzeniem Lillian. – Powiesz jeszcze jedno złe słowo o pani Erin, a poleję cię wrzątkiem.

– No cóż... – Ward wzruszył ramionami. – Owszem, jest ładna, a te ich bliźnięta...

– Przypominają Tysona, i to bardzo. Rzeczywiście się zmienił nie do poznania, a przecież był brzydki jak noc, sam jak palec i przykry jak diabli. Przyznaj zresztą, że też na tym zyskałeś, a zawdzięczasz to nie komu innemu, jak tylko Erin. Przecież to dzięki niej pogodził się z tobą i wydzierżawił tę działkę z ropą naftową, na której tak bardzo ci zależało.

– To prawda, walczyłem o nią od lat. Można więc śmiało powiedzieć, że miłość czyni cuda! Ale dość już gładzenia o Tysonie, bo na samą myśl o nim dostaję gęsiej skórki. Pogadajmy o czymś innym.

– Dobrze. – Lillian oparła łokcie o stół, złączyła dłonie jak do modlitwy, aż po chwili wahania powiedziała niepewnie: – Mam problem...

– Wiem, jest nim moja babcia, ale przecież mamy to już jakby z głowy.

– Większy...

– To znaczy jaki? – Widział, jak bardzo jest zatroskana.

– Chodzi o najstarszą córkę mojego brata, Marianne... Pewnie pamiętasz, że Ben zmarł w zeszłym roku?

– Tak, a jego żona zmarła parę lat wcześniej.

– No właśnie... – Lillian smutno pokiwała głową. – Niedawno Marianne i jej najlepsza przyjaciółka, Beth, wybrały się na wyprzedaż do centrum handlowego i w drodze powrotnej, gdy szły przez parking, zaatakował je jakiś bandzior. To było koszmarnie przeżycie, wciąż w nich siedzi, taka głęboka ryna na psychice – powiedziała z naciskiem, bacznie obserwując jego reakcję.

– Mam nadzieję, że twoja bratanica ma się już lepiej – po chwili namysłu powiedział z wahaniem.

– Fizycznie tak, ale martwię się o stan jej psychiki.

– No tak, coś takiego może na długo pozostawić ślad. – Przed oczami stanęło mu zdjęcie ukochanej bratanicy Lillian, długie ciemne włosy, łagodne błękitne oczy, owalna, niewinna twarzyczka... Uśmiechnął się przelotnie.

– Nie jest piękną, mówiąc szczerze, nie cieszy się nadmiernym powodzeniem u mężczyzn. Do tego jej ojciec był despota, co skutecznie odstraszało konkurentów, gdy jeszcze z nim mieszkała. – Lillian westchnęła ciężko. – Biedna mała Marianne... Wyznała mi, że kiedy jakiś mężczyzna przepuszcza ją w drzwiach, oblewa się zimnym potem. Powinna gdzieś wyjechać, odpocząć, podumać nad sobą, poskładać życie na nowo.

– Biedne dziecko – powiedział ostrożnie, choć szczerze zarazem.

– Ma już dwadzieścia dwa lata. Co też z niej będzie? – Kątem oka zerknęła na chlebodawcę.

– Może powinna pomyśleć o terapii?

– Nie będzie chciała z nikim rozmawiać. Wiem, co sądzisz na temat kobiet, i nie mogę cię za to winić, ale jak miałabym w takiej sytuacji odwrócić się od bratanicy? – Wyprostowała się, jej twarz nabrała jeszcze bardziej dramatycznego wyrazu, i wyciągnęła asa z rękawa. – To dziecko nie ma już nikogo i jestem gotowa rzucić pracę, by się nią zająć.

– Na miłość boską, Lillian, chyba znasz mnie już na tyle po tych piętnastu latach? Zaproś ją, wyślij bilet na samolot, i...

– Ale ona jest w Georgii – przerwała mu – a to daleko.

– Co za problem?

– Dziękuję, to bardzo miło z twojej strony – odparła Lillian, po czym dodała z tajemniczym uśmieszkiem: – Jakoś ci to wynagrodzę.

– Chętnie przyjmę w zamian szarlotkę.

– Daj mi pół godziny. – Zachichotała i zniknęła za drzwiami.

Czuła się tak, jakby o dziesięć lat odmłodziła. Miała ochotę śpiewać i tańczyć z radości. Nie spodziewała się, że Ward tak łatwo da się złapać. A zatem etap pierwszy zakończony! Wybacz mi, Marianne, pomyślała z czułą troską i przystąpiła do snucia dalszych planów.

Ward patrzył zamyślony, jak Lillian znika za drzwiami. Targały nim mieszane uczucia. Może z upływem lat stawał się zbyt łagodny?

– Jestem taka obolała, jakbym spała na kaktusach – zaskrzeczała ze złością staruszka, która weszła do jadalni, podpierając się na lasce. Wyglądała groźnie, niczym oddział szturmowy. Miała chłodne spojrzenie zielonych oczu, obwisłe policzki i włosy w odcieniu szampana, które okalały szeroką twarz.

– Może wolisz spać w stodole na sianie? – zaproponował usłużnie Ward.
– Siano jest miękkie i wygodne.

– Jak śmiesz się tak odzywać do starej kobiety? – Zamachała laską, patrząc na niego z przyganą.

– Współczuję każdemu, kto znajdzie się zbyt blisko tej laski – skomentował ze śmiechem. – Przygotowałaś się do drogi? Całe Galveston wygląda twojego przybycia.

– Już się nie możesz doczekać, żeby się mnie pozbyć, co? – Ostrożnie usiadła na krześle obok Warda.

– Ależ skąd! Będę za tobą tęsknił jak za prawdziwą plagą.

– Ty nędzniku! Jesteś zupełnie jak twój ojciec! Życie z nim też było prawdziwym piekłem.

– Za to ty jesteś uroczą, małą, słabą kobietką...

– Dowcip też masz po ojcu, ale tego nauczył się ode mnie – oznajmiła z dumą i naląła sobie filiżankę kawy. – Mam nadzieję, że z Belindą łatwiej się dogadam niż z tobą i tą twoją jadłowitą gospodynią.

– Nic mi nie wiadomo, żebym miała zęby jadowe – prychnęła Lillian, która właśnie weszła do jadalni.

– Owszem, i w moich czasach powieszono by panią za brak subordynacji.

– W pani czasach zawisłaby pani obok mnie jako czarownica – odgryzła się Lillian i natychmiast wyszła.

– Jak możesz pozwolić, żeby się tak do mnie odnosiła? – Babcia z wyrzutem spojrzała na wnuka.

– Nie sądzisz chyba, że jestem takim bohaterem, że pójdę za nią do kuchni i dam jej lekcję dobrych manier? Trzyma tam noże i maszynkę do mielenia mięsa – oznajmił konspiracyjnym szeptem, pochylając się do babci.

– Widziałem to na własne oczy – dodał ze zgrozą.

Seniorka rodu Jessupów nie była w stanie powstrzymać śmiechu. Klepnęła dobrotliwie Warda po policzku i powiedziała:

– Jesteś zatwardziałym grzesznikiem! Po co ja się u ciebie zatrzymywałam?

– Nie umiałaś sobie tego odmówić. Lepiej coś zjedz, nie możesz przemierzyć połowy Teksasu z pustym żołądkiem.

– Jesteś pewien, że ten wieczorny lot to dobry pomysł?

– Samolot będzie mniej zatłoczony, poza tym Belinda odbierze cię ze swoim chłopakiem z lotniska. Będziesz więc bezpieczna.

– Mam nadzieję. – Babcia wbiła wzrok w prawie pusty talerz z rostbefem. – Faktycznie muszę zadbać o siebie, zanim zjesz wszystko do końca.

– Zaraz, zaraz, to była moja krowa! – zaprotestował Ward.

– Ale pochodzi od moich! Dawaj talerz, ty spryciarzu, ale już!

Ward westchnął ciężko i ze zrezygnowaną miną podał jej półmisek, mrużąc coś pod nosem, że nie lubi przegrywać. Ale tak naprawdę patrzył z radością, jak babcia cieszy się swoim małym zwycięstwem. Czasami musiał się z nią trochę poprztykać, by uchronić ją przed zbyt zbytnią zrzędlivością.

Po kolacji zawiózł babcię na lotnisko i wsadził do samolotu. W drodze powrotnej rozmyślał o Marianne Raymond i o tym, jak będzie się czuł, gdy w pobliżu zacznie się kręcić młoda kobieta. Może i ona lubi się kłócić? Była o całych trzynaście lat młodsza, czyli dla niego zdecydowanie za młoda. Miał tylko nadzieję, że podjął słuszną decyzję, której nie będzie potem żałował. Kiedyś Lillian swatała go niemal bez przerwy, co doprowadzało go do szału i wynikały z tego same kłopoty. Mimo to nie dawała za wygraną, potępiając jego wrogi stosunek do małżeństwa. Gdyby tylko zechciała go zostawić w spokoju i przestać mu matkować! Ale cóż, znała go mnóstwo lat i poczuwała się do obowiązku, by dbać o niego wedle swoich wyobrażeń.

Zjechał eleganckim białym chryslerem na autostradę, omiatając wzrokiem rozległe pola z platformami wiertniczymi. Swoimi platformami wiertniczymi! Ileż przy nich było zachodu. Ojciec marzył przez całe lata, żeby trafić na większe złoża, ale to jemu się udało. Wraz z przyjacielem poszedł na całość i wpakował w ten hazard wszystko, co miał, i wszystko, co był w stanie pożyczyć. No i się udało. I chociaż ich drogi się rozeszły, wciąż mieli w tym biznesie równe udziały, mimo że w interesach Ward z zasady kalkulował na zimno i bywał bezwzględny. Miał bystry umysł i twarde serce. Mawiano o nim, że bez skrupułów by przejął ostatni dobytek głodującej wdowy, gdyby była mu winna pieniądze. Może nie do końca taka była prawda, ale też i nie całkowite kłamstwo. Wychował się w biedzie, co babcia dobrze pamiętała i często wspominała. Matka, przez którą patrzono w okolicy z pogardą na całą ich rodzinę, znudziła się życiem na farmie i uciekła z mężem sąsiadki,

zostawiając dzieci ze zszokowanym mężem i babką. Po jakimś czasie zażądała rozwodu. Już to, że chciała rozstać się z mężem, dla mieszkańców Ravine było trudne do zrozumienia i wielce naganne, ale dlaczego również odwróciła się od dzieci? Zerwała z nimi wszelkie kontakty? W tak małej społeczności trudno było przetrwać taki skandal. Co gorsza, jakiś czas później ojciec Warda ruszył ze strzelbą w las i już nigdy więcej nie powrócił. Nawet nie zostawił pożegnalnego listu. Znaleźli go koło samochodu z zaciśniętą w ręce wstążką, która należała do jego żony. Ward nie potrafił zapomnieć tego dnia i nigdy nie przebaczył matce, że im odebrała ojca. Później, gdy wpadł w słodką pułapkę Caroline, dostał od życia ostatnią już lekcję i odtąd cieszył się złą sławą zimnego drania, który łamie kobiece serca. Cóż, miał swoje powody, by znienawidzić cały żeński ród, i gdy tylko do jakiejś ślicznotki wrywało mu się serce, przypominał sobie krzywdy wyrządzone mu przez matkę i Caroline. Z każdym dniem twardniał i robił się coraz bardziej rozgoryczony. Do dziś rozkoszował się wyrazem twarzy Caroline, gdy jej oznajmił, że drzwi są tam, a jemu jest cudownie bez niej. Próbowwała się mizdrzyć i przytulać, a jej duże czarne oczy, tak uroczo osadzone w alabastrowej twarzyczce, zrobiły się nienaturalnie wielkie. Lecz on wiedział już, że za maską piękna kryła się niepojęta brzydota, skrajny egoizm, chciwość, moralne szambo. Wiedział też, w jakiego głupca może zamienić się nawet najmądrzejszy mężczyzna, gdy wpadnie w sidła ładnej, bystrej i bezwzględnej kobiety. Nigdy więcej, powtarzał sobie jak mantrę. Skreślił na ranczo Three Forks i uśmiechnął się na widok znajomych, rosnących wzdłuż drogi dębów. Tak, dobrze mu się żyło z myślą, że nie pozostawi po sobie spadkobierców, a póki sił starczy, zamierzał się dobrze bawić. Zastanawiał się, czy Tyson Wade żałował, że oddał mu w dzierżawę pastwiska, które zaczęły przynosić tak duży zysk. Owszem, żałował, po prostu musiał być

wściekły, inna reakcja jest niemożliwa. Z Tysonem byli wrogami od dziecięcych lat, choć już nikt nie pamiętał pierwotnej przyczyny sporu. Sytuacja zmieniła się, gdy Tyson się ożenił. Złagodniał jak baranek, nie wszczynał już bójek. Zadziwiające, że tak piękna kobieta jak Erin zgodziła się za niego wyjść, zwłaszcza że nie był atrakcyjnym facetem. Ale Ward nie żałował mu szczęścia, tym bardziej że dzięki temu przejął jego ziemię. Może miał jakieś ukryte zalety, o których nikt nie wiedział. W każdym razie zapowiadał się nowy początek, w którym miał królować spokój dzięki rozejmowi z Tysonem i pożegnaniu gderliwej babci.

Roześmiał się na głos, co bardzo go zdziwiło, jako że w ostatnim czasie zdarzało się niezwykle rzadko.

ROZDZIAŁ DRUGI

Marianne Raymond nie miała pojęcia, czego ma się spodziewać po wylądowaniu na lotnisku w San Antonio. Wiedziała tylko tyle, że od Ravine dzieli ją jeszcze spory kawałek drogi i ktoś ma po nią wyjechać. Tak nagła prośba ciotki Lillian, by przyjechała, wydała się jej dziwna, musiało jej jednak bardzo zależeć, by uprzyjemniła biednemu staruszkowi, panu Jessupowi, ostatnie dni na ziemskim padole, nim odejdzie do Boga przez tę okropną chorobę. Ciocia musiała być bardzo już zmęczona ponurą atmosferą w domu, jednak Marianne to nie odstraszyło. Przeciwnie, propozycja spadła jej jak z nieba, bo od dawna marzyła o urlopie. Wiedziała od ciotki, że pan Ward chciał, by go otaczali młodzi, pogodni ludzie, bo wtedy lepiej się czuł. Pragnął też spisać wspomnienia, co również było jej na rękę, jako że miała literackie ambicje, na razie ograniczone tylko do artykułów drukowanych w lokalnej gazecie. Ale poprzysięgła sobie, że zostanie kiedyś znaną pisarką, rozpoczęła już nawet prace nad pierwszą powieścią, historią o biednej dziewczynie z miasta napastowanej przez lidera gangu. Nie tak dawno opowiedziała zarys fabuły ciotce, która wpadła w zachwyty. Owszem, poczuła się miło polechtana, zarazem jednak zdziwił ją ten entuzjastyczny aplauz ciotki, bo do tej pory nie interesowała się zbyt mocno jej karierą zawodową. Za to starała się ją zawsze wyswatać, szczególnie gdy zmarł jej ojciec. No, ale tym razem cioteczka dała mi spokój, pomyślała Marianne, bo Ward jest już wiekowy i chory, więc nieskory do żeniaczki. Odgarnęła do tyłu włosy, które według najnowszej mody ścięła na pazia, żeby ładnie podkreślały owal twarzy. Poza tym wyglądała jak dawniej, miała na sobie zwykłą sukienkę w niebiesko-białe paski i parę rzeczy na zmianę w małej walizeczce na kółkach.

Gdy rozejrzała się po hali przylotów, jej uwagę przykuł wysoki dżentelmen. Mimo skrepowania, w które wprawiali ją mężczyźni, przyjrzała mu się uważniej. Był nie tylko wysoki, ale także dobrze zbudowany i bardzo męski, co podkreślała widoczna w nim nonszalancja. Ubrany był w szary garnitur i białą koszulę rozpiętą pod szyją, na nogach miał oczywiście kowbojki, a na głowie stetsona, przez co wyglądał zarazem buńczucznie, jak i seksownie. Pewna siebie mina i stanowczość w ruchach sprawiały, że ludzie schodzili mu z drogi. Marianne pomyślała, że byłby wymarzonym bohaterem jej książki, który przywróciłby wiarę w miłość głównej bohaterce. Teraz jednak poczuła gęsią skórkę, bo ten facet szedł wprost na nią, nawet nie patrząc na boki. Zacisnęła mocno palce na uchwycie walizki, gdy stanął tuż przed nią, zmuszając, by uniosła wzrok, oczywiście jeśli mu chciała spojrzeć w twarz. Nie to, żeby była niska, wprost przeciwnie, ale gdzie jej do niego. Oczy miał zielone i chłodne, żeby nie powiedzieć lodowate.

– Marianne Raymond?

– Zgadza się. – Natychmiast poczuła przyśpieszone tętno. – A pan jest z rancza Three Forks?

– Three Forks to ja! – oznajmił, sięgając po jej walizkę. – Chodźmy!

– Nie zrobię nawet kroku! – krzyknęła, kurczowo trzymając walizkę. – Nie ruszę się stąd, dopóki się nie dowiem, kim pan jest i dokąd jedziemy!

– Hm... no tak. – Wyraźnie zdziwiła go jej gwałtowna reakcja. – Nazywam się Ward Jessup i zabieram cię do ciotki Lillian. – Teraz już był zły, choć nieudolnie starał się tego nie okazać. Wyjął z kieszeni portfel. – Wystarczy? – spytał napastliwie, pokazując prawo jazdy, lecz zaraz zrobiło mu się głupio.

– Tak, dziękuję... – A więc to jest ten podupadły na zdrowiu, odchodzący do Boga starzec?!

Ogłupiała pozwoliła, by zabrał bagaż, i podążyła za Wardem Jessupem na parking, gdzie stał ogromny, kosztujący krocie chrysler ze skórzanymi bordowymi siedzeniami.

– Niezły wóz – stwierdziła, starając się o łagodniejszy ton, choć to przecież ten facet swoim zachowaniem sprowokował ją do wybuchu.

– Wyrzuty sumienia z powodu złych manier to coś, co lubię najbardziej – odparował kpiąco. – Jadłaś już coś?

– Tak, w samolocie, dziękuję.

Gdy ruszyli w drogę, rozglądała się ciekawie. Łąki, na których pasło się bydło, mieniły się barwami polnych kwiatów.

– Sądziłam – powiedziała Marianne – że w Teksasie wszędzie jest ropa.

– Naprawdę myślisz, że te metalowe stelaże to gigantyczne pasikoniki? – odparł z uśmiechem.

– Więc tak wyglądają szyby naftowe? Myślałam, że są tak wielkie jak wieża Eiffla.

– Najpierw powstają wieże wiertnicze – wyjaśnił protekcjonalnym tonem – a gdy szczęście dopisze i znajdzie się ropę, buduje się szyby naftowe. Poszukiwania kosztują fortunę, te konstrukcje też pochłaniają masę pieniędzy...

– Nie sądzę, by pan urodził się z tą wiedzą – odparła urażona Marianne.

– To prawda. – Rzucił jej nonszalancki uśmiech.

– Owszem, prawda – rzuciła w zadumie. Jak na chorego starca wyglądał zadziwiająco młodo i zdrowo.

– Dłgie lata pracowałem na platformach wiertniczych, nim zacząłem wydobywać ropę na własny rachunek.

– Słyszałam, że to bardzo niebezpieczna praca. – Próbowała podtrzymać konwersację, spoglądając spod oka na niezwyklej profil Warda Jessupa.

Ciekawe, czy już go ktoś kiedyś namalował... Przyłapała się na tym, że się na niego zwyczajnie gapi, i przeniosła wzrok za okno, gdzie na każdym kroku swoją obecność zaznaczała wiosna.

– Coś w tym jest, choć nie zastanawia...

– Co to za drzewa? – wpadła mu w słowo.

– Jadłoszyny, na ranczu jest ich mnóstwo, ale nawet nie próbuj zrywać czy choćby dotykać liści, bo mają długie kolce.

– W Georgii nie mamy jadłoszynów, tylko brzoskwinie, magnolie...

– I urocze małe farmy bydła – zakończył prześmiewczo.

– Nie tylko, zapewniam – odparła zdecydowanym tonem. – Na przykład mamy świetnie rozwinięty przemysł turystyczny i mnóstwo zagranicznych inwestorów. – Spojrzała na aroganta hardo, wyzywająco. Nie miała zamiaru spuszczać po sobie uszu, o nie!

– Lepiej ze mną nie zaczynaj, skarbie – skontrolował ją ostro. – Miałem ciężki poranek i nie jestem w nastroju do słownych utarczek.

– Przestałam słuchać dorosłych, gdy sama taka się stałam – odparowała.

– Musisz na to jeszcze trochę poczekać, dziecinko. – Spojrzał na nią z kpiącą dezaprobatą.

– Hola, hola! – obruszyła się. – W tym miesiącu skończę dwadzieścia dwa lata.

– Brawo, a ja w zeszłym skończyłem trzydzieści pięć. Gdybyś nawet miała z pięć lat więcej, i tak dla mnie byłabyś dzieciakiem.

– Biedny, zniedołężniały staruszek. – Może i był śmiertelnie chory, choć wyglądał jak okaz zdrowia, może dręczyło go widmo zbliżającej się śmierci, ale coraz trudniej potrafiła zdobyć się na współczucie.

– Panno Raymond, jak widzę, cudowny gość zamieszka w moim ranczu. Będzie ci trzeba dać ostrej jak żyleta zupy, żebyś trzymała język za zębami.

– Chyba cię nie polubię... – mruknęła.

– Pociesz się, że ja w ogóle nie przepadam za kobietami. – Jego głos był równie chłodny, jak spojrzenie.

Marianne zastanawiała się przez chwilę, czy wiedział, po co przyjechała? Rozmawiała przecież o tym tylko z ciotką... Jednak uznała te podejrzenia za absurdalne. Przecież musiał wszystko uzgodnić z Lillian, z kolei która nie mogła działać na własną rękę. Tyle że to powitanie na lotnisku i ta rozmowa w samochodzie...

Nadaşana odwróciła się do okna, lecz zaraz zrobiło jej się głupio. Po co okazywała złe maniery? Ward Jessup zaprosił ją na swoje ranczo, do tego zapłacił za bilet, a ona była niemiła i niegrzeczna, choć przyjechała tu po to, żeby uprzyjemnić mu ostatnie dni i spisać jego wspomnienia. Nie powinna go traktować jak gderliwego tyrana.

– Przepraszam – powiedziała.

– Niby za co? – spytał zdziwiony.

– Zaprosił mnie pan, kupił bilet, a ja zachowuję się jak jędza. Ciotka Lillian wszystko mi o panu powiedziała. – Zignorowała zdumienie malujące się na jego twarzy. – Zrobię, co tylko zdołam, by nie żałował pan mojego przyjazdu. Pomogę, jak będę umiała, ale muszę wyznać, że nie czuję się zbyt dobrze w towarzystwie mężczyzn – zakończyła z nieśmiałym uśmiechem.

– Nie dziwię się. – Ward wyraźnie się rozluźnił, choć nadal pozostał poważny.

– Mhm... – Marianne domyśliła się, że ciotka opowiedziała mu historię jej życia.

– Poza tym jestem ostatnim mężczyzną na ziemi, którego musiałybyś się obawiać, bo nie interesują mnie takie dzieciaki jak ty.

Co za wkurzający facet! – pomyślała Marianne, po czym oznajmiła na jednym oddechu, a słowo gonilo słowo:

– A mnie nie interesują starzy, stetryczali teksascy nafciarze, więc i pan nie musi się mnie obawiać, szanowny panie Jessup! – Słowo „szanowny” zabrzmiało jak najgorsza obelga.

– Masz tupet – skomentował rozbawiony Ward. – Nie jestem aż taki stary...

– Założę się, że skrzypią panu stawy – burknęła.

– Tylko w zimne poranki. – Śmiał się już na całego, wjeżdżając na drogę prowadzącą do Three Forks. Zerknął w łagodne, błękitne oczy Marianne.

– Mam propozycję. Postaraj się być miła, to i ja będę miły. Tym sposobem nie dajmy ludziom poznać, co naprawdę o sobie myślimy, dobrze?

– Dobrze – zgodziła się Marianne. Złość już jej przeszła i chciała jakoś rozładować sytuację. W sumie to biedny facet, pomyślała, choć forsy ma jak lodu.

– Przykro mi, że masz w tym wieku tak przykre doświadczenia. – Patrzył na nią spod przymrużonych powiek. – Muszę przyznać, że jesteś nietuzinkowa, zupełnie jak twoja ciotka.

– Och, ciocia jest reinkarnacją generała Pattona – wypaliła, zastanawiając się przy tym, jakie doświadczenia miał na myśli. – Wygrałaby każdą wojnę, gdyby tylko dano jej mundur.

– Wierzę ci na słowo.

– Dziękuję, że pan po mnie przyjechał, doceniam to.

– Nie wiedziałem, co poczujesz na widok kogoś zupełnie obcego – powiedział łagodniej. – Nie znamy się, ale byłem pewien, że Lillian wspominała ci o mnie i opisała, jak wyglądam.

– Owszem – kiwnęła głową Marianne, ale oszczędziła mu charakterystyki przedstawionej przez ciotkę.

– Nie mów jej, że się poprzytykaliśmy – poprosił, podjeżdżając pod dom.

– Po co ją martwić? Jąkała się i pocila, a nawet groziła odejściem z pracy, zanim zdołała z siebie wydusić, że chodzi o twoją wizytę.

– Stara, dobra Lillian – mruknęła wzruszona Marianne.

– Dobry z niej człowiek, bardzo troszczy się o wszystkich. Oprócz mojej babci jest jedyną kobietą, którą toleruję pod swoim dachem.

– Jest tu twoja babcia?

– Dzięki Bogu wyjechała. – Zaparkował pod dużym domem z drzewa cedrowego, z olbrzymimi oknami i balkonami. – Jeszcze dzień dłużej jej wizyty i pewnie z Lillian byśmy stąd uciekli. Jest zbyt podobna do mnie, dlatego dogadujemy się tylko na krótką metę... No, wreszcie jesteśmy na miejscu.

– Ma pan ładny dom – powiedziała Marianne, gdy wysiadła z samochodu i rozejrzała się wokół.

– Mnie się za bardzo nie podoba, ale kiedy stary spłonął od pioruna, moja siostra chodziła akurat z architektem. Przedstawił dobrą ofertę, więc uznałem, że to mądry koleś, ale okazał się jednym z tych zadufanych w sobie oryginałów, którzy na siłę chcą lansować nowe trendy. W łazienkach mamy udziwnione wanny z jacuzzi, a przez cały dom płynie strumień. Koszmarne lokum dla lunatyka, nie uważasz? Można się utopić w salonie.

– Czemu go pan nie powstrzymał? – ze śmiechem spytała Marianne.

– Bo właśnie wyjechałem do Kanady. – Resztę przemilczał. Ta dziwna młoda kobieta nie musiała wiedzieć, że zaszył się w dzikiej głuszy, by zabić rany po zdradzie Caroline, i miał w nosie, co powstanie na miejscu starego domu.

– Nie jest tak źle... – Marianne urwała, bo zobaczyła Lillian, która szła do niej z rozpostartymi ramionami. Pobieгла w jej objęcia. Po raz pierwszy od dłuższego czasu poczuła się bezpieczna.

– Wyglądasz pięknie – powiedziała rozradowana Lillian. – Jak ci upłynęła podróż?

– Bardzo dobrze, no i to miłe, że pan Jessup po mnie wyjechał. – Skinęła mu uprzejmie głową.

– Jeszcze raz dziękuję i mam nadzieję, że ta wyprawa zanadto pana nie zmęczyła.

– Słucham? – zapytał zdziwiony.

– Mówiłam Marianne, jak ostatnio ciężko pracowałeś – wyjaśniła Lillian, po czym dodała szybko:

– Wejdźmy do środka, skarbie, na pewno zgłodniałaś.

Ward pomyślał, że dzieje się tu coś dziwnego, zobaczył jednak, że Marianne sięga po walizkę.

– Zostaw, zajmę się tym – powiedział zdecydowanym tonem.

Rezydencja była olbrzymia i komfortowa. Marianne była nią zachwycona.

– Nie rozumiem, dlaczego Ward nie lubi tego domu – powiedziała do Lillian, która lokowała Marianne w przygotowanym dla niej pokoju na pierwszym piętrze z widokiem na basen w ogrodzie i pastwiska.

– Nawet nie zauważa, że to dla niego wymarzone miejsce, bo jest w marnej formie. Tylko mu nie wspominaj, że coś wiesz. Nie mówiłaś nic, prawda?

– Nie, nie, skąd, ale jak mam mu pomóc spisywać wspomnienia?

– Musisz wczekać na odpowiedni moment. Nie pytał cię przypadkiem, po co przyjechałaś?

– Nie, ale chyba myśli, że bardzo mi na tym zależało. Jest trochę dziwny, myślał, że się go boję. Ja i strach przed facetami, czy to nie zabawne? Szczególnie po tym, jak załatwiłyśmy z Beth tego gościa w centrum handlowym.

– Tylko nigdy mu o tym nie mów – szepnęła błagalnie Lillian. – To go zmartwi i może mieć fatalne skutki – zakończyła dramatycznie.

– Oczywiście, nic nie powiem, ciociu – obiecała Marianne. – Ale wygląda całkiem zdrowo jak na kogoś, kto umiera...

– Jest twardy, nigdy nie pokazuje po sobie, że cierpi.

– W takim razie musi być bardzo dzielny – mruknęła zamyślona.

Marianne rozpakowała się i zeszła do kuchni, by pomóc ciotce.

– Jego siostra lubiła ten dom? – zapytała, wałkując ciasto.

– O tak, ale szef go nie znosi.

– Jest do niego podobna?

– Z wyglądu nie, tylko z temperamentu. Oboje są wrażliwi i nieprzystępni.

– A ta sekretarka, o której mówiłaś, jaka jest?

– To mężczyzna, młody i bardzo operatywny. Mówi o sobie, że jest asystentem szefa.

– Zapamiętam to, bo jeszcze się pogniewa.

– Nie wiem, co by szef bez niego zrobił. David pilnuje, żeby wszystko sprawnie funkcjonowało, począwszy od płacenia rachunków, poprzez odbieranie telefonów, aż po umawianie spotkań. Szef pracuje głównie w terenie. Hm, dobrze powiedziane... W zeszłym tygodniu był w Arabii Saudyjskiej, a w przyszłym leci do Ameryki Południowej.

– Ciągłe podróże muszą być męczące. Przy tak marnym stanie zdrowia lekarze powinni mu tego zabronić – powiedziała zaniepokojona.

Lillian poczuła, że wpada we własną pułapkę, lecz po krótkiej pauzie oznajmiła:

– Lekarz twierdzi, że to dobrze na niego działa, bo odwraca uwagę od przykrych spraw. Zresztą nigdy o tym nie mówi.

– Wydaje się bardzo chłodny, zdystansowany...

– To tylko taka maska, tak naprawdę jest ciepły i czuły. Złoty facet, prawdziwy książę, ale skupmy się lepiej na szarlotce. Robisz najlepsze ciasta na świecie, nawet lepsze ode mnie.

– Mama mnie nauczyła. Wciąż za nią tęsknię, szczególnie jesienią, bo o tej porze chodziłyśmy w góry, żeby podziwiać przyrodę. Tata był zawsze zbyt zajęty. Już osiem lat minęło od jej śmierci, rok od śmierci taty. Tylko ty mi zostałaś... Tak bardzo się cieszę, że ciebie mam, ciociu. – Starła się, by nie zabrzmiało to zbyt sentymentalnie, choć była bardzo wzruszona. – Ale nie ma co gadać, lepiej bierzmy się do roboty – zakończyła szorstko.

– Masz rację, nie ma co oglądać się za siebie.

– Właśnie, trzeba myśleć o tym, co przed nami.

Naprawdę przykro jej było z powodu Warda, nawet jeśli okazał się niezbyt sympatyczny. Miała wrażenie, że zna go na wylot, bo tyle słyszała o nim przez te wszystkie lata. Nie chciała się z nim drażnić ani przysparzać mu dodatkowych problemów.

Gdy wsadziły szarlotkę do piekarnika, Lillian poprosiła, by zawołała szefa, Marianne ruszyła więc na poszukiwania. Przechodząc przez salon, stanęła jak wryta: przez całą jego długość wił się strumień podświetlany od dołu kolorowymi lampami. Efekt był zarazem niesamowity, jak i piękny pod względem estetycznym. Strumień był dostatecznie szeroki, by w nim pływać, na brzegach rosły wspaniałe rośliny. Nie zastanawiając się, dokąd dotrze, szła zafascynowana tym niezwykłym widokiem. Potem odwróciła się, by spojrzeć

jeszcze raz na całość z innej perspektywy, i zderzyła się z czymś dużym i ciepłym, a zaraz potem usłyszała głośny plusk i serię przekleństw. Gdy zobaczyła, co się stało, cała krew odpłynęła jej z twarzy.

– Och, panie Jessup, strasznie pana przepraszam... – Z przerażeniem ukryła twarz w dłoniach. Był bardzo duży i bardzo zły.

– Ty mała złośliwa wiedźmo! – krzyknął Ward, otrząsając się z wody. Naprawdę nie wyglądał jak umierający mężczyzna, gdy w okamgnieniu wyskoczył z groźną miną na brzeg.

Marianne, zapominając o jego kruchej kondycji, rzuciła się do ucieczki.

– Ciociu, ciociu! – krzyczała, wbiegając do kuchni przez wahadłowe drzwi. Tuż za sobą słyszała kląskanie mokrych butów i cały poemat złożony z barwnych przekleństw i złorzeczeń. – Ciociu, ratunku! – Stała pośrodku, słysząc, jak drzwi z całym impetem uderzają w rozwścieczonego Warda. Zaraz potem rozległ się głuchy łoskot tłukącego się szkła.

Lillian z przerażeniem spojrzała na bratanicę.

– Marianne, mój Boże, co się stało?

– Ciociu, myślę, że pan Jessup potrzebuje pomocy.

– A ty modlitwy. – Wytarła ręce w fartuch, podeszła do drzwi prowadzących do jadalni i uchyliła je.

Ward Jessup siedział pośród skorup roztrzaskanej zastawy stołowej z chińskiej porcelany. Miał morderczy wzrok i czerwoną ze złości twarz, a jego przemoczony do suchej nitki garnitur ociekał wodą. Podpierając się o krzesło, wstał powoli z miną, która zapowiadała burzę.

– To dobra dziewczyna, szefie – mówiła błagalnie Lillian. – Tylko trzeba ją lepiej poznać, by się o tym przekonać.

Ward nerwowo zaczesał palcami włosy, po czym wycedził:

– Zaraz po kolacji mam spotkanie, a to mój jedyny garnitur, bo reszta jest w pralni.

– Raz–dwa go wysuszymy i uprasujemy – wyrzuciła z siebie Lillian, ale widać było, że nawet ona w to nie wierzy.

– Dobrze wiesz, że nic z tego teraz nie będzie i nikt ani nic nie jest w stanie tego naprawić! – krzyknął rozwścieczony, patrząc na rozdygotaną Lillian.

– A świeżo upieczona szarlotka z lodami? – zapytała Marianne, wychylając się nieznacznie zza wahadłowych drzwi.

– Hm... świeżo upieczona? – wyraźnie zainteresował się Ward.

– Tak, tak! – przekrzykiwały się nawzajem Marianne i Lillian.

– Z lodami?

– Z lodami – potwierdziła Lillian.

– Przemyślę to – stwierdził Ward, po czym odwrócił się i ciągnąc za sobą nogi w chlupoczących butach, wyszedł z jadalni.

Lillian oparła się o ścianę i spojrzała wymownie na bratanicę.

– A teraz mów, co się tak naprawdę stało.

– Och, ciociu... Weszłam do salonu w poszukiwaniu Warda i zapatrzyłam się na tę cudowną kompozycję ze strumieniem i roślinami. Potem nagle poczułam za sobą coś dużego, no i rozległ się głośny plusk. Musiałam się z nim zderzyć.

– Jak mogłaś nie zauważyć tak wielkiego faceta?

– Stałam do niego plecami... och, sama nie rozumiem, jak to się stało.

– Mam nadzieję, że coś takiego już się nie powtórzy. Gdyby nie szarlotka, nawet ja nie zdołałabym cię wybronić.

– Tak, ciociu – sumitowała się Marianne. – Mam nadzieję, że ten biedny, dzielny człowiek nie przeziębii się z mojej winy. Nigdy bym sobie tego nie wybaczyła.

– Nie ma obawy, jest silny – powiedziała Lillian, po czym dodała szybko, zerkając ku niebiosom: – Przynajmniej na razie...

Marianne zasłoniła usta ręką, żeby nie wybuchnąć śmiechem. Ward Jessup nie jest zwyczajnym facetem, pomyślała. Nigdy nie zapomnę jego miny, gdy wynurzył się z wody, ani łomotu mojego serca, kiedy zaczęłam przed nim uciekać.

To było zupełnie nowe doznanie. Ward nie onieśmiał jej, nie czuła przy nim skrępowania, jak to było z innymi mężczyznami. Budził w niej kobiecość... a to dodawało jej odwagi.

ROZDZIAŁ TRZECI

– Naprawdę nie chciałam – usprawiedliwiała się Marianne, gdy Ward wszedł do jadalni. Zdażyła wszystko wysprzątać i ponownie nakryć stół.

Stanął obok niej, spojrzał na nią z góry. Miał już suche włosy, gęste i proste, mokry garnitur zamienił na dżinsy i koszulę w niebieską kratkę, a jeszcze parę minut temu wściekłe spojrzenie złagodniało.

– Musisz zapamiętać, że to nie basen, i następnym razem patrz, jak chodzisz.

– Tak, proszę pana.

– Mówiłam, żeby nie robić tego strumienia – marudziła Lillian.

– Jeszcze jedno słowo, a udzielę ci lekcji pływania.

– Tak, szefie. – Lillian błyskawicznie zniknęła w kuchni.

– Naprawdę mi przykro – bąknęła Marianne.

– Mnie też – odparł, szukając jej wzroku. – Mam nadzieję, że cię za bardzo nie wystraszyłem.

Zmieszana jego spojrzeniem, wlepiała oczy w czubki butów, po czym zaproponowała nieśmiało:

– Może należałoby zamontować balustrady. – Przycupnęła naprzeciwko niego, ale na jej twarzy czał się uśmiech.

– Lepiej zaopatrzyć się w kamizelkę ratunkową.

– I może jeszcze w ponton, co? I w przystojnego ratownika? – Pokazała mu język.

Zdumiała go, zbiła z pantaląku. Rozpostarł serwetkę, rozłożył ją na kolanach, po czym stwierdził:

– Widzę, że lubisz dreszcz emocji.

– Nie boję się pana – odparła buńczucznie.

– Inaczej mi to przedstawiała twoja ciotka.

– Słucham?

– Twierdziła, że boisz się mężczyzn po tym, co ciebie i twoją przyjaciółkę spotkało w centrum handlowym.

Marianne nie miała pojęcia, co mu naopowiadała Lillian, ale z pewnością nie była to prawda. Ot, tłusty smarkacz próbował ukraść jej torebkę, a one go dopadły, stłukły na kwaśne jabłko i odebrały łup. Bawiły się przy tym świetnie, powalając złodziejaszka na ziemię i dręcząc straszliwie aż do przyjazdu policji. Więc o co chodzi z tym baniem?

– Lepiej nie wspominać tej strasznej historii, która przytrafiła się mojej kochanej bratanicy – powiedziała dramatycznie Lillian, wchodząc do jadalni z tacą.

– Strasznej? – bąknęła Marianne.

– Nic już nie mów, nie powinnaś się denerwować.

– Denerwować? – powtórzyła zdezorientowana.

– Tak, denerwować, nie przy jedzeniu, bardzo proszę. – Postawiła przed Wardem talerz z pieczonym kurczakiem i ziemniakami puree, po czym dalej snuła monolog aż do chwili, gdy nastąpiła pora deseru.

– Wydaje mi się, że coś jest nie tak z cicią – powiedziała zaniepokojona Marianne, gdy Lillian poszła do kuchni.

– To prawda, dziwnie się zachowuje od kilku dni, ale udawaj, że nic nie zauważyłaś. Pogadamy później.

– W porządku – szepnęła z troską, widząc, że ciotka wraca z kawą i ciastem. Zupełnie jakby się bała choćby na chwilę zostawić ich samych.

Szarlotka była wspaniała, Ward wprost rozpląwał się w zachwytach, jednak Marianne poczuła się tak bardzo zmęczona, że marzyła tylko o łóżku, powiedziała więc:

– Wybaczcie, ale jestem wykończona po podróży i muszę się położyć.

– Oczywiście. A więc do jutra – oznajmił Ward.

– W takim razie dobranoc. – Cmoknęła Lillian w policzek, potem zerknęła na Warda. – Dobranoc, panie Jessup.

– Dobranoc, panno Raymond.

Weszła pośpiesznie po schodach i zamknęła się w sypialni. Opadła na krzesło przy oknie, spojrzała na pusty basen w ogrodzie i na sielskie łąki z leniwie pasącym się bydłem. Po chwili ktoś zapukał do jej drzwi, po czym próg przekroczył Ward Jessup. Nie był w wesołym nastroju.

– Mam na noc zostawić uchylone drzwi w moim pokoju? – spytał.

– Uchylone drzwi? Niby dlaczego? Boi się pan czegoś? – Patrzyła na niego zdumiona.

– Myślałem, że... po tamtym doświadczeniu...

– Jakim znów doświadczeniu? – spytała, nie kryjąc irytacji.

– W centrum handlowym. – Powoli zamknął za sobą drzwi, nie spuszczać jej z oczu.

– Dlatego pan się mnie boi? – Pokiwała z dezaprobatą głową. – Rozumiem, że jest pan w nie najlepszej kondycji, ale obiecuję, że nie zrobię panu krzywdy.

– Co takiego?!

– Naprawdę nie musi się pan mnie obawiać, nie jestem aż tak niebezpieczna dla otoczenia, jak zapewne przedstawiła to ciocia. Poza tym to tylko czerwony pas, do czarnego mi jeszcze daleko. – Mrugnęła do niego porozumiewawczo. – Nic strasznego mu nie zrobiłam, tylko trochę go sponiewierałam, ale należało się łobuziakowi. A potem usiadłam na nim, czekając na policję...

– Chwileczkę – przerwał jej Ward. – Kogo sponiewierałaś? Na kim usiadłaś?

– Jak to na kim? Na tym złodziejaszku. Ciocia nic nie mówiła, że Beth i ja dognałyśmy tego tłuszciocha, żeby odzyskać moją torebkę? I że stłukłyśmy go na kwaśne jabłko? Miał szczęście, że go żywcem nie obdarłam ze skóry. – Szerokim gestem odgarnęła włosy.

– Zaraz, zaraz... To znaczy, że nie zaatakował cię brutalnie?

– W pewnym sensie tak, bo mi ukradł torebkę, ale nie wiedział, że trenuję karate.

– O mój Boże! A to stara kłamczucha!

– Jak śmie pan tak mówić o mojej cioci!?! I to po tym wszystkim, co dla pana robi...

– A co takiego dla mnie robi?

– Jak to co? Ściągnęła mnie tu specjalnie po to, żebym pomogła panu spisać wspomnienia... – Teatralnie zawiesiła na chwilę głos. – Opowiedziała mi o pana nieuleczalnej chorobie...

– Nieuleczalnej chorobie? Czy ja śnię?

– Przecież pan... pan umiera...

– Co takiego? Ja umieram?

– Nie musi pan przede mną udawać, że jest inaczej. Rozumiem, że pragnie pan być w takiej chwili otoczony młodymi ludźmi, jak i to, że chce pan spisać wspomnienia. Kiedyś zostanę znaną pisarką – dodała – więc może pan być dumny, że właśnie ja panu w tym pomogę. Chcę pisać...

– Świetnie, więc zacznij od nekrologu swojej ciotki! – wycedził przez zęby.

– Nie wolno tak mówić o bezbronnej, starej kobiecie.

– Udowodnić ci, że to nie są pogrożki? – Wstał gwałtownie.

– Nie, proszę, nie! – Zerwała się z krzesła, podbiegła do drzwi i przyłgnęła do nich całym ciałem. – Po moim trupie!

– Czemu nie, Joanno d'Arc. – Złapał ją w talii i uniósł, by spojrzeć jej w oczy.

– Postaw mnie w tej chwili na podłodze albo zostanie z ciebie mokra plama! – wrzasnęła w najwyższej furii.

– No dalej, pokaż, co wart jest ten twój czerwony pas! – Z rozbawieniem patrzył w jej niebieskie oczy otoczone gęstymi, ciemnymi rzęsami.

Użyła wszystkich swych umiejętności, użyła każdego triku, którego nauczyła się od trenera, ale nic to nie pomogło. Miotając się i wierzgając na wszystkie strony, wciąż tkwiła w żelaznym uścisku Warda, który to się uśmiechał, to chichotał.

– Masz dość? – wysapała.

– Niby czego? – zdumiał się przesadnie. – Wciąż czekam i czekam. Kiedy wreszcie zaczniesz walczyć jak na karateczkę z czerwonym pasem przystało?

Machnęła raz i drugi ręką i nogą, ale bez trudu opanował ten atak.

– Dobra, niech ci będzie – skapitulowała. Był cholernie silny i nic nie mogła zrobić.

Ward postawił ją na podłodze, ale wciąż obejmował w talii.

– Następnym razem spróbuj się najpierw dowiedzieć, czy kandydat na moką plamę nie jest przypadkiem lepszy od ciebie. Mam czarny pas, dziesiąty stopień...

– Och ty...! – Szczęśliwie Marianne powstrzymała resztę słów.

– I wypraszam sobie takie zachowanie w tym domu. – Wymierzył jej lekkiego klapsa w pośladek.

– Natychmiast przestań, nie jestem małym dzieckiem! – wrzasnęła.

– Czyżby? – odparł ze śmiechem. – Jesteś dzieciakiem, ale mógłbym ci pomóc dorosnąć...

Nim zdołała pisnąć, odnalazł jej usta. Pod naporem zachłannego pocałunku aż odchyliła głowę do tyłu. Jeszcze nigdy nie przydarzyło jej się coś tak zaskakującego. Miał gorące i mocne usta, które nie pozostawiały wyboru. Smakowały kawą i miętą. Zaszokował ją zachłannością pieśczoły, zniewolił ciepłym, masywnym ciałem. Gdy próbowała się wywinąć, mocniej przyciągnął ją do siebie i tak ścisnął, że prawie nie mogła oddychać. Poczula ten dziwny bezwład i łomotanie serca. A zarazem poczuła niezgłębioną tęsknotę, niepojętą, zarazem bolesną, jak i cudowną. Lecz przede wszystkim była przerażona, tyle że nie miała szans wyrwać się z żelaznego, a jednocześnie czułego uścisku.

Marianne westchnęła cicho i w końcu się poddała.

– Rozchyl usta – szepnął.

Otumaniona emocjami, bezwiednie zrobiła, o co prosił. Zaczęła gładzić muskularne ramiona Warda, poczuła jego podniecające ciepło. Zapragnęła rozpiąć mu koszulę, wsunąć pod nią ręce, poczuć skórę pod palcami. To pragnienie przywróciło ją do rzeczywistości. Otworzyła oczy... i czar przysł, jakby znalazła się za murem.

Ward odczuł ten nagły opór. Uśmiechnął się i powiedział kpiąco:

– Ty mała cnotko, nawet nie wiesz, jak się kochać.

Jak miała się do tego odnieść? Jej nabrzmiałe usta nie były w stanie wykrzesać odpowiedniej riposty. Musiała najpierw odetchnąć głęboko, by wreszcie wydusić z siebie:

– To nie było fair.

– A to niby czemu? Próbowalaś mnie kopnąć!

– Tak postępujesz z kobietami? Łubu–du, by wyrównać rachunki? Co z ciebie za dżentelmen? – piekliła się.

– Kto ci powiedział, że jestem dżentelmenem?

– Gdy jednak dotarło do niego, jak bardzo dał się wytrącić tej dziewczynie z równowagi, uśmiech zamarł mu na ustach. Zarazem nie chciał jej i chciał ją gościć pod swoim dachem. Nagle zdał sobie sprawę, że pragnie Marianne, rozpalony tą niewinną, żarliwą reakcją. Czyli niedobrze, pomyślał.

– Wciąż nie rozumiesz, dlaczego się tu znalazłaś?

– zapytał kpiąco.

– Nie... – Zmarszczyła brwi.

– Twoja ciotka ma taki plan, żebyś za mnie wyszła.

– Co takiego?! – syknęła, a jej źrenice stały się jeszcze większe.

Ward zeszywniał. Było oczywiste, że taki pomysł to dla niej zgroza, katastrofa, koniec świata.

– Wyobraź sobie, że niejedna panna o tym marzy...

– Masochistki – odparowała, nie kryjąc złości. Czowała się poniżona i przez ciotkę, i przez pełną pożądlivości napaść Warda. – Bzdura, ciocia Lillian nigdy by...

– Owszem, tak – odparł zgryźliwie. – Ale jestem dla ciebie za bardzo zgrzybiały i o wiele za stary. Poza tym nie mam ochoty na kolejny zawód, a w tej konfiguracji jest nieunikniony, więc lepiej natychmiast wracaj do domu.

– Z największą przyjemnością! Nie zamierzam obudzić się pewnego ranka przykuta ślubnym łańcuchem do kogoś takiego jak ty. – Prychnęła pogardliwie.

– No nie, długo się nie pozbieram od tych twoich komplementów...

– Szukam partnera, a nie jakiegoś porąbanego macho. – Odetchnęła głęboko, aż zafalowały jej piersi. – Myślałam, że coś jednak wiem o facetach,

ale okazało się, że to tylko złudzenie. Z radością wrócę do domu i wstąpię do klasztoru.

– Było aż tak źle? – prowokował Ward.

– Przerażasz mnie, wielkoludzie, od dzisiaj będę trzymać z rówieśnikami. Pewnie przez te lata więcej zapomniałeś na temat miłości, niż ja zdążyłam się nauczyć.

– Jesteś do bólu szczerą... i być może masz rację. – Zadumał się na moment, potem uśmiechnął. – I jesteś bardzo urocza – wyznał dziwnie łagodnie.

– A do tego zdecydowanie za młoda dla takiego popaprańca jak ty!

– Hm, kuszące...

– Nie dla mnie. Z pewnością byś mnie uwiódł i porzucił, gdyby się okazało, że jestem w ciąży. Ciocia Lillian straciłaby pracę, a ja musiałabym znaleźć w pośpiechu jakiegoś męża, żeby nie pójść na dno. Nie chcę, by moje dziecko dorastało, nie znając swojego ojca.

– Mój Boże, cóż za wyobraźnia! – Faktycznie, ten potok słów zrobił na Wardzie wrażenie.

– Mówiłam, że będę pisarką. A teraz, jako że ewidentnie nie jesteś umierający, pozwól, że cię przeproszę i zacznę się pakować. Nie minie nawet dziesięć minut, a już mnie tu nie będzie.

– Złamiesz serce ciotce – z powagą oznajmił Ward.

– Trudno, to nie mój problem.

– Jest twoją ciocią, nie możesz tak po prostu wyjechać...

– Owszem, mogę. I to ty będziesz musiał dojść z nią do ładu.

Nagle z dołu dobiegł ich pełen bólu jęk. Spojrzeli po sobie i jak na komendę rzucili się do drzwi. Zastali Lillian u stóp schodów, nogę miała dziwnie wykręconą.

– Och, ciociu! – zawołała Marianne. – Jak mogłaś mi to zrobić?

– Tobie? – jęknęła Lillian. – Dziecko, spójrz na moją nogę!

– Tak, tylko że właśnie miałam zamiar...

– Pozmywać. – Ward rzucił jej ostrzegawcze spojrzenie. – Prawda, panno Raymond? – Jak zwykle los mi sprzyja, pomyślał z zadowoleniem. Dzięki temu wypadkowi zyskał na czasie, by się dowiedzieć, co takiego było w Marianne, że tak bardzo go poruszyła. Oczywiście zamierzał wyrzucić ją z głowy jeszcze przed jej wyjazdem. Musiał sobie udowodnić, że żadna kobieta nie jest w stanie zrobić mu tego, co Caroline. To była kwestia męskiej dumy.

Marianne przez chwilę się wahała, w końcu jednak przekonało ją jego twarde spojrzenie. Uznała, że w tej sprawie nie warto iść na udry, musiała też być solidarna z ciotką.

– Tak, tak, naczynia – mruknęła.

– Niestety wygląda na to, że będziesz musiała przejąć obowiązki Lillian, i to na dłuższy czas – powiedział Ward z troską, nie zdołał jednak ukryć podstępного uśmiešku. – Oczywiście jeśli tylko się zgodzisz.

Marianne pominęła to milczeniem i spojrzała na ciotkę.

– Bardzo boli? Co się właściwie stało? – pogłaskała ją po dłoni.

– Szukałam szefa, bojąc się, czy przypadkiem... czy mu nic nie zdradziłaś? – szepnęła konspiracyjnie, jako że Ward się oddalił. – Wiesz, na temat jego zdrowia...

Boże, wybac mi, pomyślała Marianne i skrzyżowała za plecami palce.

– Oczywiście, że nie. – Uśmiechnęła się pogodnie. – Opowiadał mi o swoim ranczu.

– Dzięki Bogu... Au! – jęknęła. – Chyba złamałam nogę. – A gdy nadszedł Ward, który wezwał ambulans, dodała: – Będziesz musiał z powrotem wezwać babcię.

– Co to, to nie! Dopiero się jej pozbyłem! – Przykucnął i ujął Lillian za rękę. – Nie ma przecież takiej potrzeby, twoja bratanica na pewno da sobie radę.

– Znów ostrzegawczo spojrzął na Marianne.

– Cóż, w zasadzie... właściwie to myślę, że tak

– zakończyła z szerokim uśmiechem.

– Oczywiście! – ucieszyła się Lillian. – Moja kruszyna świetnie gotuje, w ogóle gospoia z niej całą gębą – zachwalała bratanicę. – Poza tym – zerknęła błagalnie na nią – musisz odzyskać siły po tamtych przeżyciach.

– No tak – zgodziła się Marianne, by nie denerwować ciotki, po czym mimowiednie musnęła dłonią wciąż jeszcze opuchnięte usta.

Ward skwitował to ledwie dostrzegalnym uśmiechem, po czym spytał wyzywającym tonem:

– Naprawdę było aż takie straszne?

– Okropne! – zawołała Lillian.

– No cóż, taki upadek to faktycznie okropność – skwitował Ward, wciąż patrząc na Marianne.

– Cóż, nie masz wyjścia, musisz zostać, i to na dłużej.

– Sądziłam, że nie może się pan doczekać, kiedy wreszcie wyjadę. – Marianne spojrzała triumfalnie na Warda.

– Chcesz, żeby wyjechała? – Ciotka z przerażeniem spoglądała to na swoją bratanicę, to na szefa.

– Wcale nie, dlaczego, mam już nawet wobec niej pewien plan... – odparł, patrząc Marianne prosto w oczy.

Ale mnie urządzili, pomyślała. Dała się złapać w pułapkę i kluczy bezradnie między kłamstwami Warda i ciotki Lillian. Ciekawe, dlaczego chciał, żeby została? Przecież twierdził, że nienawidzi kobiet i nie szuka

żony... Może więc był notorycznym babiarem, który wykorzystywał kobiety, zabawiał się ich kosztem. Zdążyła już zauważyć, że miał reputację człowieka pozbawionego skrupułów. Poza tym nie była aż tak niewinna, by nie rozumieć, z jaką władczą namiętnością rzucił się na nią, choć z drugiej strony widziała w jego oczach prowokacyjną kpinę.

Zostanie, tego Ward był pewien, a jeżeli miałyby pojawić się jakieś wątpliwości czy problemy, wyperswaduje jej wyjazd. Zyska wtedy okazję, żeby lepiej ją poznać, przekonać się, jaka jest naprawdę. Dałby sobie głowę uciąć, że gdzieś tam w środku jest podobna do Caroline, jak każda zresztą kobieta. Przecież nią była, choć dotąd zachowała niewinność. Ale jakie to ma znaczenie? Wiadomo przecież, że wszystkie kobiety są chciwe, wyrachowane i bezlitosne. Gdy doprowadzi do tego, że Marianne zrzuci maskę, od razu minie mu zauroczenie i pożądanie, które w nim obudziła. Owszem, biedna Lillian złamała nogę, lecz jej cierpienie doskonale przysłużyło się jego zamiarom.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Koniec końców Lillian wylądowała w małym szpitalu w Ravine, ale nie z powodu złamanej nogi, która wymagała tylko nastawienia i gipsu. Przyczyną hospitalizacji było stanowczo zbyt wysokie ciśnienie. Sprawa wyglądała poważnie, więc Lillian musiała się poddać szczegółowym badaniom.

Dlatego większość wieczoru spędzili w poczekalni w oczekiwaniu na medyczny werdykt. Ward chodził tam i z powrotem, popijając czarną kawę, a Marianne siedziała na krześle i głęboko zadumana patrzyła na świat za oknem. Lillian była jej ostatnią żyjącą krewną, bez niej zostałyby sama jak palec.

– Myślisz, że wydobrzeje? – zapytała w końcu.

– Jasne, jest twarda i niesłuchanie żywotna. – Spojrzał na zegarek. – Nienawidzę czekać. W takich chwilach zaczynam żałować, że nie palę, przynajmniej mógłbym jakoś zabić czas.

– Nie palisz?

– Nie, nigdy mnie to nie pociągało.

– Za to pijesz – rzuciła zaczepnie Marianne.

– Owszem, lubię czasem napić się whisky czy wina, ale mógłbym się bez tego obyć. No i nigdy po kielichu nie siadam za kółkiem. Wciąż pokazują wypadki, a jakże często przyczyną jest alkohol. Pamiętam te makabryczne obrazki, i to wystarczy.

– Ja w ogóle nie piję – wyznała Marianne. Miało to zabrzmieć obojętnie, ot, zwykła informacja, jednak nie ukryła pewnego zażenowania. To głupie, sumitowała się przed samą sobą. Nie każdy musi być ochlapusem...

– Tak też sądziłem, dziecinko – wpadł w jej myśli. – Masz jeszcze czas na przyjemności dostępne dorosłym.

– Tak? – zaperzyła się. – Mój tata zawsze mawiał, że nie chodzi o wiek, ale o doświadczenie.

– A jakież to możesz mieć doświadczenie? Wciąż jesteś jak zielone jabłuszko.

Aż poczerwieniała ze złości. Protekcjonalizm Warda nieodmiennie wyprowadzał ją z równowagi.

– Niech pan posłucha, panie Jessup...

– Pan Jessup?

Oboje spojrzeli w stronę młodego lekarza, który szedł w ich kierunku. Marianne i Ward wstali.

– Proszę się nie martwić – powiedział doktor – wszystko będzie dobrze, ale chciałbym przez dzień lub dwa zatrzymać Lillian. Powinniśmy przeprowadzić jeszcze parę badań. Próbuje protestować, ale to dla jej dobra. Ciśnienie bardzo skoczyło, podejrzewamy, że miała lekki udar, który pewnie był przyczyną upadku.

– O nie – szepnęła Marianne.

– Proszę się na razie nie martwić na zapas. Mogła stracić równowagę z wielu powodów, jak choćby zapalenie ucha czy zatok. Muszę to sprawdzić. Natomiast coś wyszło na jaw. Lillian ma bardzo nonszalancki stosunek do leków na ciśnienie, które zapisał jej doktor Bradley. To naprawdę duży problem.

– Nic mi nie wiadomo, że przyjmuje jakieś leki – powiedział zdumiony Ward. Po minie Marianne poznał, że jest równie zaskoczona.

– Tak właśnie przypuszczałem – powiedział lekarz. – Lillian traktuje podwyższone ciśnienie jak wyrok śmierci, a wystarczy, by zadbała o siebie.

– Od dziś tak będzie – twardo oznajmiła Marianne. – Ciocia się nie wywinie, w razie czego sama jej wepchnę tabletki do buzi.

- Tak trzymać – z uśmiechem poparł ją doktor.
 - Kiedy będzie coś wiadomo? – zapytał Ward.
 - Wyniki powinny być jutro wczesnym popołudniem. Skonsultuję je z doktorem Bradleyem. Możecie przyjść państwo około szesnastej.
 - Dziękuję panu, doktorze... – Ward wyciągnął rękę na pożegnanie.
 - Jackson – przedstawił się, po czym spojrzał na Marianne. – Proszę za bardzo się nie martwić, pani ciotka ma silny charakter. – Uśmiechnął się lekko.
 - Bywa to nieraz kłopotliwe dla otoczenia, ale pomaga w walce z chorobą. – Skłonił się lekko.
 - Widzimy się jutro. Możecie państwo zajrzeć do Lillian.
 - To oburzające! – zawołała ciotka, gdy tylko weszli do środka. – Chcą mnie zatrzymać na noc w tej zimnicy i nawet nie chcą mnie nakarmić ani dać koca.
- Marianne cmoknęła ją w policzek.
- Doktor Jackson powiedział, że niebawem wydobrzejesz i wrócisz do domu, muszą tylko zrobić kilka badań.
 - To prawda? – Lillian nie była do końca przekonana. To zrozumiałe, że bratanica chce ją pocieszyć, nawet gdy nastala pora, by szykować się w ostatnią podróż. Spojrzała na Warda. On nigdy jej nie okłamał, nie on.
 - Możliwe, że miałaś mały udar – wypalił prosto z mostu, ignorując zszokowany wzrok Marianne.
 - Muszą to sprawdzić.
 - Czułam, że coś kombinują... No cóż, zatrzymają mnie tu, więc będziecie musieli sami się dogadywać przez najbliższe dni. – Oczy jej zalśniły z radości, nie zdołała powstrzymać chytrego uśmiešku.

Ward bez trudu to wszystko wyłapał. Z radością skrzyłby kark przebiegłej gadzinie, nie chciał jednak zyskać opinii zabójcy schorowanych staruszek.

– Bez obaw, zajmę się dobrze tą dzieciną. – Skinął w kierunku Marianne i wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Hm... – Lillian nagle zrzędała mina. – Nie jest może aż taka młoda, ale...

– Ciociu, zapomniałaś, jakie mam za sobą przeżycia?

– No tak...

– Zrobię wszystko, by o tym zapomniała, zwłaszcza że obiecała mi pomoc w przelaniu na papier moich przygód związanych z biznesem naftowym – oznajmił Ward.

– Jakież to miłe z jej strony. – Ciotka wyraźnie się rozchmurzyła. – Nie baczysz nawet na to, że ma wakacje. – Cieszyła się, że nie poznali prawdy o sobie nawzajem. Niech tak zostanie aż do czasu, kiedy połączy ich znacznie więcej, pomyślała. – Jesteś naprawdę urocza, moja krew – zakończyła z szerokim uśmiechem.

Chociaż chciało się jej krzyknąć, Marianne odwzajemniła uśmiech.

– Będzie to miłe urozmaicenie w przerwie między sprząaniem a gotowaniem.

– Bardzo cię za to przepraszam. – Lillian zerknęła na nogę.

– Dochodź szybko do zdrowia – rzucił Ward – i niczym się nie przejmuj. No i pamiętaj, od dziś masz brać te cholerne pigułki, już ja tego dopilnuję.

– Dobrze, szefie – odparła Lillian ze skrucą, bo Ward ujął ją swoją troską. Nie zdawała sobie sprawy, że może znaczyć dla niego tak wiele, a przecież nie byli rodziną.

– Właśnie, ciociu, te leki... – wtrąciła Marianne.

– Przrzekam, że będę się stosować do zaleceń lekarza.

– Mamy taką nadzieję – surowo powiedział Ward. – Aha, to wcale nie musiał być wylew, tylko zapalenie ucha lub zatok, więc na razie się nie martw. Pamiętasz, co się wydarzyło, zanim upadłaś? Straciłaś przytomność?

– Nie, tylko mocno zakręciło mi się w głowie.

– Przetarła dłońmi twarz. – No, wracajcie do domu, muszę się trochę przespać. – Ciężko opadła na poduszkę, odprowadziła ich sennym wzrokiem.

– Ach, Marianne! – zawołała nagle. – Ward lubi, jak do jajecznicy dodaję trochę mleka, i żadnej lury, tylko rób prawdziwą kawę, szatana.

– Damy sobie radę. Ciociu, zdrowiej szybko, wiesz przecież, że mam tylko ciebie.

– Wiem, kochanie. – I bardzo się tym martwię, pomyślała, gdy zatrasnęły się za nimi drzwi.

– Niepotrzebnie jej powtarzałeś to, co powiedział lekarz. – Marianne obrzuciła go groźnym spojrzeniem.

– Z tego wynika, że nie za dobrze ją znasz...

– Co ty gadasz. Przecież to moja ciotka!

– Więc powinnaś wiedzieć, że nie cierpi, gdy ktoś się z nią cacka, tak samo jak ja. Oboje wolimy prawdę, nawet jeśli ma zabość. Byłaby wściekła i głęboko urażona, gdybyś ukryła przed nią prawdę. Świetnie ją rozumiem, bo organicznie nie cierpię kłamstwa.

Awersja do kłamstwa nie jest niczym niezwykłym, Marianne wyczuła jednak, że Ward ma ku temu jakieś szczególne powody, lecz nie zamierzała drażnić tematu. Zrozumiała natomiast, dlaczego ciotka wpadła w szal swatania. Skoro spodziewała się rychłej śmierci, przed spotkaniem ze świętym Piotrem, chciała załatwić tę sprawę. Tyle że popychanie mnie w ręce takiego faceta jak Ward to zbrodnia! – ze złością pomyślała Marianne. Arogant, zadufany w

sobie macho, gwałtownik... Długo mogłaby wyliczać. Nie to ją jednak przerażało. Mimo wszystko w Wardzie Jessupie tliły się cywilizowane odruchy, przyznała łaskawie, nie stanowił więc fizycznego zagrożenia.

Jej strach miał całkiem inne źródło. Bała się porzucenia, miłosnej klęski. Wiedziała, jak to smakuje, a to dzięki Johnny'emu Greenwoodowi, który najpierw rozkochał ją w sobie, a potem ogłosił zaręczyny z inną. Tym razem mogłaby nie dać sobie z tym rady. Jedno nie ulegało wątpliwości: wprawdzie Ward Jessup, jak wyczuwała, nie stronił od towarzystwa kobiet, to absolutnie nie nadawał się na męża. „Zabawić się i zniknąć” – tak musiała brzmieć jego najważniejsza dewiza. A dla niej to był kompletnie obcy świat.

Dlaczego Ward wybrał taki model życia? Potrzebował kobiet, był przecież facetem, lecz przede wszystkim darzył je nienawiścią i pragnął się na nich mścić. Nie znała przyczyn takiego stanu rzeczy, lecz to nie miało znaczenia. Powinna unikać Warda Jessupa jak zarazy, ot co. Weszła do swojego pokoju i zaryglowała za sobą drzwi. Nie przypuszczała, by Ward próbował je sforsować, ale strzeżonego...

Obudziła się wcześniej rano, zaledwie świtało, lecz zamiast leżeć beczynn timer w łóżku i zamartwiać się o ciotkę, postanowiła wstać. Włożyła džinsy i sweterek i zeszła na dół, by zrobić bestii śniadanie. Ten dom wprawiał ją w nieustający zachwyty, zdawał się chłonać światło, dzięki czemu każdy zakamarek był promiennie rozświetlony. Kuchnia także była przestronna i jasna, no i zaopatrzona we wszystkie nowinki techniczne, które ukazały się na rynku. Włączyła ekspres, usmażyła bekon, do pieca wsunęła śniadaniowe ciasteczka. Po całym domu rozszedł się ich aromat zmieszany z zapachem świeżo parzonej kawy.

– A to co? – zapytał Ward, który pojawił się niespodziewanie w drzwiach. Wkładał właśnie koszulkę. – Dlaczego nakryłaś w kuchni, nigdy tu nie jem.

Ależ miał klatę, trudno było się nie gapić. Marianne nigdy w życiu nie widziała tak muskularnego, do tego wspaniale opalonego męskiego torsu.

– Zamknij usta, skarbie, bo ci wpadnie mucha. – Ta mała schlebiała mu, ale i irytowała zarazem.

Speszona odwróciła się gwałtownie. Nienawidziła swojej naiwności i braku doświadczenia.

– Co się tak dziwisz? Nie przywykłam, by facet nago latał po domu.

– Szkoda, że nie widziałas mnie kilka minut temu. To by dopiero się działo! Śpię, jak mnie pan Bóg stworzył. – Wielce rad z siebie ruszył w jej kierunku.

– Och... – Była czerwona jak burak, a tu jeszcze Ward położył jej ręce na ramionach.

– To dopiero nie fair, co? – wymruczał.

– Właśnie, a ja przygotowałam dla ciebie takie wspaniałe śniadanie.

– Bekon?

– I ciasteczka, i omlet, no i kawa rzecz jasna.

– Więc na co czekasz? Nakarm mnie!

W tym momencie zdała sobie sprawę, że miłością jego życia było dobre jedzenie. Można mu nim nie tylko poprawić humor, ale nawet powstrzymać od morderstwa w afekcie. Przypomniała sobie szarlotkę, która odwiodła go od zemsty, gdy niechcący popchnęła go do wody. Dobrze mieć w zanadrzu taką broń, gdy się obcuje z potężnym wrogiem.

Jadł w milczeniu, nie miał przed sobą gazety.

– Coś cię trapi? – zapytał.

– Nie, ale jedynym mężczyzną, którego widziałam przy śniadaniu, był mój ojciec, a on zawsze czytał gazetę.

– Nigdy nie czytam przy stole. – Wsunął do ust ciasteczko, popił kawą, nalał sobie kolejną filiżankę, rozparł się na krześle i spojrzał Marianne prosto w oczy. – Dlaczego tak cię zszokowała moja klata?

Nie spodziewała się takiego pytania, wiedziała jednak, że najlepiej walczyć tą samą bronią co przeciwnik. Wypaliła więc:

– Bo jest niezła, męski seksapil w czystej formie.

– Nie umiesz kłamać, co? – po chwili namysłu odparł z uśmiechem.

– Po co, to tylko strata czasu. – Wstała. – Jak już skończyłeś, to posprzątam.

Właśnie miała zabrać mu sprzed nosa talerz, gdy poczuła jego dużą dłoń na swoim nadgarstku.

– Poznałaś już męski dotyk? Nie jakiś tam uścisk dłoni, ale prawdziwy dotyk?

– Przestań! – odparła rozeźlona. – Mam już dwadzieścia dwa lata, z niejednym się całowałam.

– Najwyraźniej nie byli mistrzami. – Choć stawiała opór, przyciągnął ją do siebie. – Dlaczego się mnie boisz?

– Wcale się nie boję...

Gdy poluźnił uścisk, przestała się opierać. Jej reakcja na niego zdumiewała go, do tego Marianne była cudownie niewinna, całkowite przeciwieństwo tych wszystkich kobiet, z którymi miał dotąd do czynienia.

– To dobrze, skarbie, to dobrze. I wiedz, że nic złego ci nie zrobię. – Rozpierała go męska duma, gdy tak czuł swoją siłę i jej kruche oddanie.

Opamiętała się, znów zaczęła mu się wyrywać.

– Puść mnie, proszę, nie znam się na takich gierkach!

Zaczął kciukiem masować wnętrze jej dłoni, wyzwalając w Marianne odczucia, które ogarniały całe ciało.

– Dawno się już nie bawiłem, a tym bardziej z dziewicą – szepnął ledwie słyszalnie. – Nie bój się, słodka Marianne...

Jak cudownie w jego ustach zabrzmiało jej imię...

– Przecież nienawidzisz kobiet – powiedziała cicho. – Nie wierzę, że masz w sobie ludzkie uczucia. Czasem patrzysz na mnie tak, jakbyś mnie nienawidził.

– Och, czyżbym... – Urwał gwałtownie. Czyżby z czegoś nie zdawał sobie sprawy? – Bolesnie się sparzyłem. Ciocia nic ci nie mówiła?

– Nie, nie mówiła... – Umilkła na moment. – Też się sparzyłam i nie chcę... – Nie mogła znaleźć odpowiedniego słowa, by nie zabrzmiało trywialnie.

– Powtórki? – w najprostszy sposób wybawił ją z kłopotu. – Ja też nie.

– To czemu nie puścisz mojej ręki? – Aż jęknęła, gdy przytknął jej dłoń do ust i zaczął składać drobne pocałunki.

– Dlaczego mnie nie powstrzymasz? – spytał cicho, znacząco.

Czuła na sobie jego rozpalony, nienasycony wzrok. Poczwała, jak narasta w niej napięcie, którego dotąd nie знаła, a które wszyscy nazywali pożądaniem. Poczwała też... ciekawość.

– Nauczę cię paru rzeczy, których jeszcze nie znasz. – Przyciągnął ją do siebie. – Kiedy cię dotykam, czuję się jak wulkan, więc ta lekcja będzie wybuchowa dla nas obojga...

Zanim zdążyła coś powiedzieć, poczuła na sobie gorące, wygłodniałe usta. Miała ochotę krzyknąć z podniecenia, lecz wokół nich była cisza, słyszała tylko przyśpieszony oddech Warda, czuła, jak całe jego ciało pulsuje w rytmie uderzeń serca. Spojrzała w oczy, które jej pragnęły. To było

absolutnie cudowne doznanie. Rozchyliła wargi w rozkosznym oczekiwaniu... Jego usta były już tuż–tuż, gdy nagle z głośnym trzaskiem otworzyły się drzwi wejściowe.

TTLR

ROZDZIAŁ PIĄTY

Rozległo się od progu:

– Dzień dobry.

Nim Marianne zdążyła dojsć do siebie, w drzwiach pojawił się młody mężczyzna. Zdawał się jednak niczego nie zauważyć, ani jej rumieńców, ani przyśpieszonego oddechu Warda.

– Witaj, Davidzie – odrzekł Ward, mając nadzieję, że zabrzmiał to normalnie. – Może napijesz się kawy, zanim się weźmiemy do roboty?

– Nie, dziękuję, tak naprawdę przyszedłem, żeby prosić o urlop, bo... – Był speszony, niepewny siebie. – Bo wie pan, ożeniłem się.

Ward spojrział na niego ze zdumieniem. Młody asystent dotąd wydawał mu się człowiekiem rozważnym, podejmującym dobrze przemyślane decyzje, a tu proszę, wczoraj kawaler, a dziś ni z tego, ni z owego żonkoś.

– Co takiego?! – krzyknął osłupiały.

– Cóż, może to pochopna decyzja, ale bałem się, że mi ją ktoś sprzątnie sprzed nosa, a to urocza i wspaniała dziewczyna. No, jesteśmy już po ślubie... i dlatego proszę o dwa tygodnie urlopu. Oczywiście, jeżeli da pan sobie radę beze mnie...

– Nie ma problemu, dam sobie radę – oznajmił wciąż zszokowany Ward.

– Co chciałbyś dostać na prezent ślubny?

– Dwa tygodnie urlopu – odparł rozpromieniony David.

– Mówisz i masz. Twoja posada czeka na ciebie, a teraz zmykaj. Przecież wiesz, że mam alergię na słowo ślub. – Ward zrobił srogą minę, ale zaraz się uśmiechnął, dzięki czemu nie zabrzmiało to tak ostro.

– Bardzo panu dziękuję, panie Jessup! – David gorliwie uściskał mu dłoń.

– Życzę wam szczęścia. No i do zobaczenia za dwa tygodnie.
– Dziękuję, proszę pana – powtórzył, po czym uśmiechnął się szeroko do Marianne, której nie został przedstawiony, i wybiegł z domu.
– Dramat, prawdziwy dramat – narzekał Ward.
– Jak ja sobie poradzę z tą całą pocztą! Czy oni wszyscy powariowali?
– Przecież on się ożenił – obruszyła się Marianne.
– No właśnie, o tym mówię – odparł zgryźliwie.
– Po co mu urlop? I tak słodka żoneczka będzie mu potrzebna dopiero po zmroku...

– Ty męski szowinisto!
– Czemu się tak oburzasz, skarbie? Może dlatego, że nie zdążyłem skończyć tego, co zacząłem, bo David nam przerwał?

Zacząła sprzątać ze stołu. Uznała, że nie ma sensu się kłócić, więc poszła do kuchni, a kiedy Ward zajrzał do środka, miała wrażenie, jakby żałował swoich słów. Był tak duży, że wypełniał sobą całe przejście. Włosy opadały mu zawadiacko na czoło. Z najwyższym trudem oderwała od niego wzrok. Co za cholerny przystojniak, pomyślała zdesperowana.

– Muszę sprawdzić, co się dzieje na platformie u Tysona Wade'a. Dasz sobie radę z telefonami?

– Niech się zastanowię... – Zmarszczyła czoło, podchodząc do aparatu wiszącego na ścianie. – To jest słuchawka, prawda? – Wskazała ją rozpromieniona. – Gdy się rozlega sygnał – mówiła głosem odkrywcy – podnosimy ją i mówimy do mikrofonu, o tu... – Dotknęła palcem. – Halo, tu rezydencja Jego Wysokości Warda Jessupa – zaszczebotała.

– Na litość boską, przestań się wygłupiać! Chodziło mi o to, że dzwoni niemal cały czas. Notowania giełdowe, zaproszenia towarzyskie, powiadomienia o zebraniach...

– Pracuję w biurze, odkąd skończyłam osiemnaście lat.

– Umiesz obsługiwać komputer?

– A jak sądzisz? Tylko ciekawa jestem, jak mam jednocześnie zajmować się domem, gotowaniem, umawianiem cię na spotkania, odpowiadaniem na mejle, odbieraniem telefonów i na dodatek obsługiwaniem cioci Lillian.

– Nie ma sprawy, jak nie dasz rady, zatrudnię kucharkę, pokojówkę, pielęgniarkę, a także sekretarkę...

– Chcesz złamać stare, skołatane serce cioci Lillian, sprowadzając tu tylu obcych ludzi? Intruzów, którzy stworzą swoją paczkę, a nas będą trzymać na dystans? Ciotka dostanie zawału.

– Pewnie masz rację – odparł ze śmiechem, kontemplując przy tym smukłą figurę Marianne, czym ponownie wytrącił ją z równowagi. – Przedstawiłaś przerażającą wizję, ale mam na to sposób. W żadnym razie nie możemy dać się rozdzielić – powiedział z szelmowskim uśmiechem.

– Czy nie miałaś przypadkiem jechać na platformę?

– Nawet na kilka, ale teraz wolę patrzeć na ciebie.

– A ja niekoniecznie. – Odwróciła się do niego tyłem, by kontynuować zmywanie naczyń.

– Marianne, podoba mi się, jak na mnie reagujesz. Drżysz, gdy zbliżam się do ciebie... – Powoli ruszył w jej stronę. – Sama więc rozumiesz, że powinnaś coś wymyślić, by mnie zniechęcić. Przecież nim Lillian nie zdejmą gipsu, będziemy zdani tylko na siebie, bez przyzwoitki. – Popatrzył na nią przeciągle. – Cóż, musimy zadowolić się swoim towarzystwem, co więcej, zyskamy tak dużo czasu, że będziemy mieli szansę bliżej się poznać. Sądzę, że uda się to nam nawet wtedy, jeżeli nie zademonstruję ci, jaki jestem dobry w łóżku.

Zszokowana tą bezczelną otwartością, z rękami w pianie odwróciła się do Warda i spytała bez namysłu:

– A jesteś?

– Tak, jestem – odparł z powagą, patrząc Marianne w oczy. – Mężczyzna nie musi być zaangażowany emocjonalnie, by perfekcyjnie zaszaleć w łóżku. Mam za sobą lata praktyki i zawsze było to czysto fizyczne doznanie. Zresztą nigdy nie będzie inaczej. Zapamiętaj to sobie, bo jesteś jeszcze zielonym jabłuszkiem. – Przerwał na moment. – Nigdy nie rozmawiałaś z facetami o seksie?

– Moi rodzice nie mówili otwarcie o takich sprawach, a koleżanki często mają skrzywione podejście. Puszczaly się, z kim popadło, ale dla mnie to było odrażające. Seks to bardzo intymna sprawa... sięganie po coś, oddawanie czegoś, co jest tylko moje czy twoje, aż tu nagle wspólne, prawda? Nie mogłam tego zrobić ot tak, bez miłości.

Ależ jest naiwna, podsumował ją w duchu. Beznadziejnie naiwna. I nagle dotarło do niego, że nigdy nie kochał się z dziewczyną. A on będzie jej pierwszym mężczyzną, pierwszy dotknie jej niewinnego ciała. Ta myśl podziałała na niego szokująco. Oby Marianne nie spostrzegła, co mu chodzi po głowie... i po ciele.

– Dość dziwnie to traktujesz – skomentował jej wywód.

– No cóż, na ogół faceci omijają mnie jak trędowatą, chyba że chodzi o napisanie mejla czy zadzwonienie do kogoś. Zupełnie jakby mieli mnie za szajbuskę.

– Bo nie sypiasz z każdym? – zdziwił się Ward.

– No właśnie. Szajbuski już takie są – stwierdziła z goryczą.

– A nie słyszałaś o tym, że pigułka wyzwoliła kobiety? Cieszą się tą samą swobodą co mężczyźni i mogą sypiać co noc z innym, nie ponosząc

żadnych konsekwencji. Nie twierdę, że nie ponoszą kosztów, coś tam poświęcają po drodze, o czym niechętnie się mówi w liberalnych kręgach...

– Jak na przykład głęboko zakorzenione poczucie winy – stwierdziła gniewnie. – A tego nawet żaden liberał nie jest w stanie zmienić.

– Mój Boże, jesteś fanatyczką!

– Fanatyczką? – Spojrzała na niego z dezaprobatą. – To co, chciałbyś wysłuchiwać historie o byłych kochankach swojej żony, spotykać ich w najmniej spodziewanych sytuacjach i zastanawiać się, czy im dorównujesz? I byłbyś szczęśliwy, gdybyś musiał się zastanawiać, czyje dziecko nosi pod sercem twoja żona? Byłbyś pewien, że nie sypia z nikim oprócz ciebie, skoro przed ślubem zmieniała partnerów jak rękawiczki? Naprawdę uważasz, że swoboda seksualna jest okej? W takim razie okej jest jakieś drobne cudzołóstwo ot tak, dla rozrywki.

– Skoro tak to ujmujesz... – Zamilkł, zabrakło mu argumentów. Ta mała kompletnie zamąciła mu w głowie. Caroline też sypiała ze wszystkimi dokoła, jak się później okazało, także z jego dwoma partnerami biznesowymi. Na samo wspomnienie poczuł wściekłość i to okropne, poniżające żądło zdrady.

– Wiem, jestem świętoszką, więc się mną nie przejmuj – dodała, widząc jego niewyraźną minę. – Nie bierz sobie tego do serca. Kiedyś stanę się starą panną i umrę z reputacją, jaką cieszyła się Elżbieta I.

– Chyba że wyjdiesz za mąż...

– Faceci nie żenią się z kobietami, z którymi nie spali, nie w naszych czasach – powiedziała z nikłym uśmiechem i wróciła do zmywania naczyń, ignorując grymas bólu, który przemknął przez twarz Warda. – Nie to, że użalam się nad sobą, po prostu stwierdzam fakt. Nie jestem specjalnie ładna, ot, ujdę w tłoku. No i nie mam pojęcia, jak się flirtuje, do tego jestem za chuda... i jestem takim zielonym jabłuszkiem w tych sprawach. Innymi słowy,

prosta droga do staropanieństwa. – Zerknęła za okno. – Będę hodować róże, cynię, lawendę, hibiskusy. – Zabrzmiało to jak smętna piosnka.

Ward jakby nie słuchał Marianne, zapatrzony w jej kształtną postać. Szkoda, że włosy nie były już tak długie jak na zdjęciu, które kiedyś widział, ale piękny kolor pozostał, i tak cudownie lśniły. Nie była szczególną piękną, to prawda, ale miała poczucie humoru i nie traktowała ani siebie, ani otoczenia ze zbytnią powagą. Miała odwagę i bez ogródek mówiła prawdę. Do diabła! Nie podobało mu się, że mu się podoba. I nie podobało mu się, że czuł takie emocje, gdy ją całował. Mógł mieć tylko nadzieję, że tego nie dostrzegą. Najważniejsze zadanie na najbliższy czas, postanowił, to pozbyć się tego odczucia. Tak, musiał się pozbyć tej szalonej obsesji.

– Okej, to ja na razie znikam – rzucił krótko.

– Wrócę około wpół do czwartej, wtedy możemy pojechać razem do szpitala.

– Dobrze, a ja zadzwonię do cioci...

– Rób wszystko, na co masz ochotę. – Wyszedł.

Zaintrygował ją. Co za dziwny facet, pomyślała, i niebezpieczny. By nie wątkować tego, co wydarzyło się przy śniadaniu, wyszukiwała sobie najróżniejsze prace aż do momentu, gdy Ward wreszcie po nią przyjechał.

W szpitalu zastali Lillian całkowicie ubraną i spakowaną.

– Już czas – powiedziała rozgorączkowana.

– Zabierzcie mnie stąd wreszcie. Mam założony gips i tabletki na obniżenie ciśnienia krwi, więc wszystko jest w porządku. Podobno przyczyną upadku było zapalenie zatok. Jeśli mnie stąd natychmiast nie zabierzecie, wyskoczę przez okno.

– Z tym gipsem? – zażartował Ward.

– A żebyś wiedział! Marianne, powiedz mu, że nie żartuję.

– Jasne, nie żartujesz, ciociu. – Musiała powstrzymać się od śmiechu.

– Widzę, przecież widzę – szybko dodał Ward. – Kiedy przyjdzie lekarz?

– Już powinien tu być – odrzekła Lillian.

– Lepiej pójdę go poszukać. – Wyszedł na korytarz.

– I jak? – zapytała Lillian konspiracyjnie.

– Niby co? – Marianne udała głupią.

– No... przecież byliście w nocy sami – szepnęła gorączkowo. – Coś próbował?

– Owszem, próbował się do kogoś dodzwonić, ale mu się nie udało i był wściekły. – Nadal grała pierwszą naiwną.

– Ale czy cię próbował uwodzić? – niecierpliwie spytała ciotka.

– Uwodzić? Skądże! – Chciała tym niewinnym kłamstwem zbić ciotkę z tropu.

Lillian wyglądała jak kupka nieszczęścia. To, że Ward był dziś taki drażliwy, też nie wróżyło najlepiej. Może się pokłócili? – pomyślała w panice. Jedno było pewne, za wszelką cenę musiała wydostać się ze szpitala i dopomóc szczęściu, zanim będzie za późno i cały jej misterny plan legnie w gruzach.

Po chwili wszedł Ward. Wciąż był dziwnie milczący i nieprzystępny.

– Znalazłem go i twierdzi, że wszystko w porządku, bo to nie był udar. Mam wypis i możemy jechać do domu.

– Bez wózka nie damy rady – odezwała się Marianne.

Wcisnął jej do ręki kopertę z wynikami i torbę, po czym bez trudu wziął Lillian na ręce i wyszedł na korytarz.

Gdy dotarli do Three Forks, Lillian, mimo ich protestów, zabrała się do szykowania kolacji.

– Chcesz wrócić do szpitala? – zaatakował ją Ward z rękami wspartymi na biodrach. – Migiem do łóżka!

– Przecież ze złamaną nogą mogę gotować! Do tego wystarczą tylko ręce.

Ward westchnął, zirytowany.

– Może to zrobić Marianne – stwierdził z irytacją. – Ty masz się oszczędzać.

– Marianne ma ci pomagać w biurze, skoro nie ma Davida. Nie może robić wszystkiego...

– Cholerny David... Też sobie wybrał porę na ślub!

Lillian przemilczała tę uwagę, natomiast Ward poszedł do gabinetu.

Po drodze natknął się na Marianne, która pracowała przy komputerze. Próbowwała usunąć błąd, który zgłosił komputer, do tego nie mogła rozszyfrować podstawowych funkcji klawiszy.

– Masz chyba najnowszy i najbardziej skomplikowany edytor tekstów. Nie mogę sobie z nim poradzić.

– A ja nie mogę sobie poradzić z twoją ciotką. Właśnie zaczęła robić ciasto.

– Nie masz maszyny do pisania? – spytała zdołowana.

– Czego?

– No, maszyny. Naprawdę nie daję sobie rady z tym programem...

– A więc jednak się nie przesłyszałem... To jest doskonały sprzęt, szybki i sprawny!

– Pewnie tak, ale wszystko jest inaczej... a z tej instrukcji niewiele można zrozumieć. – Gdy Ward stanął za nią, uderzyła w błagalne tony: – Możesz mi pokazać, jak to działa?

– Co... działa? – Kiedy tak patrzyła na niego błękitem swych oczu, całkiem zapomniała, co mówiła. Po prostu roztopiała go od środka.

– No, to diabelstwo... Możesz? – Teraz z kolei ona utonęła w jego zielonych oczach.

Ward mimowiednie musnął dłonią jej twarz, przejechał po delikatnych wargach, rozcierając szminkę.

Marianne spontanicznie rozchyliła usta.

– Mogłabyś powtórzyć? – niemal szepnął.

W jego oczach było pożądanie, a to wystarczyło, żeby jej zawrócić w głowie. I choć wiedziała, do czego zmierza, nie potrafiła go powstrzymać, bo jej ciało domagało się jego pieśczoć. Bezradna wobec wszechmocnego pożądania, spragniona ust Warda, uniosła wzrok, gotowa, by stać się jego ofiarą. Zatrzymał wzrok na jej rozchylonych wargach. Był tak blisko, że czuła jego oszałamiający zmysły zapach. Ma piękne białe zęby, zdążyła zauważyć, zanim łąpczywie przywarł do jej ust.

– Jesteś taka gorąca – szepnął, wodząc palcem po jej zaróżowionym policzku.

Położyła mu dłonie na przedramionach, pragnąc dotknąć jego prężących się pod koszulą mięśni. Były napięte i bardzo podniecające. Na szczęście miał krótkie rękawy. Wsunęła więc pod nie dłonie, zacisnęła palce i wbiła mu w ciało krótkie paznokcie. Jego usta stały się jeszcze bardziej natarczywe i zachłanne.

– Ugryź mnie – wyszeptał ochryple, a potem sam lekko zaczął kąsać jej wargi.

Pragnęła go zadowolić za wszelką cenę, byle tylko nie przestawał, więc delikatnie ugryzła go w dolną wargę. Ward roześmiał się gardłowo. To było magiczne doznanie, ale chciała więcej. Wtedy poczuła, jak zsuwa rękę niżej,

wzdłuż jej ramienia i talii aż do biodra. Potem ręka powróciła i zatrzymała się na wysokości piersi. To doznanie było tak intensywne, że cała zadrżała. Nie żartował, kiedy mówił, że jest w tym dobry. Nawet nie śniła o emocjach, które w niej wyzwał, i nie miała pojęcia, że jest aż tak podatna. Rozum podpowiadał jej, że dla niego to tylko gra bez większego znaczenia, sam przecież tak mówił. Ale dla niej była to prawdziwa burza uczuć, wprost nieopisana rozkosz, więc nie chciała, żeby przestawał.

– Rozepnij mi koszulę. – Przyłożył jej dłonie do guzików.

Patrzył, jak je rozpina drżącymi palcami, a potem czekał, aż mu ją zdejmie. Gdy poczuł jej ręce na torsie, westchnął cicho. Podniecało go, że nigdy dotąd nie dotykała w ten sposób żadnego mężczyzny. Ugryzł ją w dolną wargę, czując, jak w Marianne wzrasta napięcie.

– Chcę poczuć twoje paznokcie – szepnął.

Zacząła go lekko drapać po klatce, oszołomiona drżeniem jego ciała i głuchym jękiem wywoływanym przez pieszczoty. Odsunęła się trochę, by zobaczyć jego twarz. Zielone oczy płonęły pożądaniem.

– Podoba mi się... – Wstrząsnął nim silny dreszcz.

Nie przerywała więc, patrzyła, jak pod wpływem jej dotyku narasta w nim podniecenie. Było to bardzo ekscytujące, przy tym rosła w niej świadomość, że jest prawdziwą kobietą, czego tak bardzo potrzebowała. Poczula jego ręce na piersiach. Gładził je pieszczotliwie, potem coraz śmieiej. Marianne wystraszyła się... to było takie nowe, takie nieznanne... Złapała rękę Warda, by go powstrzymać. Cała była jednym wielkim wahaniem, jakby wybierała między rozkoszą a wpojonymi zakazami.

– Pozwoliłaś, by już ktoś ci to robił? – zapytał z ustami przytkniętymi do jej ucha.

– Nie...

To małe słówko wyzwoliło w nim falę podniecenia, a zarazem opiekuńczości.

– Lillian jest tuż obok – szepnął – ale nie chcę przestawać, pragnę cię pieścić i czuć, jak bardzo mnie pragniesz... żebyś ty czuła, jak ja pragnę ciebie. Marianne, mała, słodka Marianne, jeszcze nigdy nie byłem pierwszy... Chcę być twoim nauczycielem. Niczego się nie obawiaj, zaufaj mi...

– Nie powinnam... – Próbowała walczyć z sobą, lecz zdradliwe ciało nie dało jej w tej walce żadnych szans.

– Nie czuj się winna, to miłość, gra, przed którą nie da się uciec. Jesteśmy tylko ludźmi, to żadna zbrodnia, że się pragniemy, pożądamy.

W jego ustach brzmiało to tak naturalnie, ale wiedziała, że to najbardziej niebezpieczna broń uwodziciela. Była jednak już zbyt daleko, by się przejmować. Pieszczoty doprowadzały ją do szaleństwa, pragnęła poczuć ręce Warda na całym ciele. Gdy wrywało się jej ciche westchnienie, tłumił je pocałunkami. Zapragnęła, by dotknął ją tam... Nie, nie może być! – pomyślała wystraszona.

Nagle wylądowali na sofie, nagle spostrzegła, że nie ma na sobie sukienki. Po chwili nie miała też stanika, a jego dłoń była... tam! Otworzyła oczy, chciała zaprotestować, ale nie mogła, tonęła w fali namiętności.

Ward patrzył na nią, jakby pierwszy raz w życiu zobaczył kobietę. Bo takiej jeszcze nie widział. Była piękna, wprost doskonała, a przy tym cała mu oddana. Usta miała nabrzmiałe, policzki zaróżowione, w oczach zachwyt i zdziwienie.

Przez chwilę poczuła się tak, jakby stała obok i przyglądała się tej scenie. Ward był pochłonięty bez reszty tym, co się działo, pieszczotami, które jej ofiarował, na jego twarzy malowały się rozkosz i podniecenie, ale również lęk. Dotarło do niej, że oboje są przerażeni.

Spojrzał jej prosto w oczy.

– Gdy dotknę cię tam ustami, znowu zaczniesz wzdychać – wyszeptał – i Lillian może nam zrobić nalot.

Ale Marianne bardzo go pragnęła, jej ciało chciało grzeszyć.

– Spróbuję być cicho.

– Poproś, żebym cię posmakował – szepnął, a gdy umknęła wzrokiem i ukryła twarz w jego szyi, dodał: – Moja mała dziewico, tak bardzo cię pragnę.

Myślała, że wie, co ma na myśli, ale wtedy poczuła, jak obejmuje ustami jej pierś. Musiała zagryźć dolną wargę, żeby nie krzyknąć z rozkoszy. Chwyła dłońmi głowę Warda, wijąc się bezsilnie, czując, że jest uwięziona w czymś tak intensywnym, że zaparło jej dech w piersiach. Jej ciało wygięło się w łuk i przywarło do niego, a on z głośnym jękiem zsunął się z niej i ukrył twarz w dłoniach. Drżał na całym ciele. Była zbyt osłabiona pożądaniem, by się przykryć, dlatego leżała półnaga z zamkniętymi oczami. A gdy je otworzyła, zobaczyła, jak Ward patrzy na nią zafascynowany, a na jego ustach maluje się uśmiech. Wprost pochłaniał ją wzrokiem. Sięgnął po stanik, który leżał na podłodze, włożył go jej i zapiął. Potem to samo zrobił z sukienką.

– Czy rozumiesz, dlaczego przestałem? – zapytał czule.

Naprawdę słychać było czułość w jego głosie, była też w dotyku, gdy delikatnie muskał Marianne po policzku.

– Rozumiem... – odparła cicho.

– Przestraszyłem cię?

– Nie. – Tak bardzo chciała więcej... a zarazem zaczęły ją nękać wyrzuty sumienia. Poczowała się zepsuta, i jakby lat jej przybyło, jakby przyszło jej się żegnać z niewinną młodością.

– Było ci dobrze ze mną? Dałem ci miłe doznania? – Na jego twarzy malował się uśmiech, ale bez najmniejszej kpiny.

– A co, nie było widać?

– Jak będziemy się kochać, musimy zrobić to w dźwiękoszczelnym pomieszczeniu. Inaczej zawali się dom od twojego krzyku.

– Ale chcę tego... – Spontanicznie ukryła twarz w jego ramionach.

– Nie, nie teraz. – Ujął jej dłonie. – Mężczyźni szybko się podniecają – wyjaśnił prosto z mostu – więc kiedy już zacznę, będzie za późno, by się wycofać, a jeśli dalej będziesz mnie tak dotykać, stanie się tak nieuchronnie i oboje znajdziemy się w tarapatach.

– Czy... czy to będzie bolało? – spytała trochę speszona.

– Może trochę... ale nie martw się na zapas.

– Z czułością zaczesał jej włosy do tyłu. – Myślę, że było dobrze.

Spodobało ci się?

– Wow! – zawołała ze śmiechem. – Nawet mi się nie śniło, że coś takiego może mnie spotkać.

Ward poczuł się jak nowo narodzony. Musnął delikatnie jej twarz, jakby chciał sprawdzić, czy to nie sen, a potem czule ją pocałował. Ale ten pocałunek był całkiem inny niż te wszystkie, których w swym życiu posmakował.

– Lepiej wracaj do pracy, mała czarownico... Marianne wstała i obciągnęła sukienkę.

– Masz rację, jeszcze przed kilkoma minutami czułam się jak lady Dracula.

On także wstał, nie odrywając od niej oczu. Jego nabrzmiałe usta i rozpięta koszula wciąż jeszcze przyprawiały ją o zawrót głowy. Szybko podeszła do komputera, usiadła i wbiła wzrok w ekran.

– Mam nadzieję, że uda mi się to skończyć do kolacji, jak Bóg da...

Ward stał jeszcze przez jakiś czas i patrzył na nią, targany przez dwie przeciwstawne siły: rozsądek i pożądanie. Ten pierwszy podpowiadał, że

słodka Marianne jest sprytniejsza, niż wydaje się na pierwszy rzut oka, i tak naprawdę interesują ją ranczo, pola naftowe i pieniądze. Żadna kobieta nie pragnęła dotąd jego i tylko jego, czemu więc ta miałaby być inna? Pożądanie podpowiadało mu jednak, że nie byłaby w stanie udawać aż takich emocji. Może –więc naprawdę go pragnie, nie bacząc na jego miliony? Dwie kobiety, które mocno zaznaczyły się w jego dotychczasowym życiu, to jest matka i Caroline, były skończonymi egoistkami. Jak więc miałby zaufać tej małej, sprytniej dziewczynie czy jakiegokolwiek innej kobiecie? Co gorsza, nie ufał też już swoim osądom. Rozdrażniony odwrócił się na pięcie i wyszedł na korytarz.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Marianne była tak wstrząśnięta tym, co zaszło między nią a Wardem, że musiała uciec z tego pokoju. Bała się, że całe zajście będzie miała wypisane na twarzy, więc Lillian, która i tak była bardzo wyczulona na tym punkcie, wszystkiego się domyśli. Zastanawiała się, czy Ward będzie nawiązywał do tego zdarzenia, przekomarzał się z nią, zaczepiał. Nie mogła zrozumieć, dlaczego taki doświadczony mężczyzna kpił z niej, naigrawał się z jej reakcji i spontanicznych odruchów, na co przecież nie miała żadnego wpływu.

Jak się wkrótce okazało, nie było powodu do zmartwienia, bo po Wardzie spłynęło wszystko jak po kaczce, a rozzłoszczona Lillian mamrotała coś pod nosem.

Kuśtykała po kuchni, podpierając się na kulach. – Dlaczego nie chciałaś, żebym ja to zrobiła? – Marianne wyjęła jej z ręki talerz z wędlinami i zaniosiła go na stół. – Musisz uważać na siebie, nie wolno ci nic nosić ani się przemęczać. Wiesz przecież, co mówił lekarz...

– Wiem, wiem, ale trudno prosić o pomoc w każdym głupstwie – gderwała poirytowana. – Nie ma go – dodała po chwili, patrząc wymownie na bratanicę.

– Kogo? – spytała Marianne z niewinną miną.

– Jak to kogo, szefa! Tak po prostu – pstryknęła palcami – nagle sobie poleciał do Ameryki Południowej.

Marianne próbowała zachować kamienną twarz, żeby nie dać po sobie poznać, że jest w totalnym szoku.

– Jak to, w nocy? – powiedziała niezbyt przytomnie, jakby zapomniała, że całkiem niedawno z nim rozmawiała, jeśli można to tak nazwać.

– Nie, spakował się i wyszedł przed godziną, oświadczając, że ma wylot z San Antonio.

Marianne wiedziała, że musi się wziąć w garść.

– Kilka dni temu wspominał, że musi tam lecieć – powiedziała, starając się o naturalny ton.

– No tak, ale nie spodziewałam się, że stanie się to tak ni z gruszki, ni z pietruszki, pierwszego dnia po moim powrocie ze szpitala – wyrzuciła z siebie rozgorączkowana Lillian.

– Przecież wie, że ja tu jestem i cię nie opuszczę.

– Uścisnęła ciotkę. – Będę się tobą opiekować.

– Nic nie wychodzi tak, jak zaplanowałam, dosłownie nic – narzekała rozżalona Lillian.

– Co takiego masz na myśli, ciociu? – z głupia frant spytała Marianne.

– Nic, kochanie, zupełnie nic – odparła pośpiesznie, oblewając się rumieńcem. – Pomóż mi nakryć do stołu. Nie ma co narzekać, najwyżej będzie więcej dla nas, a resztę możemy zamrozić.

– Wzięłaś leki?

– Tak, wzięłam – odparła mrukliwie.

– Masz szczęście. – Marianne w żartach pogroziła jej palcem.

Lillian roześmiała się, ale w jej oczach nadal czaiły się niepokój i smutek.

Przez następne dni było mniej zajęć, więc siłą rzeczy Lillian mogła postępować jak prawdziwa rekonwalescentka, czyli wylegiwała się w łóżku. Marianne była pozostawiona sama sobie, ale nie martwiła się tym, tylko rozkoszowała się poczuciem wolności, które oferowało ogromne ranczo, i zwiedziła wszystkie, nawet najbardziej odległe zakamarki. Tak musiało być przed stu laty, pomyślała, kiedy to różni nieudacznicy, zbiegli więźniowie,

przestępcy poszukiwani przez wymiar sprawiedliwości zaczęli na tych terenach hodować bydło, a niektórzy z nich wyrastali na szanowanych właścicieli ziemskich i lokalnych przywódców. Było niesamowicie cicho, całkiem inaczej niż w hałaśliwej Atlancie. Wręcz czuło się spokój i bezpieczeństwo.

Marianne ku swojemu zdumieniu tęskniła za Wardem. Owszem, znali się bardzo krótko, ale gdy tylko przymknęła oczy, czuła jego usta i ręce. Było to coś najwspanialszego, czego w życiu doświadczyła. Miał takie cudownie męskie, silne ramiona, i nie mogła się doczekać, by znów się w nich znaleźć, choć zdawała sobie sprawę, że to igranie z ogniem i zapowiedź poważnych kłopotów. W przypadku Warda chodziło o czyste pożądanie, małżeństwo nie wchodziło w rachubę, co otwarcie stwierdził. Wiedziała, że mocno dostał od życia po głowie. To straszne, że matka uciekła z innym mężczyzną, zostawiając Warda i Belinę pod opieką babci, tej samej, na którą teraz tak sarkał. Trudno więc było go winić za taki stosunek do kobiet, była to jednak dla Marianne słaba pociecha. Po prostu coraz trudniej radziła sobie z emocjami. Wciąż przyłapywała się na zerkaniu przez okno na drogę dojazdową, bo a nuż pojawi się Ward, a kiedy dzwonił telefon, a dzwonił niemal bez przerwy, biegła w nadziei, że tym razem będzie to on. Minęło pięć dni i choć czuła się dobrze w towarzystwie cioci Lillian, była coraz bardziej niespokojna. Zbliżał się koniec urlopu, niedługo będzie musiała wracać do Atlanty. Czyżby już nigdy miała nie zobaczyć Warda Jessupa?

– Tęsknisz za szefem? – zapytała Lillian podczas kolacji, spoglądając badawczo na bratanicę.

Marianne aż podskoczyła.

– Nie... dlaczego... skąd ci to przyszło do głowy?

– Jesteś pewna? Ani trochę?

– No, może trochę... – przyznała z westchnieniem.

– To się dobrze składa, bo właśnie podjeżdża.

Marianne nie była w stanie się powstrzymać.

Zerwała się z krzesła i z impetem wybiegła na werandę, jednym susem przemierzyła schody i wreszcie zatrzymała się na dole. Chwyciła się za poręcz, zmuszając się, by nie postawić ani kroku więcej. Aż do tej pory nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo zaczęło jej zależeć na Wardzie, jak bardzo się zaangażowała, choć wciąż miała nadzieję, że zafascynowała ją jedynie intensywność nowych doznań i nie jest to coś głębszego.

Ward wysiadł z chryslera. Minę miał równie niezadowoloną, jak wtedy, kiedy wyjeżdżał. Był ubrany w elegancki garnitur, ale na głowie miał jak zwykle stetsona. Wyglądał bardzo męsko i intrygująco.

Dopiero gdy ruszył w kierunku schodów, zauważył Marianne i stanął jak wryty. Miała na sobie cieniutką jak mgielka, turkusową bluzkę i zielone spodnie. Wyglądała prześlicznie, ale też trochę samotnie. Serce podjechało mu do gardła, a cały zły nastrój ulotnił się w jednej chwili.

– Witam, witam, mała kobietko – powiedział, podchodząc do schodów z szerokim uśmiechem.

– Cześć! – Marianne siliła się, by zachować spokój. – Jak lot?

– W porządku... – Zatrzymał się tuż przed nią.

Zauważyła, że ma podkrążone oczy. Czy był z jakąś kobietą? Spojrzała na niego badawczo spod przymrużonych powiek.

– Aż tak źle wyglądam?

– Musisz być bardzo zmęczony.

– Bo jestem, w pięć dni załatwiłem interesy, na które powinno się przeznaczyć dwa tygodnie. – Spojrzał jej prosto w oczy. – Tęskniłaś?

– Miałam dużo roboty... Telefon wciąż dzwonił.

– Żadna nowość. – Postawił bagaże na werandzie i ujął twarz Marianne, a potem odwrócił ją w stronę słońca, by się lepiej przyjrzeć. – Czy źle widzę, czy masz cienie pod oczami...? – Przesunął po nich kciukami. – Chyba nie spałaś za dobrze?

– Sprawiasz podobne wrażenie – odrzekła.

W jej głosie było coś, co go zaskoczyło, ale też i ucieszyło. Czyżby była zazdrosna?

– Staram się nigdy nie mieszać spraw zawodowych z prywatnymi, choć to czasem zła polityka. W każdym razie nie spałem z żadną z tych wspaniałych, ciemnookich Latynosek.

– Aha. – Marianne spuściła wzrok. – Zresztą to nie moja sprawa.

– I nie chciałabyś, żeby była twoja? – zapytał łagodnie, tak się pochylając, by popatrzeć jej w oczy. Gdy przymuszona spojrzała na niego bezradnie, dodał: – Wolisz udawać, że to, co zrobiliśmy przed moim wyjazdem, nic dla ciebie nie znaczyło?

– Dla ciebie nic nie znaczyło – odbiła piłeczkę. – Powiedziałeś, że...

Powstrzymał ją od dalszych słów pocałunkiem. Był wygłodniały i długo nie przerywał pieszczoty, tak długo, aż poczuł, że cała drży, a sam musiał zaczerpnąć tchu. Spojrzenie miał pełne pożądania, gwałtowne, wręcz dzikie, przez co poczuła się nieswojo.

– Nie dajesz mi spokoju – powiedział szorstko, niespokojnie, wsuwając palce w jej ciemne włosy.

– Śniłaś mi się...

– Nie rań mnie – wyszeptała, patrząc na niego błagalnie. – Brak mi doświadczenia, jestem... za młoda... by bawić się z mężczyznami w takie gry.

To go powstrzymało, sprawiło, że złagodniał, wyhamował. W przyływie opiekuńczego impulsu wyciągnął do niej rękę.

– Nigdy bym cię nie zranił – powiedział szczerze, po czym ucałował jej zamknięte powieki. – Boże, Marianne, sprawiasz, że czuję się jak nastolatek.

– Pochylił się, żeby ją pocałować, ale usłyszał w korytarzu stukot kul Lillian. – Nasz cerber nadciąga – mruknął niechętnie i odsunął się. – Byłaby przerażona, gdyby wiedziała, co tu się wyrabia.

Marianne nie była w stanie powiedzieć słowa, zaskoczona swoją uległością i nieskrywanym pożądaniem Warda.

– Nie powinnaś tak bać się namiętności – szepnął czule, patrząc jej w oczy. Stukot kul przybliżał się nieubłaganie. – Jest tak naturalna jak oddychanie. – Nie odrywając od niej oczu, podniósł bagaże.

– Wiem, że to dla ciebie nowe doznanie i wielkie odkrycie, ale dla mnie to również coś niezwykłego...

– Otworzyły się drzwi i stanęła w nich Lillian, więc dokończył pośpiesznie: – Coś, czego jeszcze nigdy nie czułem do żadnej kobiety, i jeżeli cię to szokuje, to bardzo słusznie. Mnie szokuje jeszcze bardziej, bo myślałem, że w tej sferze już wszystko wiem.

– Witamy w domu, szefie! – zawołała rozpromieniona Lillian. – Świetnie wyglądasz, prawda Marianne?

Ona jednak wydawała się nieobecna, jakby zahipnotyzowana. Dobrze, a nawet bardzo dobrze, pomyślała Lillian z zadowoleniem, a jednak wszystko toczy się zgodnie z planem, a moja choroba zrobiła swoje i zbiera teraz żniwa.

– Bo czuję się dobrze – odrzekł Ward, obejmując ją ramieniem. – Byłaś grzeczna?

– Tak, i to bardzo. Wiem, wiem, tabletki i takie tam... Oczywiście przy takiej opiekunce nie miałam wyboru.

Ward roześmiał się ciepło, po czym przeniósł wzrok na Marianne i powiedział:

- Dobra dziewczyna.
- Zasłużyła na medal – dodała Marianne.
- Nie wątpię. A co będzie na kolację? Umieram z głodu.
- Nareszcie wszystko wraca do normy! – zawołała uradowana Lillian. –

Czeka na ciebie cała góra jedzenia.

- W takim razie chodźmy, bo zaraz skonam, jeśli czegoś nie zjem.

Stół rzeczywiście ugiął się od salatek i półmisków i Ward zabrał się ochoczo do jedzenia. Marianne przyglądała mu się z prawdziwym uwielbieniem.

Nigdy nie widziała człowieka, który z taką pasją oddawałby się jakże prostej przyjemności. To zadziwiające, że przy takim apetycie zachował tak doskonałą sylwetkę. Może dlatego, że gnał przez życie.

Ward wlał sobie już trzecią filiżankę kawy i rozsiadł się wygodnie na krześle z błogim uśmiechem na twarzy. Lillian, która kategorycznie odmówiła przyjęcia wszelkiej pomocy, pozbierała brudne naczynia, poustawiała je na wózku i zawiozła do kuchni.

– Z nią nikt nie wygra – powiedziała Marianne. – Naprawdę próbowałam, ale nie pozwalała się w niczym wyręczyć. Nawet dzwoniłam do lekarza, ale powiedział, żeby zostawić ją w spokoju, dopóki nie przesadza z pracą i bierze leki. Byłam zadowolona, gdy udawało mi się ją nakłonić do krótkiego odpoczynku.

– Dobrze, że ma pokój na parterze. – Ward patrzył na nią spod przymrużonych powiek. W jego oczach nie było rozbawienia czy kpiny, lecz czyste pożądanie.

Pod wpływem jego spojrzenia Marianne musiała odwrócić wzrok, ale tylko na chwilę, bo oczy Warda były jak sidła, z których nie sposób się wyplątać. Trzymały ją w niewoli, obiecując niezwykłą rozkosz. Jej ciało

bezbłędnie to odgadło, nawet jeśli rozum na to nie pozwalał, i zaczęło reagować w zatrważający sposób.

– Przyniosę deser. – Gwałtownie wstała.

– Ja dziękuję za deser – powiedział Ward – a przynajmniej za ten, który masz na myśli.

Dobrze wiedziała, czego chce. Opadła z powrotem na krzesło i osłodziła już raz posłodzoną kawę.

– Jeszcze trochę, a będziesz mogła tą kawą rozpuścić rdzę – zażartował.

– Lubię, kiedy jest słodka. – Jej policzki oblały się rumieńcem.

– Ach tak... – Patrząc Marianne prosto w oczy, wyjął jej z ręki łyżeczkę i splótł z nią dłonie.

Chciała krzyknąć z podniecenia, nie mogła nic na to poradzić. Odwzajemniła uścisk, nie potrafiąc ukryć dłużej pożądania.

– Może sprawdzimy, kto do mnie dzwonił w tym czasie? – zasugerował.

– Dobrze. – Oboje wiedzieli, że to tylko pretekst, by znaleźć się sam na sam i kochać się, bo przecież musiało do tego dojść. Najpierw rozłaka, a potem eksplozja namiętności.

Wstał i pociągnął ją za sobą. Szli w ciszy, atmosfera wokół nich gęstniała, pulsowała żądzą.

– Nie chcecie deseru? – zawołała za nimi Lillian, choć bez większego przekonania, a na jej twarzy malował się szeroki uśmiech.

– Może później – odkrzyknął Ward, po czym otworzył drzwi do biura i spojrzał wymownie na Marianne.

Rozchyliła usta. Chciała przejść obok niego, ale zatrzymało ją ciepło bijące od jego muskularnego ciała, zniewalający zapach i magiczna siła przyciągania. Nie mogła się już doczekać, żeby zostać z nim sam na sam za

zamkniętymi drzwiami. Ledwie jednak zanurzyli się w półmroku pokoju, rozległ się głośny dzwonek.

Ward zaklął pod nosem i ruszył przez korytarz, żeby otworzyć.

– Tak? – zapytał zirytowany, pociągając z impetem za klamkę.

– Witaj, zaprosiłeś mnie – odezwał się niski, pełen determinacji głos. – Dzwoniłeś z lotniska i powiedziałaś, żebym przyjechał, nie pamiętasz? Chciałeś się dogadać w sprawie dzierżawy, więc jestem.

– Nie, nie zapomniałem – mruknął Ward, ale nie wykonał żadnego gestu.

– I co, zamierzasz mnie tak trzymać na tej cholерnej werandzie?

Ward uśmiechnął się. Byli do siebie podobni z Tysonem jak dwie krople wody.

– Jasne, że nie, wejdź, proszę.

Tyson był wysoki i szczupły, w rękę ścisnął stetsona. Miał chłodny, przeszywający wzrok i nie wydawał się Marianne przyjaznym, otwartym na innych człowiekiem. Nawet się go trochę przestraszyła, jednak gdy ją zobaczył, uśmiechnął się, a wyraz jego twarzy natychmiast uległ zmianie.

– Marianne, to mój sąsiad Tyson Wade – oznajmił Ward.

Tyson skinął głową na powitanie, a gdy dostrzegł Lillian wspierającą się na kuli, zapytał:

– Co się pani stało? Tak pechowo go pani kopnęła?

– Niezupełnie – odparła ze śmiechem. – Jak Erin i bliźnięta?

– Świetnie, dziękuję.

– Proszę je ode mnie pozdrowić. Może kawy?

– Chętnie.

– Zostawię was samych i pójdę się położyć – powiedziała Marianne. – Jeśli od rana mam ci pomagać w pracy, muszę odpocząć.

Spojrzał na nią ostrzej niż zazwyczaj. Nie mogła wiedzieć, że spotkanie z Tysonem i ponowna konfrontacja ze zmianami, które dokonały się w nim pod wpływem małżeństwa, były jak kubek zimnej wody i wybiły mu z głowy wszelkie amory. Tyson stał się teraz jednym wielkim chodzącym oddaniem, a tego Ward zdecydowanie wołał uniknąć. Po jaką cholere zawracam sobie głowę jakąś smarkatą dziewczicą, wkurzył się na samego siebie.

– Jasne, może uda ci się nakłonić do tego także twoją ciotkę. Jeżeli nie zaczniesz się trochę oszczędzać, doprowadzi mnie do psychicznej ruiny. Strasznie wytrąca mnie z równowagi, gdy patrzę, jak krząta się bezustannie. Proszę więc, zaradź coś na to, może zagraj jej na uczuciach i sumieniu...

Marianne zmusiła się do uśmiechu.

– W porządku, postaram się. Miło było pana poznać, panie Wade. – Ruszyła w kierunku kuchni.

– Nie mogę wprost uwierzyć, Tyson Wade w naszym domu! – szepnęła Lillian, ustawiając filiżanki na tacy, gdy tylko Marianne pojawiła się w drzwiach. – To niesamowite tak patrzeć sobie, jak ci dwaj z sobą rozmawiają! Byli skłóceni tak długo, jak długo tu pracuję, a potem pan Wade się ożenił i...

– Wydaje się bardzo rodzinny – wpadła jej w słowo Marianne.

– Szkoda, że dawniej go nie widziałas. Szef przy nim to słodki kociaczek.

– Aż tak?

– Ależ się działo! – Wzniosła oczy do nieba. – Wyobraź sobie, że Tyson zmusił szefa, żeby pozbył się psa, którego bardzo kochał. Pół wilk, pół owczarek, zagryzł mu część stada. Więc Tyson tu przyszedł, by zamienić słówko z Wardem. No i następnego dnia pies trafił w dobre ręce, a szef do dentysty. Wierz mi – szepnęła konspiracyjnie – Tyson był okropnym człowiekiem, zanim pojawiła się panna Erin. Cóż, magia prawdziwej miłości.

– Lillian spojrzała wymownie na Marianne i jej uśmiech poszerzył się, gdy bratanica spiekła raka. – Już dobrze, lepiej skup się na zmywaniu, oczywiście jeśli wciąż zamierzasz mi w tym przeszkodzić.

– Naturalnie, a ty się połóż. Nie martw się, wszystko dokończę. – Pogoniła ciotkę, ale sama też nie zamierzała czekać, aż pojawi się Ward. Szybko się uwinęła, żeby zniknąć, zanim pożegna się z Tysonem. Przygotowała mu wózek z kawą i uciekła na górę. Wystarczająco wiele już się wydarzyło jak na jeden wieczór.

Śniadanie okazało się prawdziwą męką. Ward był zimny i obcy, bez śladu zniknął ciepły, oczarowany nią mężczyzna. Zastanawiała się, co takiego zrobiła, że patrzył na nią aż tak obojętnie. Cóż, pomyślała, dobrze, że pobyt w Three Forks dobiega końca. Nie dla niej taka emocjonalna huśtawka.

Po śniadaniu przyszedł do biura i zaczął sprawdzać pocztę, która spiętrzyła się pod jego nieobecność. Ściągnął brwi i nie patrząc na nią, zapytał:

– Umiesz pisać pod dyktando?

– Tak.

– Świetnie, to zaczynamy.

Pierwszy list był do pechowca, który był winny Wardowi pieniądze. Interesy poszły źle, dlatego prosi o prolongatę. Uści wszelkie płatności, jak tylko będzie mógł. Ward podyktował, że ma jak najprędzej uregulować rachunki pod groźbą wniesienia sprawy do sądu.

Już otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, ale zgasił ją lodowatym spojrzeniem. W milczeniu pisała więc dalej. Każdy list był twardy, konkretny i ujawniał brak jakichkolwiek skrupułów. Powoli zaczął się jej jawić przed oczami całkiem inny obraz Warda. Straciła wszelkie iluzje, czuła się głęboko rozczarowana. Jeżeli w ogóle miał w sobie jakieś ciepło, to na pewno nie w

interesach. Pewnie dlatego był taki majątny, bo widział tylko własne dobro, a kłopoty innych miał za nic. Gdy skończyli, Marianne była już pewna, że w odróżnieniu od niej, Ward jest całkowicie pozbawiony sumienia. Nie na żarty ją zaniepokoiło to, co zobaczyła.

Zadzwonił telefon. Ward podniósł słuchawkę i słuchał, a z każdą mijającą sekundą coraz bardziej rzedła mu mina. Miał na linii swojego konkurenta, który go oskarżał o nieczystą grę. Stek przekleństw, które mu posłał w odpowiedzi, powinien skłonić operatora telefonicznego do zawieszenia abonamentu. Marianne była czerwona jak piwonia i coraz bardziej przygnębiona.

– Coś cię zaniepokoiło, słonko?

– Jesteś strasznie bezwzględny – odrzekła cicho.

– Owszem – odparował bez cienia skruchy czy żenady. – Gdy dorastałem, okoliczni mieszkańcy ostrzyli sobie na mnie języki i wytykali palcami, bo moja matka była najłatwiejszą kobietą w całym hrabstwie i uciekła z mężem pani Hardy, porzucając dzieci i dom. Byłem tym biednym szczeniakiem z końca ulicy, który nigdy nie miał normalnej, przyzwoitej rodziny, pomijając wiedźmowatą babkę. – Zielone oczy zabłyśły w gniewie, a Marianne zastanawiała się, czy kiedykolwiek powiedział o tym komuś. – Sukces to wspinała rekompensata za tamte krzywdy, nie wiedziałaś? Wszyscy ci, którzy patrzyli na mnie z góry, teraz na mój widok zdejmują kapelusze i chylą czoła. Jestem na każdej liście gości, pisze się o mnie w gazetach. Obecnie jestem kimś, bo zdobyłem majątek, ale kiedyś byłem tym ostatnim, godnym tylko pogardy i drwiny. A jak mnożę swoją fortunę, to już moja sprawa, nikomu nic do tego. Zresztą tylko idiota jest dobrym harcerzykiem w interesach, i zaraz plajtuje, rzecz oczywista. Każdy, kto chce

do czegoś dojść, musi być twardy, bezwzględny. I każdy, kto coś osiągnął, taki właśnie jest.

– A pan Wade?

– Pan Wade jest teraz mężem i ojcem, stracił jaja, bo żona mu je obcięła, pozbawiając go za jednym zamachem i męskości, i dumy.

– Co za okropne brednie wygadujesz! – Wstała oburzona. – Jak możesz być taki podły? Nie widzisz, co sam sobie robisz? Zmieniasz się w starego kutwę i nawet tego nie dostrzegasz.

– Dostatecznie dużo daję na cele charytatywne... – rzucił arogancko.

– Na pokaz, a nie dlatego, że ci naprawdę zależy. Sam przyznaj, nie zależy ci na żadnej żyjącej istocie...

Ward powoli uniósł wzrok. Jego oczy lśniły złowieszczo.

– Zależy mi na mojej babce i siostrze, no i może na Lillian.

– Właśnie, i na tym koniec. – Marianne poczuła się zraniona. Cóż, nie znalazł dla niej miejsca w swoim sercu.

– Masz rację, na tym koniec – zakończył chłodno.

– Masz się za księcia z bajki, co?

– I na dodatek bogatego – odparł z drwiącym uśmiechem. – Ale jeśli snułaś jakieś plany, żeby to wykorzystać, lepiej od razu wybij to sobie z głowy. No cóż, przyznaję, lubię swoje pieniądze, za to za tortem weselnym i deszczem ryżu nie przepadam.

Marianne zagryzła zęby, żeby się nie rozplakać. Nie rozumiała, jak mógł pomyśleć, że jest zimna i wyrachowana i chce wykorzystać swoje atuty, by wyłudzić od niego pieniądze i ustawić się w życiu.

– Zauważyłam i dobrze, że zrzuciłeś tę maskę, bo większość kobiet szuka męża, którego nie trzeba podłączać do gniazdka, żeby wytworzył odrobinę ciepła.

– Wyjdź z mojego biura – rzucił ostro. – Przyjechałaś do ciotki, więc idź do niej i nie wchodź mi więcej w drogę. Jak zapragnę wysłuchać kazania, to pójde do kościoła.

– Komu uda się ta sztuka i zaciągnie cię do kościoła, zasłuży na kanonizację – powiedziała wzburzona i wybiegła na korytarz.

Wkrótce potem usłyszała trzaśnięcie wejściowych drzwi i ryk silnika samochodu. Ciotce nie pisnęła ani słowa, mimo że próbowała ją wziąć na spytki.

Kiedy Ward wrócił do domu, obie leżały już w łóżkach. Marianne rozmyślała nad tym, jak powiedzieć ciotce, że musi wracać do Georgii. Sama myśl, że ma opuścić ranczo, była bardzo trudna, ale gdy poznała prawdziwą twarz Warda, wiedziała, że to słuszna decyzja. Owszem, był przystojny i bogaty, ale za to zimny jak lód. Musiała natychmiast wyjechać, zanim będzie za późno, zanim uzależni się od tego faceta i zacznie wymyślać coraz to nowe powody, żeby usprawiedliwić jego okropne zachowanie. Bardzo ją zranił, nie wliczając jej do bliskich sobie osób, i choć rozumiała, skąd to się bierze, ta świadomość nie pomagała jej w ukojeniu złamanego serca. Nauczyła się go kochać, a teraz się okazało, że nie miał jej nic do zaoferowania, nawet odrobiny ciepła. To był ciężki cios. Musiała wrócić do domu, żeby zapomnieć o nim i o wszystkim, co tu się zdarzyło. Ciocia Lillian zaczęła o siebie dbać, brała leki, a nawet czasami odpoczywała. Marianne była pewna, że Ward się nią zajmie, bo mu na niej zależało, przynajmniej w pewnym sensie. Jej natomiast nigdy to nie będzie dotyczyć. Najwyższa pora przestać się oszukiwać i stawić czoło faktom.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Ten dzień był dla Marianne wyjątkowo trudny. Trzymała się z dala od Warda, nawet nie zajrzała do biura. Niech sobie znajdzie sekretarkę, pomyślała ze złością, skoro sam nie daje rady. Nie zamierzała mu więcej pomagać, nawet gdyby ją o to poprosił.

– Wyczuwam w powietrzu zimną wojnę– rzuciła Lillian.

– To on ją zaczął! – piekliła się Marianne. – A wiesz, jak załatwia interesy? – dodała rozeźlona.

– Coś tam obilo mi się o uszy... Czasami rzeczywiście trudno zrozumieć Warda – powiedziała Lillian łagodnie – nie masz jednak pojęcia, co go spotkało w życiu. Ludzie nie są zimni bez powodu, choć to tylko maska.

– Nie byłabym taka pewna, ale nawet jeśli tak jest, to świetnie się za nią ukrywa!

– Ty robisz podobnie...

– Niezupełnie, ciociu.

– Proszę, nie skreślaj go jeszcze. Kto wie, może cię jeszcze zaskoczy.

– To ma na to bardzo mało czasu – rzuciła drwiąco. – Za dwa dni wyjeżdżam.

– Tak, wiem. – Lillian nie kryła smutku. – Myślałam, że może zostaniesz trochę dłużej...

– On tego nie chce, więc i tak bym nie została, nawet gdyby mnie o to poprosił, bo praca, bo nie ma Davida... – Bo znów by poczuł nagły przypływ pożądania, pomyślała z goryczą. – Cieszę się tylko, że już się lepiej czujesz.

Lillian widziała, jak bardzo smutna i rozżalona jest jej bratanica. Oczy jej niebezpiecznie lśniły...

– Posłuchaj, kochanie...

– Zjrzę do koni. – Marianne zerwała się z krzesła i wyszła, jakby ją ktoś gonił.

Szła wzdłuż płotu w kierunku zabudowań gospodarskich, próbując się nie rozplakać, i nagle zobaczyła Warda. Siedział na potężnym koniu i przyglądał się jej. Musiał ją zauważyć znacznie wcześniej. Zbliżył się do niej kłusem i swoim zwyczajem zsunął do tyłu kapelusz.

– Czy my jeszcze z sobą rozmawiamy? – zapytał jakby nigdy nic.

Zignorowała jego pytanie, natomiast zadała swoje:

– Czy ktoś może mnie jutro podrzucić na przystanek autobusowy?

Przez chwilę patrzył na nią z niedowierzaniem, wreszcie powiedział:

– A jak zamierzasz wytłumaczyć swoją decyzję ciotce? Przecież wciąż jesteś przekonana, że moje dni są policzone... No i miałaś spisywać moje wspomnienia, zapomniałaś?

– Obawiam się, że mój żołądek tego nie wytrzyma – odparła ostro, w oczach zaiskrzył gniew.

– Daj spokój, staram się z tobą zaprzyjaźnić...

– Aha, zaprzyjaźnić... Kiedyś chciałam się zaprzyjaźnić z myszokoczkiem i włożyłam rękę do klatki, żeby go pogłaskać, a on omal mi nie odgryzł palca.

– Wszystko utrudniasz. – Ściągnął kapelusz na czoło.

– Sam wszystko bez sensu komplikujesz, chcę cię po prostu uwolnić od mojej pazernej i głoszącej nudne kazania osoby.

– Nie będę się przed nikim usprawiedliwiał.

– Nikt ci nie każe.

– Nie chcę, żebyś wyjeżdżała, Marianne – powiedział po dłuższej chwili milczenia.

Serce podjechało jej do gardła, ale rzuciła chłodno:

– A to niby czemu?

– Może się do ciebie przyzwyczaiłem? – Spojrzał na nią. – Poza tym twoja ciotka będzie niepokieszona, bo zrujnujesz jej genialny plan.

– Jeśli o mnie chodzi, to i tak już jest nieaktualny. – Zacisnęła w pięści dłonie ukryte w kieszeniach. – Wracam do domu.

– Nie masz pracy...

– Oczywiście, że mam.

– Już nie, zadzwoniłem do twojego szefa i powiedziałem, że zostajesz tu na dłużej, żeby zająć się chorą ciocią i jej umierającym przełożonym.

– Chyba sobie żartujesz?! – wybuchła Marianne.

– Wtedy wydawało mi się to słuszne. Nawet było im przykro, ale akurat jakaś dziewczyna pytała o pracę, więc na pewno już ją zatrudnili.

Była taka wściekła, że aż trudno jej było oddychać.

– Ty... ty... – Zabrakło jej słów, aż wreszcie przypomniała sobie te wszystkie cudowne kompozycje bluzgów, których się nauczyła, gdy pracowała w warsztacie w Georgii. No i sypnęła nimi jak z rękawa.

– Że też ci nie wstyd... – Błyskawicznie wciągnął ją na siodło. – Siedz cicho – rzucił szorstko, ściskając ją w talii – bo koń jest niespokojny.

– Nienawidzę cię – wycedziła przez zęby, czując strach przed wysokością. Jedyne, co dawało jej poczucie bezpieczeństwa, to silne ramiona Warda, jego ciepłe ciało.

Walach zaczął wierzgać, Wardowi zajęło chwilę, nim nad nim zapanował. Ruszył w stronę dębowego zagajnika. Marianne nawet się nie zorientowała, jak to się stało, że zamiast siedzieć na koniu, leżała na miękkiej wiosennej trawie, a nad sobą miała twarz Warda.

– To mi teraz pokaż, jak bardzo mnie nienawidzisz. – Pochylił się nad nią.

Bez zastanowienia chwyciła go za włosy i zaczęła od siebie odciągać, tyle że dla niego była to dodatkowa zachęta. Docisnął ją do ziemi i szepnął:

– Nie broń się, skarbie. – Unieruchomił jej ręce i patrzył z uśmiechem, jak rzuca się na wszystkie strony. Gdy przestała, uznawszy, że jest bez szans, zapytał: – I co, stchórzysz?

Z trudem oddychała. Wciąż przyciskał ją do ziemi i krępował ręce w mocnym, choć, musiała przyznać, nie brutalnym uścisku. Rozbawienie w oczach Warda zmieniło się w pożądanie i nawet gdyby nie dostrzegła tego w jego spojrzeniu, poczułaby zmianę, która dokonała się w jego ciele. Specjalnie się poruszył, żeby to zademonstrować.

– Przyznaj, że sprawia ci to przyjemność... – Znowu się poruszył.

– Przyznaję... – powiedziała zażenowana.

– Mnie też, jak nigdy. – Pocałował ją z wyjątkową żarliwością. – Jak nigdy z nikim, mówię szczerze...

Znów poczuła na sobie jego rozpalone usta. Chciała się sprzeciwić, ale nie mogła się poruszyć. A potem zaczął wyprawiać językiem takie rzeczy, że nawet gdyby mogła, nie wzywałaby już pomocy. Nigdy nikt jej tak nie całował. Ward uniósł głowę i zlustrował ją tym swoim zielonym, przepastnym spojrzeniem, w którym były odpowiedzi na wszystkie jej pytania.

– Leż spokojnie, możesz mi zaufać choć ten jeden jedyny raz – wyszeptał, przesuwając ręką po jej jedwabistej skórze. – Nie będę się tu z tobą kochał, choćbym miał umrzeć z pożądania.

Nie zabrzmiało to zbyt przekonująco, mimo to się uspokoiła.

– Nigdy nie czułaś mężczyzny tak bezpośrednio, prawda? Ale jesteś już dostatecznie duża, żeby to przeżyć. Tak właśnie wygląda życie, moja mała, nieustająca burza, gorące szaleństwo, same komplikacje... – szeptał jej prosto w twarz.

– Taką masz zasadę, że przestrzegasz swoje ofiary? – rzuciła zaczepnie.

– Jeśli są tak niewinne jak ty... Pragnę cię, mała, nawet nie wiesz, jak bardzo.

Poczuła w całym ciele pulsujący żar. Teraz mogłaby to zrobić z Wardem. Zaczęła bezwiednie dostrajać się do jego ruchów, rytmicznie poruszając biodrami, zdradzając głód swego niedoświadczzonego ciała. Zawahał się jednak pod wpływem dziwnego impulsu, jakby instynktu opiekuńczego, on, który zawsze brał to, czego akurat pragnął. Wiła się pod nim, a gdy wypuścił jej ręce z uścisku, wsunęła mu je pod koszulkę w poszukiwaniu rozgrzanego ciała. Czuł pod sobą miękkie piersi i niczego bardziej nie pragnął, jak pieścić je i dawać im rozkosz, patrzeć, jak coraz bardziej twardnieją, jak falują w przyśpieszonym oddechu. Wszystko zaczęło mu się wymykać spod kontroli, a żądza wzięła górę nad rozumem. Paliły go usta, dłonie drżały, stając się coraz bardziej niecierpliwe i natarczywe. Ciche westchnienia Marianne, przymknięte oczy i rozchylone usta rozpalały w nim nieznane dotąd pożądanie. Była mu tak uległa, tak posłuszna... Miał wrażenie, że za chwilę eksploduje. Otworzyła oczy, w których dojrzał...

– Nie, nie tutaj, nie tak... – odparł na jej niewypowiedziane błaganie. Zsunął się z Marianne, zczesał do tyłu włosy. Trzęsły mu się ręce.

Jęknęła cicho. Więc to dlatego kobiety tak kleiły się do mężczyzn, z powodu tej cudnej rozkoszy, którą trudno opisać słowami, pomyślała z zadumą. Mógł ją przecież mieć, a jednak nie zrobił tego...

– Zdziwiona? Powiedziałem, że nie wykorzystam sytuacji...

– Zdażyłam o tym zapomnieć.

– Ale ja nie, na twoje szczęście. – Wstał i przeciągnął się. Czuł się tak, jakby go ktoś pobił. – Widzisz, taki jest efekt długich lat praktykowania z dziewczynami... – skomentował autoironicznie i wyciągnął do niej rękę.

Udała, że jej nie widzi, i sama się podniosła.

– Jakoś mi się nie wydaje, żeby miały przy tobie pozostać dziewicami, to tylko ja mam najwyraźniej taki przywilej... – stwierdziła zgryźliwie.

– To kwestia silnej woli...

– Ale gdybyś nie przestał...

– Tyle że przestałem – uciał i włożył kapelusz. – Przynajmniej na razie zapomnij o powrocie do Georgii. Lillian przecież cię potrzebuje, niewykluczone, że ja też. Poddałaś mi nowe spojrzenie na pewne sprawy...

– Masz na myśli, że się tu wprosiłam, by zrobić z siebie pośmiewisko?

– Gdybym miał to na myśli, powiedziałbym ci o tym. Jesteś podmuchem świeżego wiatru w moim życiu, Marianne, w moim nikczemnym, bezdusznym życiu. Wiesz, że być może miałaś rację, jeśli chodzi o mój stosunek do pieniędzy? Czemu więc nie zostaniesz i nie spróbujesz tego zmienić?

– Nie wyobrażam sobie, żeby ktokolwiek mógł to zmienić. I jakim prawem wypowiedziałeś za mnie pracę?

– Po prostu nie powinnaś pracować w warsztacie pełnym mężczyzn po tym, co cię spotkało. W końcu zaatakował cię mężczyzna, nie pamiętasz?

– Tamci są niegroźni, mają żony i dzieci.

– Przykro mi, ale przecież jestem bardzo chory – powiedział z uśmiechem. – Poza tym nie każda panna dostaje na tacy bogatego, przystojnego kawalera...

– Pieniądze to twoja miłość, nie moja, i niczego nie mam zamiaru wyłudzać.

– Wiem, Marianne, już to wiem. Wybacz, ale zadziałał mechanizm obronny, spróbuj to zrozumieć. Za bardzo na mnie działasz. Rybka walczy na haczyku aż do końca...

– Tak to ujmujesz... – Nie przekonał jej, w każdym razie nie całkiem, no i wprowadził w zażenowanie takim dosadnym w swej treści sformułowaniem.

– Nieważne, Marianne, wracajmy, muszę załatwić kilka spraw. – Wziął ją za rękę i pociągnął za sobą. – Lubisz jeździć konno?

– Raczej tak.

– Więc następnym razem będziesz miała własnego konia, a teraz chodźmy na piechotę, bo nie wiem, czy poradziłbym sobie z twoją bliskością.

Znów poczuła się zażenowana, zarazem jednak schlebiały jej te słowa. Objął ją wpół i ruszyli w drogę powrotną, rozmawiając o błahostkach. Jednak Marianne cały czas miała bolesną świadomość, że ręka Warda spoczywa na jej biodrze.

Gdy dotarli do domu, Ward zniknął, by załatwić służbowe sprawy, a Lillian, spojrzawszy na bratanicę, zaczęła nucić pod nosem miłosne piosenki. Marianne poszła się odświeżyć i zadzwonić do Atlanty. Szef się bardzo ucieszył, nie mógł się jej nachwalić, jaka była pomocna i jak dobrze się z nią pracowało. Na koniec dodał, że na szczęście znalazł już kogoś na jej miejsce, więc wszystko dobrze się ułożyło, jak to ujął. Zapytał na koniec, jak jej się podoba w Teksasie oraz jak czuje się ciocia i biedny pan Jessup, więc powiedziała, że jest cudowna pogoda, że wszystko jest w porządku, a potem podziękowała i się rozłączyła. Faktycznie strasznie biedny ten pan Jessup, pomyślała ze złością.

Ward nie wrócił na kolację, więc zjadły z ciocią same. Potem Marianne pomogła w kuchni, ucałowała Lillian na dobranoc i poszła na górę. Nie widziała Warda od ich rozkosznego interludium i czuła się rozerwana pomiędzy rozczarowaniem a ulgą. Było tak bosko, że pragnęła powtórki, lecz zwiastowało to poważne kłopoty. Za każdym kolejnym razem było im trudniej przestać. Pragnęła podążyć za Wardem tam, gdzie ją prowadził, jak ktoś, kto

jest odurzony alkoholem i traci nad sobą kontrolę. Nie mogła się nim nasycić i nie wiedziała już, co robić. Nagle życie wydało się jej bardzo zawile. Położyła na łóżku nocną koszulkę w kolorze delikatnego różu i czule przejechała po niej palcami. Był to jeden z tych impulsywnych zakupów, którym chce się poprawić sobie humor, a stało się to w tę deprymującą sobotę, kiedy została sama. Koszulka była z koronki i kosztowała całkiem sporo, ale wyglądała w niej naprawdę uroczo. Podobało się jej, że przylega do ciała, podkreślając smukłą sylwetkę. Postanowiła, że weźmie kąpiel. W wannie, która bardziej przypominała jacuzzi, czuła się jak księżniczka, tym bardziej że sama łazienka też była śliczna i elegancka zarazem, urządzona w kolorze lazuru. Dla niej, mieszkanki Atlanty, to było naprawdę coś. Z radosnym oczekiwaniem wśliznęła się do cudownie odprężającej wody, ale gdy tylko pomyślała o swoim mieszkaniu, natychmiast się spięła. W przyszłym tygodniu musi wysłać czek, bo przypadał termin zapłacenia czynszu. Żałowała też, że nie zabrała więcej ubrań, nie planowała jednak tak długiego pobytu. Wyglądało na to, że Ward nie wypuści jej tak łatwo, no i była jeszcze ciocia Lillian, która ostatnio niby lepiej się sprawowała, ale tylko dlatego, że cały czas miała ją na oku. Co z nią się stanie, kiedy mnie tu już nie będzie, pomyślała zatroskana. Ward przecież często wyjeżdżał w sprawach służbowych i musiałaby wtedy siedzieć całkiem sama. Może dlatego chciał, żebym została, bo raczej trudno powiedzieć, żeby umierał z miłości. Chociaż z drugiej strony ewidentnie jej pożądał, nawet mówił o tym otwarciu. Pograżona w myślach i oszołomiona szmerem jacuzzi nie usłyszała, że drzwi do jej pokoju najpierw cicho się otworzyły, a zaraz potem zamknęły. Nie usłyszała też cichych kroków po dywanie ani męskiego pomruku zadowolenia, który wydał z siebie Ward, gdy zobaczył ją zanurzoną w spienionej wodzie z pięknie wyeksponowanymi, różowymi piersiami. Nagle uniosła wzrok i go zobaczyła, jak stoi ze

spojrzeniem zatopionym w jej krągłościach. Zamurowało ją na chwilę i z przerażeniem poczuła, że w reakcji na jego bezwstydną zachowanie twardnieją jej sutki. Chciała zasłonić piersi dłońmi, ale poprosił, by tego nie robiła.

– Dlaczego chcesz ukryć coś tak pięknego? Nie rób tego, Marianne – powiedział czule i podszedł bliżej.

Wstrzymała oddech. Nigdy jeszcze nie znalazła się w tak intymnej sytuacji, żaden mężczyzna nie widział jej nago. Nie mogła się poruszyć, nawet gdy pochylił się nad nią. Patrzyła zahipnotyzowana, jak podwija rękawy rozpiętej do połowy koszuli i struchlała w oczekiwaniu na to, co się wydarzy. Choć pozbył się wcześniej marynarki i krawata, wciąż miał na sobie spodnie od garnituru i eleganckie buty. Wyglądał bardzo męsko i niepokojąco.

– Wyjdź – wydusiła wreszcie przez zaciśnięte gardło.

Z uśmiechem wyjął jej z ręki namydloną gąbkę.

– Potraktuj to jak nieodpłatną usługę – oznajmił z szarmanckim uśmiechem, lecz w jego oczach tlił się żar pożądania. – Połóż się i napawaj tym, co mam ci do zaofiarowania.

Znowu próbowała protestować, ale nie zwracał na to uwagi. Pod szyję wsunął jej rękę, a drugą, w której trzymał gąbkę, zaczął z namaszczeniem masować każde zaokrąglenie jej ciała. Marianne nie miała dotąd pojęcia, że człowiek ma tyle zakończeń nerwowych. Zapadła cisza iskrząca nowymi, zmysłowymi doznaniem. Co chwila Ward przerywał masaż, żeby namoczyć gąbkę, a potem znowu pocierał nią jedwabistą skórę Marianne, która pod wpływem tych pieszczot nabierała delikatnego, różowego zabarwienia. Oczy miała na wpół otwarte, rozmarzone, bezgranicznie oddana tym niecodziennym praktykom. Nagle Ward wyłączył jacuzzi i otworzył odpływ w wannie. Woda powoli zaczęła znikać, obnażając smukłe ciało Marianne. To było takie

ekscytujące. Zadrzała ze wstydu i podniecenia, które bez trudu wyczytał jej z oczu. Były w nich też strach i powaga, ale również zachwyty.

– Nigdy dotąd nie myłem kobiety – powiedział z czułością. – Wygląda na to, że jednak jestem dość staroświecki.

– A ja nigdy nie pozwoliłam nikomu na siebie patrzeć...

– Wiem. – Wyciągnął do niej rękę i pomógł wyjść z wanny. Potem okrył Marianne miękkim, różowym ręcznikiem, który grzał się dotąd na kaloryferze. Delikatnie osuszał jej ciało, a ona trzymała się jego silnych ramion, doświadczając całkiem innej niż przedtem, bo znacznie subtelniejszej rozkoszy. Gdy dotarł do brzucha, poczuła naprawdę szokujące emocje.

– Ward... – szepnęła niepewnie.

Ukląkł przed nią, odrzucił na bok ręcznik, a wraz z nim wszelkie pozory, i wtulił twarz w jej brzuch.

Westchnęła cicho, a on przesunął ustami po jej gładkiej skórze w kierunku piersi, wyraźnie delektując się tą chwilą, a ona przycisnęła do siebie jego głowę, by zapamiętać na zawsze ten niezwykły moment. Wtedy dotknął jej w taki sposób, którego by się nigdy nie spodziewała. Zadrzała spazmatycznie.

– Ciii – szepnął z ustami przytkniętymi do jej piersi – wszystko jest w porządku, nie broń się.

Nie byłaby nawet w stanie. Jeszcze mocniej wbiła mu paznokcie w ramiona.

– Marianne... – Przywarł gwałtownie do jej ust.

Potem wziął ją na ręce, a po chwili materac ugiął się pod ich ciężarem. Znowu poczuła gorące usta na piersiach, brzuchu i udach, aż w końcu zaprotestowała. Obawiała się tej prawdziwej, głębokiej intymności. Ward usiadł i z fascynacją patrzył na jej zszokowaną twarz.

– Dobrze, jeśli tego nie chcesz, nie będę cię do niczego zmuszał.

Policzki miała zaróżowione, oczy pełne niewypowiedzianych pragnień. Z czułością przesunął po niej dłonią, chłonąc słodką bezbronność.

– To wszystko jest takie nowe – wyszeptał. – Nigdy nie przypuszczałem, że coś takiego jeszcze przeżyję, że kobieta może być tak cudownie miękka w dotyku, tak gładka i wspaniale wyrzeźbiona... Mógłbym się upić samym twoim widokiem. – Gdy zadrżała na te słowa, spytał, patrząc na jej rozmarzoną twarz: – Nie zabezpieczasz się, prawda?

Zajęło jej chwilę, nim zrozumiała, o co pyta. Wygląda na to, że sprawy wkroczyły w naprawdę dorosłe sfery, pomyślała. Dla niej to była kraina nieznana, gdy zaś dla niego...

– Nie – wydusiła z trudem.

– To dobrze – szepnął, pochylając się do pocałunku. – Narzucanie ci ostatecznej intymności... prawdziwego seksu... mogłoby wszystko zepsuć, ale może chcesz mnie dotknąć...

Chciała, ale jak miała to powiedzieć? Dlatego w milczeniu wsunęła dłonie pod koszulę Warda i natrafiła na gęsty zarost pokrywający silne ciało. Cóż za zmysłowa kombinacja! W odpowiedzi na ten delikatny dotyk pocałował ją namiętnie i jednym szarpnięciem rozpiął do końca koszulę.

Niepokojący był jego oddech, głośny, urywany, jednak Marianne, oszołomiona intymnością, która ich łączyła, nie chciała, żeby przestawał. Impulsywnie reagowała na pieszczoty, wyginała się, przeżyła.

Czuła przyśpieszony rytm serca Warda, widziała w jego oczach namiętność i pożądanie.

– Zrób to jeszcze raz – poprosił.

Czuła, jak drżą mu mięśnie, jak napina się jego ciało, takie mocne, męskie, opalone. Co za wspaniały kontrast dla jej jasnej skóry!

– Cudownie wygląda – powiedział, widząc, że Marianne zafascynowała ta różnica. – Ciemne moce obok jasnej subtelności, czyż nie? Twoje piersi są jak mleko z miodem – szepnął, przywierając do niej nagim torse. Widział, jak jej źrenice powiększają się pod wpływem zmysłowego doznania, a pocałunek, który wycisnął na jej wargach i który odwzajemniła z takim pożądaniem, kompletnie zawrócił jej w głowie. Czegoś takiego nigdy nie przeżyła, było to widać na pierwszy rzut oka. Pieszczoty zaskakiwały i zarazem pochłaniały ją bez reszty. Obejmowała go, gładząc jego ciemne, gęste włosy.

Znowu smakował kawą, ale była w nim jakaś nowa czułość. Nigdy wcześniej nie całował jej w ten sposób, wkładając w to całe serce, oddając się jej w całości. Wszędzie czuła jego ręce chłonejące ją z pożądaniem.

Ward niczego nie przyśpieszał, choć rozpalony był do granic wytrzymałości. Przeklinał się w duchu, że zapomniał na chwilę, jak bardzo jest naiwna, lecz tak bardzo jej pragnął, a ta mała, choć tak bardzo niedoświadczona, miała dziki żar w oczach. Nie zabezpieczała się przed ciążą, co nie było pomyślną wiadomością, ale czy mógł na to liczyć? W ogóle nie wolno mu było przejść do ostatecznej rozgrywki, bo była dziewicą w każdym calu. Zsunął się na bok i przytulił ją opiekuńczo.

– Przytul się do mnie, po prostu przytul się, nim nie przestaniemy drżeć.

– Pragnę cię – szepnęła Marianne. – Ward, pragnę cię...

– Wiem, i też cię pragnę, ale nie mogę tego zrobić. – Ustami musnął jej wilgotną od łez twarz.

– Nic ci nie jest? Czemu płaczesz?

– Bo cię pragnę, chcę tego...

– Mogę cię zaspokoić, jeśli chcesz – szepnął – ale nie wolno nam...

– Nie, nie zrobię ci tego. – Dotknęła jego twarzy, oczarowana wrażeniem, które wywołały w nim te słowa. – Przepraszam, powinnam ci była od razu o tym powiedzieć...

– Ale rozkosz wzięła górę, było zbyt cudownie, prawda? – Z zaborczą czułością pogładził ją po twarzy.

– Tak... – Westchnęła cicho. – To było rozkoszne, jakbyśmy się kochali bez pamięci, bez wytchnienia...

– Też nigdy wcześniej czegoś takiego nie doświadczyłem, nawet seks nie był tak dobry...

– Nawet seks? – Te słowa dziwnie ją poruszyły. Coś się w nich kryło, czuła to.

Ward natychmiast jej to wyjaśnił, jakby czytał w jej myślach:

– Z tobą uprawiałbym miłość, a nie seks. Seks to zbyt trywialne określenie na to, co się między nami dzieje.

Była tak bardzo podniecona, że wprost rozpaczliwie go pragnęła. Dlaczego miałyby od razu zejść w ciążę? Przecież nie zawsze tak to musiało się skończyć. Kocham go, tak bardzo go kocham, pomyślała, zaciskając mocno powieki.

Boże, gdzie ja mam rozum, myślał z przerażeniem Ward, patrząc na rozognioną Marianne. Emocje, które malowały się na jej twarzy, błędnie odczytał jako strach. Przecież jest dziewicą, a na dole siedzi Lillian! Czyżbym zupełnie postradał zmysły? – wyrzucał sobie. Zdusił w sobie palące pożądanie i zmusił się do uśmiechu, by dodać otuchy Marianne. Jednocześnie powoli odsunął się od niej i z westchnieniem usiadł na łóżku.

– Nie, skarbie, jestem już trochę za stary na takie gierki...

Jak to gierki? – pomyślała z przestraszeniem. Patrzyła na niego bezradnie, czuła się zagubioną ofiarą swej niewinności, braku doświadczenia, podczas

gdy on panicznie próbował coś wymyślić. Ręką natrafił na koszulkę Marianne. Włożył ją jej przez głowę, a potem okrył kołdrą. Nie mógł jej wyznać, że zszokowały go jego własna bezbronność i słabość. Nie miał tego w planach, tych szalonych pieszczot, długiego smakowania siebie nawzajem. Na jego twarzy pojawił się grymas niezadowolenia, chociaż wciąż jeszcze patrzył na Marianne, zafascynowany jej niewinnością i uległością wobec jego rąk. To było zbyt cudowne. A przyszedł do niej tylko po to, by jej powiedzieć, że chce przejść z nią na stopę koleżeńską i postawić tamę intymności, która zaczęła ich obezwładniać i pochłaniać. Jednak gdy ujrzał, jak siedzi naga i rozmarzona w spienionej wodzie jacuzzi, stracił wszelki rozsądek. Lecz teraz, kiedy tak patrzył na nią, na jej rozemocjonowane, oszołomione spojrzenie, zobaczył nagle to, czego obawiał się najbardziej, a mianowicie utratę swojej cennej wolności. Przypomnił sobie wszystkie stare rany, krzywdy wyrządzone przez kobietę, którą pokochał, przez dziwkę mającą za nic jego uczucia. Wstał raptownie, ze złością przeczesał włosy.

– Nie patrz na mnie tak dziwnie – powiedziała Marianne – jakbym była upadłą kobietą. To nie ja weszłam do twojej łazienki. – Była bliska łez.

– Nie miałem takiego zamiaru, wybaczone, nie chciałem sprowokować takiej sytuacji...

Złagodniała po tym wyznaniu. Ward wyglądał na równie poruszonego jak ona.

– Cóż, ja też nie – odrzekła, bawiąc się rogiem kołdry.

– Jestem starszy i powinienem panować nad sytuacją. – Westchnął ciężko, potem spojrzał na nią z czułością. – Przyszedłem do ciebie, bo chciałem ci powiedzieć, że lepiej będzie, jeśli pozostaniemy na stopie koleżeńskiej, bez tych wszystkich komplikacji i fizycznej bliskości... – Zaśmiał się cierpko. – Sama widzisz, jaki odniosłem sukces.

Deszczowa piosenka

– No tak. – Uśmiechnęła się melancholijnie, a gdy wspomniała te wszystkie śmiałe pieszczoty, które ich połączyły i na które pozwoliła, oblała się szkarłatnym rumieńcem.

– Jesteś teraz kobietą, a nie małą dziewczynką, jednak nie musisz się obawiać, nic z tego, co tu robiliśmy, nie spowoduje, że zajdziesz w ciążę.

– Wiem przecież – fuknęła, unikając jego spojrzenia.

– W porządku, chciałem cię tylko o tym zapewnić. – Przeciągnął się leniwie, prawdziwie po męsku. Wyglądał naprawdę oszalamiająco w rozpiętej koszuli i z potarganymi włosami. A już szczególnie wtedy, gdy przyglądał się jej w ten sposób. – Nikt się nigdy nie dowie, co tu robiliśmy – dodał. – To będzie naszą słodką tajemnicą, Marianne.

– Tak. – Spojrzała na niego, by zaraz umknąć wzrokiem. – Chyba nie myślisz, że zrobiłabym to z każdym...

– Oczywiście, że tak nie myślę. – Pocałował ją w czoło. – To bardzo ekscytujące, gdy się jest tym pierwszym – wyszeptał. – Nawet w ten sposób.

– Cieszę się, że byłeś nim ty – powiedziała cicho, spoglądając niepewnie w jego ciepłe oczy.

– Ja też się cieszę. – Znowu zapragnął ją pocałować, ale instynkt samozachowawczy nakazał mu przystopować. Wstał więc z uśmiechem i podszedł do drzwi. – Dobranoc, skarbie, śpij dobrze.

– Ty też.

Zamknął drzwi, więcej już na nią nie patrząc, za to Marianne jeszcze długo nie mogła powrócić do rzeczywistości. W końcu odetchnęła głęboko i wyłączyła światło.

ROZDZIAŁ ÓSMY

To była trudna noc. Marianne nie mogła zasnąć, a gdy się jej to już wreszcie udało, kręciła się niespokojnie, wciąż czując na sobie dłonie Warda. Towarzyszyła jej przy tym dziwna frustracja, której nie rozumiała. Za każdym razem, gdy pomyślała o Wardzie, czuła w sobie to specyficzne pulsowanie. Te nowe doznania przerażały ją, nie wiedziała, co z tym ma zrobić. Pokusa, by wziąć nogi za pas, była naprawdę olbrzymia. Słyszała na dole kuśtykanie Lillian, która krzątała się, szykując śniadanie. Wskoczyła więc z łóżka, wpadła na chwilę do łazienki, po czym włożyła bordową koszulkę oraz dżinsy i zeszła na dół.

– Dzień dobry, kochanie – powiedziała rozpromieniona Lillian, układając talerze i sztucce. – Mamy dziś przepiękny, słoneczny dzień. – Wydawała się jednak uszczęśliwiona czymś całkiem innym niż wspaniałą pogodą.

– Tak, to prawda – przytaknęła Marianne i zerknęła na puste krzesło Warda.

– Wróci za chwilę – powiedziała porozumiewawczo. – Wyglądał jak gradowa chmura, był taki jakiś podenerwowany i roztargniony – rzuciła, jakby nic nie rozumiała.

Marianne weszła do kuchni.

– Pomogę ci przygotować śniadanie – mruknęła, nie podejmując tematu i unikając wzroku ciotki. Przynajmniej ona się dobrze bawi, pomyślała. O sobie nie mogła tego powiedzieć, po prostu bała się, co z tego wszystkiego wyniknie. Zaczęła jeść, zanim przyszedł Ward. Wyglądał na zmęczonego, ale jego twarz pojaśniała, gdy ją zobaczył. Mimowolnie uśmiechnął się, odrzucił

na bok kapelusz i opadł na krzesło. Dżinsy miał przybrudzone, a koszula w niebiesko-białą kratę była w nieładzie.

– Musiałem wyciągnąć byka z rowu – wyjaśnił.

– Jakim cudem się tam znalazł? – zapytała zaciekawiona Marianne.

– Próbował przeskoczyć płot, żeby się dostać do jednej z młodych jałówek. – Uśmiecha się. – To naprawdę zabawne, jak miłość wpływa na rozsądek.

Ciotka zachichotała ukradkiem, natomiast bratanica oblała się rumieńcem. Ward rozparł się na krześle, napawając się widokiem zarumienionej twarzy Marianne.

– Nie zjesz nic, szefie? – zapytała Lilian.

– Jakoś nie jestem głodny – powiedział, jakby sobie nie zdawał sprawy, co w ten sposób zdradza gosposi, która wprost promieniała ze szczęścia. – Ale może skuszę się na tosta i kawę. Dobrze spałaś, Marianne? – Spojrzał na nią przeciągle.

– Oczywiście, że tak – zablefowała, patrząc na niego. – A ty?

– Cóż, a ja ani trochę – mruknął z sarkastycznym uśmiechem.

Na chwilę zatraciła się w zielonym spojrzeniu Warda i poczuła jego moc. Z trudem oderwała od niego oczy, by utkwic je znowu w talerzu z jajecznicą. Nawet teraz jeszcze serce łomotało jej jak szalone.

Ward przypatrywał się jej z nieskrywaną przyjemnością. Dotąd nie było mu dane poznać takich reakcji u kobiet w odpowiedzi na jego zaczepki. Z Marianne wszystko było inaczej, wszystko było nowe i nieskazitelne, nawet coś tak banalnego jak wspólne śniadanie nabierało całkiem innej rangi. Dziwiło go, że może patrzeć na nią bez końca, szczególnie teraz, kiedy już wiedział, jak wygląda bez ubrania. Rozmarzył się. Rany, była taka urokliwa i piękna!

Czuła jego natarczywe spojrzenie na całym ciele. Gdyby nie ciocia Lillian, też pożerałaby go wzrokiem. Choć był taki wielki, miał w sobie swoistą gibkość i grację. Uwielbiała patrzeć, jak się porusza. Nigdy wcześniej nie poznała tak zmysłowego i zarazem czułego mężczyzny, który tak bardzo by jej pożądał. Sama jego obecność rozpalała w niej niezwykły ogień. Miała ochotę go dotknąć, pocałować, poczuć na sobie jego rękę. Oblała się rumieńcem i zadrżała, a wraz z nią ręka, w której trzymała widelec. Ward natychmiast to zauważył.

– Pojedziemy na przejażdżkę – złożył propozycję nie do odrzucenia.

– Teraz?

– Posadzimy Lillian przy telefonie. Poza tym nie ma na dziś nic naglącego, więc czemu nie? – Wzruszył ramionami.

– Świetny pomysł – poparła go Lillian. – Jedźcie, dam sobie radę.

Marianne, która miała zamiar zaprotestować, musiała się poddać. Po co miałyby udawać, przecież chciała być z nim sam na sam, o czym doskonale wiedział. Miała to przecież wypisane na twarzy.

Ward czuł się naładowany energią, jakby znów był tym chłopakiem sprzed lat, a u boku miał śliczną i urokliwą dziewczynę. Odłożył serwetkę i wstał.

– A więc chodźmy. – Miał nadzieję, że nie widać po nim dręczącej i palącej potrzeby, która nie dawała mu spokoju.

Marianne poszła za nim. Jak przez mgłę słyszała głos Lillian, która życzyła im dobrej zabawy. Oczy miała utkwione w szerokich plecach Warda. Rozpalał ją, tak bardzo pragnęła, by wreszcie się to wydarzyło. Kochała go i jeżeli pożądał jej, nie zamierzała go powstrzymywać. Przecież i on musiał coś do niej czuć, nie wierzyła, żeby tak zupełnie mu nie zależało.

W ciszy osiodłał dwa konie, a kiedy pomagał Marianne wsiąść, jego spojrzenie było przepełnione pożądaniem.

– Wspaniale się prezentujesz na wierzchowcu, skarbie – powiedział, a ona uśmiechnęła się, czując ciepło bijące od jego ciała. – Pragnę cię, Marianne – powiedział cicho. – O niczym innym nie myślałem przez całą noc. Może zwolnijmy dzisiaj trochę, chciałbym z tobą porozmawiać, po prostu porozmawiać, chcę cię lepiej poznać.

Jego słowa, mimo że jej schlebiały, zaskoczyły ją, a może nawet rozczarowały. Ale nie mogła dać tego po sobie poznać, więc nadal szczyrzyła zęby w głupawym uśmiechu.

– Chętnie – odparła, a on już nic nie powiedział. Ward czuł ten sam głód co ona, lecz lepiej sobie radził z panowaniem nad tęsknotami. Poza tym nie chciał zrazić Marianne. Rozsądniej było najpierw spróbować stworzyć coś na kształt związku. Nie miał pojęcia, jak zareaguje na propozycję, o której rozmyślał już od jakiegoś czasu, ale jedno wiedział na pewno, a mianowicie że w taki sposób nie mogą już dłużej tego ciągnąć. Trzeba to wszystko jakoś poukładać, najlepiej zacząć już dzisiaj. Jeżeli sprawy dalej będą się toczyły własnym, nieskoordynowanym rytmem i wciąż będzie rozmyślał o smukłym, nęcącym ciele Marianne, to wpadną w pułapkę, od której ucierpią także jego sprawy zawodowe. Tego był pewien. Jakaż to potworna niedogodność taki fizyczny pociąg! Wydawało mu się, że jest za stary, by tak łatwo ulegać kobiecym wdziękom, tymczasem wobec Marianne był bardziej bezbronny, niż mógłby kiedykolwiek przypuszczać.

Zwinnie wskoczył na konia i poprowadził wzdłuż długiej ścieżki wiodącej koło rancza. Jego ludzie właśnie wyprowadzali bydło na pastwisko i wykonywali wiele innych czynności, których zawsze było bez liku. Naprawiali maszyny, sprząтали stajnie, nakładali paszę, sprawdzali dostawy,

robili listę zakupów i tak dalej, i tak dalej. To naprawdę wielkie wyzwanie prowadzić tak ogromne ranczo. Co prawda sąsiadujące z Three Forks ranczo Tysona Wade'a było znacznie większe. Wprawdzie głównym priorytetem Warda był przemysł naftowy, ale z zapalem hodował również bydło, jak robił to jego dziadek wiele lat temu. Może odezwała się rodowa krew? Oczywiście nie miał nic przeciwko szybom naftowym zagłębionym w ziemi, na której pasło się bydło, przecież one stworzyły z niego bogatego i wpływowego biznesmena. Miał dwa takie szyby na swojej posiadłości, choć prawdziwe czarne złoto kryło się po ziemią wydzierżawioną od Tysona, co zresztą uratowało go przed poważnymi kłopotami finansowymi. No i bardzo dobrze, dzięki temu i wilk był syty, i owca cała. Na szczęście w kwestiach biznesowych instynkt nigdy go nie zawodził.

Marianne patrzyła na niego zaintrygowana satysfakcją, którą wypisaną miał na twarzy. Zastanawiała się, z jakich myśli ją czerpie. Tymczasem Ward roześmiał się pod nosem, patrząc daleko przed siebie.

– Tak, instynkt mnie nigdy nie zawodzi – powiedział jakby do siebie. – Byłbym w stanie nawet wywachać ropę.

– Co takiego? – zdziwiła się.

– Mam na myśli ropę, którą znalazłem na ziemi Wade'a. To było spore ryzyko, ale bardzo się opłaciło.

A więc tak miały się sprawy. To interesy zajmowały go do tego stopnia, a nie jej towarzystwo.

– Czy biznes to jedyna przyjemność w twoim życiu? – zapytała.

– Na pewno jedyny pewny punkt odniesienia — odparł ze wzrokiem utkwionym w odległy horyzont. – Nie było nam lekko, kiedy byłem dzieckiem. Owszem, mieliśmy co jeść, to jeden z bonusów życia na farmie, ale poza tym nie powodziło nam się zbyt dobrze. Zawsze donaszałem po kimś

ubrania, buty zawsze były dziurawe. Ale nie to było najgorsze. Najbardziej bolało prześladowanie z powodu matki. Bolesne słowa, drwiny, pogardliwe spojrzenia...

– Mnie pod tym względem się poszczęściło. Rodzice byli dla mnie bardzo dobrzy i zawsze dawali sobie jakoś radę...

Ward przez chwilę przyglądał się jej w milczeniu.

– Założę się, że byłaś chłopczycą – powiedział wreszcie.

– To prawda – odparła z uśmiechem. – Grałam w baseball, łąziłam po drzewach i bawiłam się w wojnę. Na mojej ulicy mieszkała oprócz mnie tylko jedna dziewczyna, więc musiałyśmy układać całą strategię i zachować zimną krew, żeby przetrwać z tymi wszystkimi chłopakami. Ale trzeba przyznać, że miałyśmy naprawdę dużo frajdy, dorastając w ich towarzystwie, chociaż nie cackali się z nami akurat z tego powodu, że byłyśmy dziewczynami.

– A ja najczęściej bawiłem się w kowbojów i Indian, miałem nawet własnego konia – powiedział z uśmiechem.

– I kim byłeś?

– Zazwyczaj Indianinem, podobno miałem nawet jakiegoś przodka, który był Czirokezem.

– Karnację masz rzeczywiście dosyć ciemną.

– To akurat raczej od słońca, a nie po przodku. Spędziłem wiele lat na platformach wiertniczych. Znacznie łatwiej jest znieść upał, gdy człowiek rozbierze się do pasa. Zresztą nawet dziś czasem pomagam...

Doskonale pamiętała jego ciemną opaleniznę, która wyłoniła się wczoraj spod rozpiętej koszuli. Cudownie było go dotykać. Mimowolnie spojrzała na jego umięśniony tors.

– A ty chyba niewiele się opalasz, co? – Jego oczy zdradzały, że doskonale pamięta jej jasną karnację. – Zawsze mieszkałam w bloku, nie na ranczo w pobliżu nie było plaży, więc nie miałam się gdzie opalać.

Deszczowa piosenka

– I dobrze, bo to niebezpieczne dla skóry, szczególnie takiej jak twoja. Ja mam skórę jak hipopotam, a twoja jest jedwabista i lśniąca.

Poczuła się zakłopotana, dlatego przyśpieszyła. Wiedziała, co Ward sobie teraz wyobraża. Po chwili jednak znowu jechał obok niej.

– Nie wstydź się – powiedział łagodnie. – Naprawdę nie masz czego.

– Chyba naprawdę myślisz, że jestem podlotkiem – obruszyła się.

– Jasne. – Uśmiechnął się szeroko. – I to mi się bardzo podoba.

Marianne spojrzała na rozległy horyzont zaznaczony przez niskie drzewa i niekończące się linie płotów, i na pastwiska pełne bydła.

– Nie miałam wielu chłopaków, a mój tata był bardzo surowy.

– Opowiedz mi o nim coś więcej.

– Był bardzo wysoki i uparty, ale cudowny. Miałam wspaniałych rodziców, bardzo ich kochałam. To był straszny cios, kiedy zmarli. Nigdy wcześniej nie tęskniłam za tym, by mieć rodzeństwo, ale gdy ich zabrakło...

– Musisz się czuć bardzo samotna.

– Samotna czuję się od dawna. Mój tata nie był szczególnie wylewny, poza tym bez końca powtarzał, jakie to ważne, bym była samodzielna. Może i miał rację, nauczyłam się żyć w samotności po tym, jak zmarła mama.

– Ja przynajmniej miałem babcię i Belinę...

Chociaż z babcią to była ciągła walka, jest zbyt podobna do mnie.

No tak, to były te dwie kobiety, na których mu zależało, dobrze zapamiętała jego słowa.

– Co porabia twoja siostra?

– Jest podobna do babci i do mnie – odparł z uśmiechem. – Jeszcze jedna uparta kobieta z klanu Jessupów.

– Z wyglądu też jest do ciebie podobna?

– Nie bardzo. Owszem, oboje mamy zielone oczy, ale ona jest zdecydowanie ładniejsza, no i ma inną budowę.

– Też mi nowina – skomentowała kpiąco.

– Chodzi mi o to, że jest bardzo drobna i niska. Ja wdałem się w ojca, który był olbrzymi.

– Też był nafciarzem? Ward kiwnął głową.

– Tak, fanatycznie kochał ten zawód. I wciąż czekał na odkrycie wielkiej ropy. – W jego głos wdarł się jakiś dziwnie niepokojący ton. – To tam go znaleźliśmy, w tym zagajniku – powiedział cicho, wskazując drzewa na horyzoncie. – Dziś to trudno opisać, jaki to był szok dla wszystkich... Wyglądał, jakby spał.

– Bardzo mi przykro.

– To już było tak dawno... – Obrócił konia i przepuścił ją na ścieżkę prowadzącą nad rzekę. Zsiadł z konia i przywiązał go do drzewa, a potem pomógł zsiąść Marianne.

– Zabawne, ale nigdy nie wyobrażałam sobie tak Teksasu – powiedziała zamyślona, przyglądając się wąskiej rzece, która wiła się pośród kamieni i skał, i przysłuchując się, jak szmerze spokojnie. – Tu jest tak pusto, tyle przestrzeni, tylko gdzieniegdzie drzewa... Nie tego się spodziewałam.

– Jest tu inaczej niż w Georgii, prawda? – zapytał Ward, kładąc się pod dębem. Cały czas bacznie się jej przyglądał.

– U nas nie ma drzew moskitowych, ale zdarzają się w pobliżu sawanny zimozielone dęby, takie jak ten. – Uniosła wzrok. – A w okolicy Atlanty jest dużo dereni, klonów i sosen. Nie ma jednak tak wiele otwartej przestrzeni,

choć może na południowym zachodzie Georgii wygląda to trochę podobnie.

– Zgadza się, widziałem tam nawet opuncje.

– A ja grzechotnika diamentowego. Kiedy byłam małą, jeździłam czasem do ciotecznej babki, która mieszkała w tamtej okolicy. Do dziś pamiętam te wizyty.

Ward usiadł i oparł się o drzewo.

– Tęsknisz za domem, prawda?

– Nie, nie do końca – powiedziała trochę speszona. – Zawsze chciałam pomieszkać na prawdziwym ranczu.

– Akurat to marzenie już się spełniło – powiedział z namysłem.

– Myślisz, że ciocia da sobie radę?

– Z pewnością, jak zawsze. – Ward uśmiechnął się pod nosem. – Nie powiedziałaś Lillian, że wiemy o sobie nawzajem więcej, niż się jej wydaje? Że znamy całą prawdę?

– Dotąd milczałam, bo nie chciałam ciotce sprawiać przykrości, ale kiedyś wreszcie musimy jej o tym powiedzieć.

– Jeszcze nie teraz. – Zmierzył wzrokiem smukłą sylwetkę Marianne i poczuł, jak krew mu zaczyna szybciej krążyć w żyłach. – Chodź tu do mnie...

– Wyciągnął do niej rękę.

Przygryzła wargę.

– Nie wiem, czy to dobry pomysł... – zaczęła niepewnie.

– Założę się, że zeszłej nocy nie spałaś zbyt dobrze, zresztą podobnie jak ja, założę się również o to, że twoje serce bije równie mocno jak moje.

Miał rację, ale i tak była pełna obaw. Zeszłej nocy tak trudno było im się powstrzymać.

– Pragniesz mnie przecież, Marianne, i Bóg mi świadkiem, że ja pragnę ciebie. Tutaj jesteśmy sami, żadnych wścibskich spojrzeń, nikt nas nie zobaczy ani nie usłyszy... Kochaj się ze mną, proszę...

Rozsądek mówił jej „nie”, czemu więc nogi same ją do niego poniosły? A może to łomot bijącego serca zagłuszył głos rozsądku? Potrzebowała rąk Warda niczym spragniony wędrowiec wody na pustyni, niczym przemarznięty na kość biedak ciepła bijącego od ognia w czasie mroźnej zimy. Rozpostarł ramiona, a ona wpadła w jego objęcia jak do swojego domu, jak do bezpiecznego schronienia.

Przeturlał się z nią po ziemi i po chwili leżała pod nim w cieniu wielkiego drzewa. Na tle błękitnego nieba kołysały się duże, zielone liście. Ward rozpiął guziki koszuli, obnażając tym samym swój męski tors, zaraz też poczuła jego rękę przy swojej bluzce. Chwyciła go odruchowo za nadgarstek, ale to go nie powstrzymało. Wsunął jej pod bluzkę dłoń i jednym zręcznym ruchem rozpiął stanik.

– Całkiem niepotrzebna przeszkoda – mruknął, po czym przesunął ręką wzdłuż jej tułowia i miękko położył ją na piersi.

Zadrżała w reakcji na ten leniwy dotyk jego dłoni.

– Czemu nie potrafisz z tobą walczyć? – rzekła z cichym westchnieniem.

– Bo to, co dajemy sobie nawzajem, jest absolutnie cudowne, choć, trzeba przyznać, kompletnie wbrew rozsądkowi, moja ty mała, niewinna dziewico. Podniecasz mnie do granic wytrzymałości, o czym doskonale wiesz – szepnął ze wzrokiem wlepionym w jej ponętne wargi. – Widzę przecież, jak na mnie reagujesz, jakie emocje w tobie wywołuję – dodał, pieszcząc delikatnie jej piersi. – Nawet nie jesteś w stanie sobie wyobrazić, co się dzieje wtedy ze mną. Ta świadomość, że to pod moim dotykiem drżysz jak osika, jest po prostu oszałamiająca. Marianne, gdybym cię teraz wziął, gdybym nie

mógł już dłużej się powstrzymać, cała byś krzyczała i wila się z rozkoszy. Jesteś taka podniecająca, że można przy tobie zapomnieć o bożym świecie. – Każde wypowiedane słowo podkreślał subtelną, wyszukaną pieśczołą, wywołując na ciele Marianne gęsią skórę. Z jej gardła raz po raz wydobywały się ciche westchnienia lub też głuchy jęk, kiedy pieśczoła stawała się bardziej intensywna. Zaczęła miarowo poruszać biodrami, co piorunująco podziałało na Warda. Oddychał ciężko, chrapliwie, był na granicy eksplozji. Marianne otworzyła szeroko oczy i spojrzała na niego zaciekawiona.

– Jak będziesz tak ruszać biodrami, kompletnie stracę kontrolę. Jesteś gotowa na podjęcie takiego ryzyka?

Była gotowa... no, prawie. Ciało błagało o spełnienie. Pragnęła czuć ręce Warda wszędzie, chciała, by byli nadzy, by mogła dotykać jego opalonej skóry, poczuć go w najbardziej intymnym uścisku. Lecz czy była gotowa na ostateczny akt miłosny? Żądza mówiła tak, ale...

Ward aż jęknął, widząc jej zmysłowe spojrzenie, i poprowadził rękę Marianne po sobie w dół, do miejsca, którego jeszcze nie znała. Wystraszona i zaskoczona, cofnęła ją raptownie, sprawiając mu ból. Syknął i przeturlał się na plecy.

– O rany... – jęknął.

– Przepraszam – wyszeptała. – Przepraszam, nie wiem, jak to się stało.

– To nie twoja wina, ale strasznie boli...

Usiadła, nie wiedząc, co powinna zrobić lub powiedzieć. To musiało być dla niego okropne, a wszystko przez nią, przez jej brak doświadczenia. Czowała się jak idiotka.

Ward przyciągnął nogi pod brodę i również usiadł. Rękami obejmował mocno kolana, aż pobiełały mu kostki.

– Nie wiedziałam, że to aż tak może boleć u mężczyzn... Jeszcze raz przepraszam.

– Już ci mówiłem, że to nie twoja wina. – Nie spojrział jednak na nią, jeszcze nie potrafił. Wciąż cierpiał katusze, choć ból zaczął powoli ustępować. Siedział spokojnie, mając nadzieję, że zaraz minie. Była taka ponętna, do diabła z tymi wszystkimi zasadami...

– Gdybym była bardziej nowoczesna... – zaczęła ze złością.

– O tym porozmawiamy za chwilę – uciał.

Zasmucona patrzyła, jak siedzi ze zwieszoną głową, i powoli zaczęła się ubierać. Zapięła stanik i poprawiła bluzkę. Razem tworzyli naprawdę wybuchową mieszankę, kochała go do granic wytrzymałości. Czy czuł do niej to samo? Miał zamiar poprosić ją o rękę? Wstała niepewna i onieśmielona.

– O czym chcesz ze mną porozmawiać? – zapytała, gdy się wyprostował i odetchnął z ulgą.

– Bardzo cię pragnę...

– Tak, wiem – odparła.

– Wiem, że wiesz. – Uśmiechnął się niedwuznacznie, przypominając jej ten zakazany dotyk, który wprowadził ją w takie zakłopotanie.

Wbiła wzrok w ziemię, po czym znów spytała:

– Więc co chciałeś mi powiedzieć?

– Nie możemy tego tak dalej ciągnąć, Marianne.

– Powoli wstał, zatrzymał się tuż przed nią, na brzegu rzecznej skarpy. – Jesteś tego świadoma, prawda?

– Tak – powiedziała przybita.

– Jeszcze trochę i postradam zmysły... Gdyby nie to zdarzenie przed chwilą, mielibyśmy to już za sobą. Na mężczyznach nie można polegać, kiedy tak bardzo się zaangażują, ulegną pożądaniu. Jestem jak każdy inny facet i

przy tak silnym podnieceniu pragnę zaspokojenia. Brak spełnienia jest czymś okropnym, strasznie frustruje, rozwala psychikę.

Marianne przełknęła. Więc to koniec, pomyślała i podniosła wzrok.

– Rozumiem... W takim razie co chcesz teraz z tym zrobić?

Wsunął ręce do kieszeni i westchnął jakby ze znużeniem.

– Na początek wynajmę ci apartament w mieście

– powiedział niechętnie, ale stanowczo. – Otworzę ci konto, żebyś miała z czego pokrywać wydatki, w ogóle dam ci to wszystko, czego będziesz potrzebowała. Lillian możemy powiedzieć, że dostałaś pracę. Oczywiście nie w Ravine, ale na przykład w Victorii. To w sumie niedaleko, a miejscowość jest na tyle duża, żeby ludzie nie wtykali nosa w nie swoje sprawy.

– Ale to bardzo daleko od rancza – zaczęła Marianne z przestachem, zastanawiając się, co ta propozycja ma wspólnego z małżeństwem.

– Dostatecznie daleko, żeby ludzie nie wzięli nas na języki. Nie chcę cię narażać na plotki.

– Plotki? – Nadal nie rozumiała, o czym Ward mówi. Dumiała chwilę, dumiała... Więc on mi się nie oświadcza, pomyślała wreszcie zdumiona.

– Wiesz, jaki mam stosunek do swojej wolności, nie potrafię z niej zrezygnować. Ale część mojego życia będzie należała do ciebie, część, której nigdy z nikim nie dzieliłem. Niczego ci nie zabraknie i nie będzie w moim życiu żadnej innej kobiety. Postaram się też wygospodarować dość czasu, byśmy byli z sobą szczęśliwi.

Powoli zaczęło do niej docierać, co Ward miał na myśli. Docierało, docierało, aż wreszcie stało się całkiem jasne. Zacięty wyraz twarzy i determinacja w jego oczach dawały jej wszystkie pozostałe niezbędne informacje.

– Prosisz mnie, bym została twoją kochanką, czy tak? – Z trudem wypowiedziała te słowa, ale musiała się upewnić.

Przytaknęła, potwierdzając tym samym jej najgorsze obawy.

– To wszystko, co mogę ci dać, Marianne. Nie chcę małżeństwa, miałem jego przedsmak i doprowadziło mnie to na skraj rozpacz. Nie zgodzę się już nigdy na takie ryzyko...

– I myślisz, że ja na to pójde? – Starła się powiedzieć to normalnie.

– Będiesz w pełni usatysfakcjonowana – powiedział zniżonym, zmysłowym głosem. – Już ja o to zadbam, mała, gorąca dziewico...

– A Lillian?

Ward poruszył się niespokojnie. Ten pomysł wydawał mu się jedynym słusznym rozwiązaniem, kiedy rozmyślał nad tym zeszłej nocy, ale teraz, gdy omawiał go z Marianne, nagle wydał mu się dziwnie niestosowny.

– Lillian nie musi o niczym wiedzieć.

– A co, jeśli zajdę w ciążę?

– Będziemy uważać... – Dzieci, pomyślał i odetchnął głęboko. Cóż, i z takiego związku może być potomstwo. Spojrzał na Marianne, zastanawiając się, czy chciałby mieć z nią syna. Jego ciało od razu dało mu odpowiedź, w typowy zresztą sposób. Ta reakcja go zszokowała. – W ciążę? – powtórzył powoli.

– To się zdarza – powiedziała chłodno, z porażającym spokojem. – A może nigdy ci to nie przyszło do głowy? – zapytała, zastanawiając się jednocześnie, ilu kobietom składał podobnie niestosowną propozycję.

– Nigdy wcześniej nie pozwoliłem sobie na to, by doprowadzić się do takiego szaleństwa, żeby narażać na szwank dziewicę, a mówiąc inaczej, nigdy nikogo nie pragnąłem tak jak ciebie – wyłożył karty na stół. To była jego ostateczna deklaracja. Nic więcej nie miał do zaoferowania.

Marianne rozumiała to doskonale. Wyprostowała się i powiedziała sztywno:

– Przykro mi, naprawdę bardzo mi przykro, że masz o mnie takie zdanie. Przykro mi, że tak żałośnie nisko cenisz moja osobę i nie czujesz żadnych oporów przed złożeniem mi takiej propozycji. Cóż, pewnie sama nie jestem bez winy, bo musiałam ci podsunąć jakieś powody, byś mógł pomyśleć, że ją zaakceptuję. Za to nieporozumienie bardzo przepraszam. Nie zdawałam sobie sprawy, że tak szybko można sobie zapracować na opinię kobiety łatwej... utrzymanki... dziwki.

– Marianne, to naprawdę ostatnia rzecz, jaką bym o tobie pomyślał! – zawołał wystraszony takim obrotem sprawy.

– Ach tak? – Roześmiała się przez łzy. – Założę się, że już nieraz wygłaszałeś tę swoją kwestię i że nawet już nie pamiętasz imion wszystkich kobiet, którym złożyłeś taką propozycję.

– Ale... – Ward otworzył usta, żeby jej to wyjaśnić, ale właściwie co? Sprawa nie potoczyła się tak, jak sobie zaplanował. W ogóle nic tu się nie toczyło zgodnie z jego planem, wszystko wymknęło się spod kontroli. Marianne miała w oczach łzy. Na litość boską, przecież nie chciał jej zranić. – Spróbuj zrozumieć... – Wyciągnął do niej rękę.

– Nie! Nie dotykaj mnie! – Nie potrafiła dłużej powstrzymać łez. Gwałtownie odsunęła się od Warda. – Zrobiłam z siebie idiotkę, a może nawet jeszcze gorzej, bo przecież nie bez powodu złożyłeś mi taką propozycję. Ale nie mam najmniejszego zamiaru zostać kochanicą bogatego nafcjarza. O nie, dziękuję bardzo!

– Posłuchaj... – zaczął, podchodząc do niej.

Cofnęła się jeszcze bardziej, wyciągając przed siebie wyprostowane ręce. Zwykle nic sobie nie robił z takich gestów, ale teraz zatrzymał się, a

nawet cofnął, jakby wyrosła przed nim nieprzebyta ściana. To było bolesne odczucie. Znów cofnął się nieco. Brzeg rzeki okazał się śliski i Ward z głośnym pluskiem wpadł do wody. Marianne pożegnała go wzrokiem, po czym podbiegła do swojego konia, odczepiła cugle od drzewa i wdrapała się na siodło. **Z** oczami pełnymi łez ruszyła przed siebie.

Gdy Ward wygramolił się z wody, zobaczył, jak Marianne pędzi przez łąki i pastwiska w stronę rancza. Nigdy nie przypuszczał, że kiedykolwiek w życiu poczuje się jeszcze tak do cna nieszczęśliwy, przybity swoim zachowaniem, po prostu głupi. Ta propozycja naprawdę wydawała mu się dobrym pomysłem dla niego i Marianne. Nie rozumiał, do czego była kobietom potrzebna ta cała stabilizacja. Dlaczego nie mogły się po prostu dobrze bawić jak faceci? Wtedy wyobraził sobie, jak Marianne dobrze się bawi z innym facetem, i twarz poczerwieniała mu ze złości. Ostatnio nie rozumiał sam siebie, ale widok Marianne odjeżdżającej konno tylko po to, by zaraz pojechać znacznie dalej i na zawsze opuścić ranczo, sprawił, że poczuł w środku straszliwą pustkę.

Ona także czuła w sobie tę samą pustkę, choć przecież taka wspaniałomyślna i hojna oferta powinna jej być może schlebić. Jednak czuła tylko smutek i żal. Jaka ty jesteś głupia, pomyślała. Najpierw pozwalasz mu robić wszystko, co tylko zechce, a potem się wściekasz z powodu jakże oczywistych konkluzji. Nienawidziła się za to, że była tak uległa Wardowi, przez co w pewnym sensie dała mu „licencję” na taką intymność. Jej głodne doświadczeń ciało zdradziło ją, przez co gdzieś po drodze całkiem straciła rozsądek.

A teraz nie było już innego wyjścia. Musiała natychmiast wyjechać, opuścić ranczo i ciotkę, i to tylko dlatego, że nie potrafiła zachować rozsądku. Tylko dlatego, że za bardzo pokochała Warda, przez co nie umiała ani jemu,

ani sobie odmówić tej nieskończonej rozkoszy wynikłej z wzajemnych pieśzcot. Najchętniej by umarła ze wstydu. Zamknęła oczy i poczuła, jak palą ją łzy goryczy. Po co tu w ogóle przyjeżdżała? Po co zaczęło się wszystko tak słodko, skoro musiało skończyć się tak tragicznie? Sprawdziła się stara prawda: „Jak sobie pościelesz, tak się wyśpisz”. Cóż, sprawdziła się, ale to żadne pocieszenie. Tym bardziej było jej ciężko, gdy wspomniała te wszystkie minione lata nabrzmiałe samotnością. Ten zawód kosztował ją więcej niż cokolwiek innego w całym życiu. Za bardzo pokochała tego mężczyznę, a teraz musiała go stracić, bo nie chciał się angażować w związek, a ona nie mogła przecież zaakceptować takiej propozycji. A może powinnam była się zgodzić? – pomyślała przybita, ale zaraz zdała sobie sprawę, jak by się poczuła, gdyby była na jego utrzymaniu, a on po jakimś czasie chciałby się jej pozbyć. Poczulałaby się do cna nieszczęśliwa, a do tego wykorzystana i porzucona.

O nie, lepiej, by nigdy nie musiała go poznawać od tej strony. Ceną za takie postawienie sprawy jest nieodwołalne i ostateczne rozstanie, lecz cóż, trzeba tę cenę zapłacić, pomyślała smętnie. Nie chciała posmakować Warda, by potem utracić, na to nie miała sił. Straciłaby przy tym także szacunek dla samej siebie, a to najgorsze, co się może zdarzyć. On również by mnie nie szanował, myślała dalej rozgorączkowana, już teraz mnie nie szanuje, skoro zaproponował coś takiego. Wiedziała, że duma pozwoli jej to przetrwać, bo tej nie zdołał jej do końca odebrać, nawet jeśli złamał serce. Uniosła głowę i otarła rękawem łzy spływające po policzkach. Musi wymyślić jakiś dobry pretekst, coś, co pozwoli jej wrócić jak najszybciej do Atlanty, a jednocześnie przekonać ciocię Lillian, że nie wyjeżdża na zawsze i niedługo ją znowu odwiedzi. Nie mogła przecież pozwolić, żeby ciocia podupadła przez nią na zdrowiu. Pogrążona w myślach, zbliżała się coraz bardziej do domu.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Odprowadziła konia do stajni i oddała go pod opiekę jednemu z pracowników. Postanowiła niezwłocznie pożegnać się z ciocią, a potem ruszyć w drogę powrotną do domu.

Lillian siedziała w salonie i przeglądała kolorowy magazyn. Wyglądała na bardzo zadowoloną. Marianne przystanęła w holu, odetchnęła głęboko, po czym pełna determinacji weszła do środka.

– Ciociu – zaczęła uroczyście – powierzono mi wspaniałe zadanie...

– Tak, a jakie? – Lillian spojrzała znad magazynu na bratanicę.

– Ward posyła mnie do Atlanty, żebym zdobyła informacje o jego dalekim krewnym. – Udawała uszczęśliwioną, jak umiała najlepiej. – Wiesz, chodzi o te jego wspomnienia, a przy okazji opłacę czynsz za mieszkanie i wezmę trochę więcej ubrań.

W pierwszej chwili Lillian cała zeszywniała, lecz zaraz się zrelaksowała, a na jej twarzy pojawił się uśmiech.

– Masz na myśli tylko kilka dni, prawda?

– Tak, tak, oczywiście. – Westchnęła przesadnie. – Naprawdę świetny z niego facet, ale szkoda, że ma tak mało czasu. No i nie ma sensu tak bardzo przywiązywać się do ciężko chorego mężczyzny, wiesz...

O tym Lillian jakoś nie pomyślała, zrobiła więc niewyraźną minę.

– Ale przecież jeszcze nie odchodzi z tego świata, poza tym może wyzdrowieje... Kto wie, czy nie znajdą jakiejś skutecznej kuracji? Byłoby cudownie, jest takim prawdziwym mężczyzną... – dodała ze skrywaną tęsknotą.

– Pewnie tak... – Marianne siliła się na uśmiech, patrząc z ukosa na ciotkę.

– Spędzacie z sobą sporo czasu – ciągnęła dalej Lillian – często wymieniacie porozumiewawcze spojrzenia. Widzę to przecież. Jest naprawdę bardzo przystojny, a ty bardzo ładna. – Gdy Marianne spuściła wzrok, ciotka odłożyła gazetę na stolik i spytała: – To kiedy chcesz jechać do tej Atlanty?

– Dziś po południu – odparła Marianne z uśmiechem – ale chcę szybko wrócić – dodała zaraz. Całe szczęście, że Lillian połknęła haczyk, pomyślała.

– Lecisz samolotem?

– Nie, pojedę autobusem, wiesz, że nienawidzę latać i tylko czasem, kiedy naprawdę muszę, robię wyjątek.

W rzeczywistości nie stać jej było na bilet lotniczy, a to dlatego, że straciła pracę, i to przez Warda. Nie miała zbyt dużych oszczędności i musiała je przeznaczyć na opłacenie czynszu. Mogła się tylko modlić o to, by szybko znaleźć inną pracę. Cholerny Ward Jessup!

– Autobusem? – spytała ciotka podejrzliwie.

– No tak, ale on potem do mnie dojedzie i wrócimy razem.

Lillian rozpromieniła się. Takie rozwiązanie otwierało całkiem nowe perspektywy. Wierzyła przy tym niezłomnie, że Ward nie posunie się do niczego, co mogłoby być niestosowne, nie mówiąc już o Marianne.

– Potrzebujesz pomocy przy pakowaniu?

– Nie, dziękuję, ciociu. Mam tak niewiele rzeczy, że nie będzie żadnego problemu. A ty dasz sobie radę, kiedy mnie tu nie będzie?

– Oczywiście – powiedziała Lillian z irytacją. – Przecież tylko złamałam nogę, no i cały czas łykam te głupie lekarstwa.

– To dobrze, w takim razie biorę się do pakowania. – Marianne weszła na górę i błyskawicznie wrzuciła swoje rzeczy do torby podróżnej. Potem zadzwoniła na stację, żeby się dowiedzieć, o której odjeżdża autobus do Atlanty. Ku jej radości okazało się, że mniej więcej za godzinę. Miała więc

dość czasu, żeby zdążyć na dworzec, a jednocześnie na tyle mało, by musiała bezzwłocznie wyjść z domu. I całe szczęście, bo przynajmniej nie będzie musiała więcej patrzeć na Warda.

Chwyciła torbę i zbiegła prosto w ramiona przemoczonego do ostatniej nitki i wściekłego jak diabli Warda, który właśnie wszedł do domu.

– Opowiedziałam już cioci Lillian o zadaniu, które mi powierzyłeś – powiedziała głośno, by usłyszała ją również ciotka. – Mój Boże, co się stało? Cały jesteś mokry!

– Owszem, jestem – odpowiedział chłodno, choć uprzejmie, patrząc wymownie na jej torbę.

Czyżby spodziewał się czegoś innego? – zdziwiła się Marianne. Po tym, co się stało, z pewnością nie... chociaż...

Na co ona liczyła? Że się jej oświadczę? – przemknęło mu przez głowę.

Marianne minęła go z miną pokerzysty, choć w środku aż się skręcała z rozpaczy. Najchętniej rzuciłaby mu się do stóp i błagała, żeby pozwolił jej zostać, jednak uchroniły ją od tego resztki dumy, które jeszcze w niej się tliły. Zaraz jednak poczuła złość. Powinien się wstydzić, a najlepiej smażyć w piekle za to, że złożył porządnej dziewczynie tak niemoralną propozycję! – krzyczała w duchu.

Na korytarz wyjrzała Lillian.

– Ojej, co się stało? Szefie, proszę szybko się przebrać, bo z tego może być przeziębienie.

– Za chwileczkę – odparł Ward i raz jeszcze spojrzął na torbę Marianne.
– Kiedy wyjeżdżasz?

– Za godzinę mam autobus i byłoby miło, gdyby mnie ktoś odwiózł na dworzec – oznajmiła.

– W końcu ten cały wyjazd do Atlanty to twój pomysł, i gdyby nie to...

– W porządku, przekaż Billowi, że proszę go, by cię podwiózł – rzucił krótko, ucinając jej dalsze wywody.

– Świetnie – powiedziała z udawaną radością, zaciskając do bólu palce na uchwytach torby. – W takim razie do widzenia.

– Jak to, nie zawieszysz jej? – obruszyła się Lillian. Popatrzyła na nich, zmarszczyła brwi. Wyraźnie nabierała podejrzeń.

– Ależ ciociu, popatrz tylko, jest mokry od stóp do głów, a przecież nie chcemy, żeby się przeziębził!

– Oczywiście, że nie – odparła Lillian – ale wolałabym, żebyś nie jechała samochodem z obcym mężczyzną po tych doświadczeniach, które masz...

– Zawiesiła głos, spoglądając na pracodawcę.

– Jest bardzo dzielna – wyjaśnił ze spokojem Ward, chociaż jego oczy ciskały pioruny. – Da sobie radę.

– Jasne. – Marianne kiwnęła głową. – Proszę mi wybaczyć, że nie byłam bardziej przydatna i skora do współdziałania – dokończyła zniżonym głosem.

– Jedź już, żebyś przypadkiem nie spóźniła się na autobus – odrzekł lodowato.

Marianne uśmiechnęła się uroczo i minęła go, by ucałować na pożegnanie ciotkę.

– Jesteś pewna, że wszystko w porządku i dasz sobie radę? – Lillian spojrzała na nią z troską, po czym odwzajemniła uścisk.

– Oczywiście, ciociu. – Marianne uśmiechnęła się ciepło i raz jeszcze cmoknęła ciotkę w policzek. – Nic się nie martw i nie przejmuj się miną szefa. Po prostu nie chce dać po sobie poznać, jak bardzo cierpi z tego powodu, że wyjeżdżam – dodała szeptem.

– To doskonale, kochanie. – Lillian ucałowała ją w czubek głowy, ale jakoś nie była do końca przekonana, że jest faktycznie w porządku. Wyczuwała, że coś wisi w powietrzu.

– Do zobaczenia wkrótce – powiedziała Marianne i ruszyła do wyjścia.

Ward stał pośrodku korytarza z zaciśniętymi pięściami, a na podłogę kapąła z niego woda, tworząc kałużę. Dywan był już całkiem mokry.

– Do zobaczenia, szefie – rzuciła z uśmiechem.

– Proszę o siebie dbać i się nie przeziębć.

– Jeśli umrę na zapalenie płuc, mam nadzieję, że sumienie nie da ci spokoju do końca życia – wymamrotał pod nosem.

– To raczej niemożliwe, już prędzej ty byś wykończył zapalenie płuc – powiedziała złośliwie.

– Zmoczyłeś cały dywan – dodała z uśmiechem.

– Dywan jest mój i jeżeli zechcę, będę tu stał do wieczora. – Zabrzmiało to dość komicznie, ot, głupie przekomarzania pod tytułem: „Kto tu rządzi”, jednak w spojrzeniu Warda malował się czysty chłód, nie pozostało ani śladu po namiętym kochanku sprzed godziny.

– Pozdrowię od pana Georgię – rzuciła jeszcze i ruszyła do wyjścia.

– Masz pieniądze na bilet? – zapytał, gdy stała już w drzwiach.

– Mam, ale nawet gdybym nie miała, dałabym sobie radę. Nie chcę twoich pieniędzy! – zachnęła się i wyszła.

Ward poczuł w sobie znowu ten niepokój, ale nie zdążył już nic powiedzieć, bo Marianne zniknęła za zamkniętymi drzwiami.

– To chyba nie jest jej dzień – westchnęła Lillian, spoglądając badawczo na Warda. W jej oczach czaiły się żal i rezygnacja. – Bez niej pewnie będzie się pan czuł samotny... Domyślam się, że pan wie, co jej powiedziałam...

– Owszem, wiem wszystko.

Lillian westchnęła ciężko.

– Widzi pan, ja się starzeję, a ona jest sama jak palec – zaczęła się tłumaczyć. – Bardzo chciałam, żeby miała kogoś, komu na niej będzie zależeć. Przepraszam pana, mam nadzieję, że oboje mi to wybaczą. Napiszę do Marianne i wszystko jej wytłumaczę.

– Myślę, że lepiej wstrzymać się z tym przez jakiś czas.

Lillian pokiwała ze smutkiem głową. Czuła, że między nimi poszło coś nie tak, może nawet fatalnie, i żadne z nich nie miało ochoty o tym rozmawiać.

– Mam nadzieję, że mi pan wybaczy – powtórzyła raz jeszcze.

– Już wybaczyłem.

Na jej twarzy pojawił się blady uśmiech.

– To nie jest zła dziewczyna... Czy pozwoli jej pan wrócić, jeśli obiecuję, że wszystko wyprostuję i przestanę bawić się w swatkę?

Ward spojrział na nią w milczeniu.

– Więc słyszała pani, o czym rozmawialiśmy?

– Usłyszałabym nawet spadającą igłę – powiedziała na swoje usprawiedliwienie. – Byłam taka zaaferowana, myślałam, że może wy dwoje... Ale cóż, to nie moja sprawa, nie do mnie należy organizowanie ludziom życia. Właśnie zdałam sobie z tego sprawę i obiecuję, że nie będę więcej wtykać nosa w nie swoje sprawy. Marianne da sobie radę, prawda? Niech mnie pan pocieszy... Teraz nawet nie ma pracy, i to przez nas.

Słowa wypowiedane przez Lillian były jak ciosy. Ward i bez nich umierał w środku. Nie chciał, żeby Marianne odchodziła, ale nie wolno mu było jej zatrzymywać, musiał jej pozwolić odejść.

– Wszystko będzie dobrze, da sobie radę, jest młoda i zaradna – powiedział różnym głosem, żeby nie tylko Lillian, lecz także i sobie poprawić

samopoczucie. Oczywiście, że sobie poradzi, jest przecież dzielna, pomyślał. I tak właśnie będzie najlepiej, bo przecież nie miał zamiaru się żenić. Ale co będzie, jak ona tu wróci i wpadnie w ramiona innego mężczyzny? A nawet wyjdzie za mąż? Na samą myśl ścisnęło mu się serce.

– Zgodzi się pan, żeby przyjechała jeszcze w odwiedziny? – spytała Lillian, nie kryjąc smutku.

– Oczywiście, że tak, jest przecież pani bratanicą – odparł zirytowany.

– Raz jeszcze dziękuję, że zgodził się pan na jej przyjazd, to wiele dla mnie znaczy i doceniam to bardziej, niż pan myśli. Wiem, że mógłby mnie pan zwolnić za te moje swaty...

– Co to, to nie, nigdy w życiu! Nie mam ochoty na śmierć głodową. – Wreszcie nieco się rozchmurzył. – Lepiej pójdę się przebrać, zanim zrobi się tu jezioro.

Z podwórka dał się słyszeć warkot podjeżdżającej ciężarówki. Oboje jak na komendę wyjrżeli przez okno. To był Bill, który właśnie się zjawił, żeby zabrać Marianne na dworzec. Patrzyli w milczeniu, jak Marianne wspina się po schodkach i sadowi obok kierowcy. Ward znowu spoważniał, po chwili w milczeniu pomaszerował na górę.

Lillian odprowadziła go wzrokiem, a gdy zniknął, westchnęła ciężko. No cóż, klamka zapadła, choć w sumie chyba nic takiego się nie stało. Chyba... Ale Ward był wyraźnie sfrustrowany. Wróciła do kuchni, wzywana przez obowiązki. Może jeszcze wszystko ułoży się lepiej, niż się spodziewałam, pocieszyła się i zaczęła nucić pod nosem starą melodię, przypominając sobie gwałtowną kłótnię między Marianne a Wardem, której po prostu nie dało się nie usłyszeć. Na jej twarz powrócił uśmiech. Tam, gdzie jest dym, jest też i ogień, pomyślała z zadowoleniem. Tak zawsze zwykł mawiać jej ojciec.

Minął tydzień, a Marianne wciąż nie mogła się otrząsnąć po ostatnich wydarzeniach w Teksasie. Nękały ją nocne koszmary i napady płaczu. Na szczęście wystarczyło jej pieniędzy, żeby opłacić czynsz za następny miesiąc. Zrobiła też zakupy i wysprzątała mieszkanie, w ogóle znajdowała sobie jakieś zajęcia, żeby tylko nie myśleć o tym, co zaszło pomiędzy nią a Wardem.

Wcale nie było jej tak łatwo znaleźć pracę, dlatego bezustannie nachodziła biuro agencji. Niestety wciąż nie było żadnych interesujących ofert. Dlatego gdy tylko pojawiła się propozycja z banku, który poszukiwał początkującej asystentki, natychmiast się zdecydowała i dostała tę posadę. Nie znosiła statystyki, liczb ani matematyki w ogóle, ale to nie był dobry moment, żeby stroić fochy. Podjęła więc pracę w dużym banku w centrum Atlanty, a jednocześnie zmudny proces nauki obsługi komputera i rachunków bankowych.

Któregoś dnia zadzwoniła do niej ciocia Lillian, by się upewnić, czy wszystko w porządku.

– Przepraszam cię – powiedziała szorstko – nie zamierzałam sprawić ci bólu czy przykrości... Po prostu chciałam ci znaleźć kogoś, kto się tobą zaopiekuje, gdy mnie już nie będzie. Teraz, kiedy już wiem, że nic mi nie jest i jeszcze trochę pożyję, sama mogę o ciebie zadbać.

Marianne bardzo wzruszyło to szczere wyznanie, ale mimo to czuła się tak, jakby jakaś jej część umarła.

– Dam sobie radę, ciociu, i przepraszam cię, że tak nagle wyjechałam. Jak sądzę, domyśliłaś się, że się pokłóciliśmy, i to na poważnie...

– Trudno było tego nie zauważyć, jak się patrzyło na was przed twoim odjazdem – przyznała Lillian. – Wiedziałam, że klamka zapadła, gdy Ward cię zapytał, czy masz pieniądze na bilet. Powiedział, iż oboje wiedzieliście, że

naopowiadałam wam różnych głupstw, by was z sobą zeswatać. Podobno domyślił się wszystkiego od samego początku – powiedziała smętnie.

– To prawda – przytaknęła Marianne. – Graliśmy swoje role z uwagi na ciebie. Ale już żadnego swatania, dobrze, ciociu? Zresztą wyglądałabyś dość zabawnie w roli Amora ze skrzydłami, z łukiem i strzałą, przyznaj sama.

– Chyba masz rację – Lillian roześmiała się, lecz szybko spoważniała. – Szef wyjechał godzinę temu na Hawaje. Twierdził, że to wyjazd służbowy, ale nawet nie zabrał swojej aktówki i wyglądał na przybitego.

Może gdyby go Marianne tak dobrze nie знаła, stanowiłoby to dla niej jakąś pociechę, ale wiedziała, że nie ma dla nich żadnej nadziei. Aż ją świerbiło, by powiedzieć, jaką ten drań złożył jej propozycję, ale nie chciała pozbawiać cioci resztek złudzeń. Wystarczy już, że jej zostały tak brutalnie odebrane. W sumie Ward był dla Lillian całkiem dobry, potrafił okazać jej wdzięczność i przywiązanie. Zdaje się, że jako jedna z bardzo niewielu osób zasługiwała w jego oczach na szacunek.

Zobaczysz, wróci do formy, zanim się obejrzysz – próbowała pocieszyć ciotkę. – Nie martw się, z pewnością bez trudu znajdzie sobie na Hawajach nowy obiekt zainteresowania.

– Więc się tobą interesował? – Głos Lillian, osoby przecież już leciwej, zmienił się niemal w pisk nastolatki.

Marianne aż jęknęła, gdy zdała sobie sprawę, że właśnie zdradziła ich tajemnicę.

– A nie tego chciałaś? – powiedziała przygnębiona. – Spełniło się twoje życzenie, tylko że jemu nie chodziło o prawdziwe zaangażowanie...

– Żaden rozsądny facet nigdy nie chce się angażować – zapewniła Lillian. – Trzeba ich w to wmanewrować!

– Nie chcę nikogo w nic wmanewrowywać, a twojego szefa to już na pewno nie, chyba że w ruchome piaski – zakończyła ponuro.

– Ale odwiedzisz mnie jeszcze kiedyś, prawda? Jak już ci minie na niego złość?

– Może kiedyś...

– A co z pracą? Masz już jakieś rozsądne perspektywy?

– Tak, nareszcie znalazłam pracę w dziale obsługi klienta w dużym banku.

– Wiedziałam, że jesteś dzielna i że szybko się znowu odnajdziesz. Dobra dziewczyna, kocham cię, Marianne.

– Ja też cię kocham, ciociu, dbaj o siebie i nie zapominaj o lekach.

– Tak, obiecuję ci to, kochanie. Śpij dobrze, dobranoc.

– Dziękuję, dobranoc, ciociu. – Marianne rozłączyła się i odłożyła słuchawkę. A więc polecił sobie na Hawaje... Dobrze mu się powodzi, nie ma co, łagodna bryza, pachnące kwiaty i piękne kobiety, które z pewnością szybko pozwolą zapomnieć o przygnębieniu i problemach. W tej sytuacji trudno się spodziewać, że będzie za nią tęsknił. Całe szczęście, że miała na tyle zdrowego rozsądku, by odrzucić jego nieprzyzwoitą propozycję. Przynajmniej uratowała resztki dumy i wciąż miała do siebie szacunek. Rzeczywiście, wiele ci to pomoże, pomyślała, układając się do snu, gdy nadejdą długie, chłodne, zimowe wieczory...

Przynajmniej nowa praca okazała się dość ciekawa i dawała nadzieję, że Marianne nie przyjdzie umrzeć z nudów. Poznała, też trochę fajnych ludzi, zwłaszcza Lindy i Marge były naprawdę zabawne i bardzo je polubiła, ale też młody, rudowłosy asystent prezesa, Larry, był niczego sobie, a na dodatek okazało się, że jest wolny. Nie minęły nawet dwa tygodnie pracy w banku, gdy zaczął ją zapraszać na poranną kawę i ciasto. I tak powoli nauczyła się

żyć bez Warda Jessupa, choć związane z nim wspomnienia wciąż powracały i czasem myślała, że już nigdy się od niego nie uwolni. Kiedy zamykała oczy, czuła na sobie jego gorące, namiętne usta i spragnione ręce. To, co ich połączyło, było piękne i wyjątkowe, a na dodatek nigdy jeszcze i przy nikim nie czuła się taka bezpieczna. Najgorsze było to, że mimo swoich wad był naprawdę wspaniałym mężczyzną, i uświadomiła sobie, że jest mu w stanie wiele wybaczyć. Straszliwie za nim tęskniła i czasami wystarczył widok jakiegoś mocno zbudowanego bruneta stojącego do niej plecami, by ścisnął się jej żołądek i podskoczyło serce. A czasem tylko dźwięk niskiego, męskiego głosu albo samochód z teksaską rejestracją. Miłość była jak plaga i Marianne poważnie zaczęła się zastanawiać, czy w ogóle uda się jej kiedykolwiek zapomnieć tego drania, żyć z dala od niego i jego czaru, krótko mówiąc, czy podoła tej rozłące. Gdy rozpoczął się jej trzeci tydzień pracy w banku, nie wytrzymała i zadzwoniła do ciotki, niby tylko po to, by sprawdzić, jak sobie radzi. Przynajmniej tak próbowała sobie wytłumaczyć ten telefon. Ale to nie Lillian podniosła słuchawkę. Usłyszała w niej niski, głęboki głos Warda i struchlała, a serce niemal stanęło jej w miejscu. Nie zdawała sobie sprawy, jak miażdżąca może okazać się ta rozmowa. Dlaczego głupio założyła, że na pewno odbierze ciotka?

– Słucham? – powtórzył już po raz trzeci, nie kryjąc zniecierpliwienia.

Odetchnęła więc głęboko, po czym zapytała najspokojniej, jak umiała, jakby to było najbardziej normalne i oczywiste w świecie:

– Czy zastałam ciocię Lillian?

Na chwilę zapadła głucha cisza. Nie mogła wiedzieć, że jej głos wywarł na nim tak samo piorunujące wrażenie.

– Cześć, Marianne... – powiedział w końcu.

– Jak się masz?

– Bardzo dobrze, dziękuję, a jak się ma ciocia Lillian?

– Też dobrze. Dzisiaj ma kółko różańcowe, więc Bill podwiózł ją do kościoła. Powinna wrócić około dziewiątej, jak myślę. Znalazłaś pracę?

To zdecydowanie nie była jego sprawa, szczególnie że to on pozbawił ją poprzedniej pracy. Może znowu przyjdzie mu do głowy, żeby zrobić jej podobne świństwo? A jednak gdy usłyszała jego głos, zmiękła, a uraza przysła jak bańka mydlana.

– Pracuję teraz w banku – powiedziała z dumą i podała nazwę. – To duży bank i jest blisko mojego domu, do tego pracuję z miłymi ludźmi i zarabiam lepiej niż poprzednio, więc nie musisz mieć wyrzutów sumienia i się o mnie martwić.

– Ale się martwię – powiedział przyciszonym głosem – i to nawet bardzo. I tęsknię za tobą, Marianne.

– Ostatnie słowa wyrwały mu się jakby mimowolnie.

Zamknęła oczy, mocniej zacisnęła palce na słuchawce.

– Czyżby? – Próbowała zachować dystans, mówić jak osoba obca i chłodna, ale wyszło z tego tylko ciche parsknięcie. – Jakoś nie jestem sobie w stanie tego wyobrazić – dodała więc szybko.

– Niebawem ci w tym pomogę – powiedział zmysłowo.

– Słucham? Chyba jasno dałam ci do zrozumienia, że nie jestem zainteresowana ani luksusowym apartamentem w Victorii, ani zasobnym kontem – odparowała, klnąc sobie w duchu za rozedrgany głos, który zdradzał, jak bardzo zranił ją tamtą propozycją.

Ward wymamrotał coś pod nosem, a potem powtórzył nieco głośniejszym i wyraźniej:

– Tak, wiem i żałuję, że cię tutaj nie ma i nie możemy porozmawiać. Wygląda na to, że popełniłem największy błąd w swoim życiu, Marianne, ale myślę, że gdy ci wyjaśnię, to zrozumiesz, dlaczego tak się zachowałem.

Błąd... A więc tak myśli o tym magicznym czasie, który spędzili razem. Wszystko to było tylko jednym wielkim błędem, którego teraz żałował. Poczwała w oczach piekące łzy, ale zagryzła zęby i ciągnęła dalej na tyle spokojnym głosem, na ile jej się to udało:

– Nie musisz się tłumaczyć, już zrozumiałam, dostatecznie dobitnie mi powiedziałaś, jak bardzo kochasz swoją wolność.

– Nie chodzi tylko o to – odparował Ward. – Mówiłaś, że Lillian opowiedziała ci o tym, co mi się w życiu przydarzyło, mam na myśli tę kobietę, którą zamierzałem poślubić...

– Owszem, coś o tym wiem.

Westchnął ciężko.

– Wydaje mi się, że zarówno ona, jak i matka ukształtowały moją opinię o kobietach. Dotarło do mnie, że na ich podstawie oceniam je wszystkie. Gdy już dorosłem, zacząłem postrzegać kobiety jak modliszki, które wycisną z faceta każdy grosz, i odpowiednio do tego je traktowałem. Za fizyczne uciechy płaciłem tak samo jak za transakcje biznesowe. Dopóki nie zjawiałaś się ty, nie miałem czegoś takiego jak sumienie, ale teraz to się zmieniło, zajrzałaś mi do duszy, skarbie, i wciąż tam jesteś.

Jedno było pewne, nikomu wcześniej nigdy tego nie mówił, pomyślała Marianne. Z jednej strony schlebiało to jej, ale z drugiej ją niepokoiło. Starał się jej wyjaśnić, jak to się stało, że popełnił ten „błąd”, i próbował przywrócić ich relacje na przyjacielską stopę. Już raz kiedyś to zrobił, przyszedł do niej do pokoju, by jej to zakomunikować. To było jak pozbawienie jej wszelkiej nadziei, oznaczało dla niej kres wszystkiego...

–Nie powinienes pozwolíc, żebym niepokoiła twoje sumienie, Ward – powiedziała cicho, lecz dobitnie. – Jesteś, jaki jesteś, a ja jestem purytanką, staromodną świętoszką i nie zmienię się, nawet jeśli zmieni się cały świat. Myślę, że będę kiedyś jak ciocia Lillian. Wstąpię do kółka różańcowego i zacznę bawić się w swatkę, żeby uszczęśliwić inne kobiety... – wyrzuciła z siebie jednym tchem, na koniec załamał się jej głos. – Słuchaj, muszę już kończyć...

– Nie – przerwał jej – ty mnie posłuchaj! Marianne, ja...

– Do widzenia, Ward. – Rozłączyła się, by nie usłyszał jej szlochu. Zwinęła się w kłębek na łóżku i tak długo płakała, aż utulił ją sen. Postanowiła, że nie będzie więcej dzwonić do cioci, bo nie może znów narazić się na to, że Ward odbierze słuchawkę i z nim będzie musiała rozmawiać. Spodziewała się, że powie ciotce o jej telefonie, i liczyła, że do niej oddzwoni. Ale serce i tak już miała rozerwane na strzępy.

Następnego ranka wstała jak zombi. Do pracy poszła z podkrążonymi i zaczerwienionymi od płaczu oczami. Mechanicznie wykonywała wszystkie czynności, odbierała telefony, sprawdzała konta, rozmawiała z klientami, ale myślami była cały czas przy Wardzie, słyszała jego aksamitny głos i po stokroć analizowała jego słowa. Te wspomnienia nie tylko pochłaniały ją bez reszty, ale także pożerały żywcem. To wszystko minie, powtarzała sobie, by się uspokoić, musi minąć, nie mogła przecież żyć dalej w ten sposób, zakochana bez reszty w człowieku widmie, zakochana w swoich marzeniach. Dlaczego więc wciąż powracała jej do głowy ta myśl, że do siebie należą, że odnaleźli się niczym dwie zagubione połówki jednej całości? Nigdy wcześniej nie rozumiała, na czym miałyby polegać ta teoria, ale teraz czuła się okrojona z części siebie.

Tuż przed porą lunchu ujrzała długi cień padający jej zza pleców wprost na biurko. Nawet nie podniosła wzroku.

– Proszę dać mi jeszcze minutkę – powiedziała z wymuszonym uśmiechem, kończąc sporządzanie listy nowo założonych kont. Gdy wreszcie oderwała oczy od wydrukowanej kartki papieru, serce aż jej zamarło. Stał przed nią nie kto inny, tylko Ward.

Wyglądał niczym ślepiec, który nagle odzyskał wzrok. W takim człowieku jest i zmęczenie wieloletnim kalectwem, i radość z odrodzenia, i wielka niepewność, i niezłomna nadzieja na przyszłość.

Zapadła długa, wymowna cisza, podczas której zielone oczy Warda bacznie śledziły każdą linię na twarzy Marianne. Wokół nich słychać było szmery głosów, stukanie palców po klawiaturze, dzwonki telefonów, ale na pierwszy plan przebijał się przyspieszony oddech Marianne, uderzenia jej serca, które wprawiały w lekki, falujący ruch różową bluzkę.

Boże, jak on wyglądał! Elegancki, beżowy, trzyczęściowy garnitur leżał na nim wprost wspaniale, no i ten jasny, kowbojski kapelusz, który trzymał w ręku! Przez chwilę Marianne miała wrażenie, że wyszczupłał, bo twarz miał jakby węższą, dość mizerną, a oczy równie przekrwione jak ona. Patrząc na niego, uświadomiła sobie, że to najprzystojniejszy mężczyzna, jakiego w życiu widziała.

Zesztywniała, przypominając sobie wyraz jego twarzy podczas ich ostatniego spotkania. Gdyby tylko nie był takim jadowitym wężem!

– Słucham pana – powiedziała z chłodną uprzejmością. – W czym mogę pomóc?

– Mam za sobą długi, męczący lot, nie jadłem śniadania i czuję się fatalnie...

– Przykro mi, ale to nie jest hotel ani restauracja, tylko bank, i przypominam panu, że tu pracuję i nie mam czasu na odnawianie starych znajomości. Jeżeli chce pan otworzyć rachunek, chętnie panu pomogę, bo tym się tutaj zajmuję, otwieram rachunki dla klientów.

– Nie chcę otworzyć rachunku – wycedził Ward przez zęby.

– A więc czego ode mnie jeszcze chcesz?

– Przyszedłem zabrać cię do domu – powiedział, patrząc wprost w jej oczy. – Twój szef będzie pewnie zawiedziony, że musisz go opuścić, ale zrozumie... Możesz po prostu wstać i wyjść ze mną?

Marianne sarknęła gniewnie. Ten bezczelny kowboj chyba czegoś nie zrozumiał!

– Słucham?! – zapytała z niedowierzaniem, jakby się przesłyszała.

– Chodź ze mną – powtórzył z naciskiem i obrócił w rękę kapelusz. – Zapomniałaś już, że jestem ciężko chory i nie można mnie narażać na takie przeżycia? Cierpię na rzadką i ledwie opisaną przez naukowców śmiertelną chorobę, choć jestem pewien, że medycyna wkrótce znajdzie sposób, by mnie uratować.

– Że co? – Marianne dziwiła się coraz bardziej. Co ten facet bredzi? Coraz mniej z tego, co mówił Ward, do niej docierało.

– Pomożesz mi spisać te wspomnienia czy nie?

– Wiemy, kto wymyślił tę twoją chorobę. No i wcale nie wyglądasz na kogoś, kto ma zaraz kopnąć w kalendarz – syknęła, nie kryjąc złości.

– Ciii... – Przyłożył palec do ust. – Przecież nie chcemy, żeby nas ktoś usłyszał. – Rozejrzał się ukradkiem. – Ta choroba jest jak plaga...

– Nie sądzisz chyba, że rzucę pracę? Ledwie się tu zatrudniłam i jestem bardzo zadowolona...

– Musisz ją rzucić– nalegał Ward. – Jeśli wrócę do domu bez ciebie, Lillian w ramach zemsty zagłodzi mnie na śmierć. I tak już to robi, bo dostaje małe porcje, desery bez cukru, zdrową żywność... – Ward otrząsnął się. – Został ze mnie zaledwie cień dawnego Warda Jessupa.

– Biedny starzec – ironicznie skomentowała Marianne.

– Nie jestem stary, właściwie można powiedzieć, że jestem w kwiecie wieku.

– To już nie moja sprawa i mam nadzieję, że nie przebyłeś tej całej długiej drogi, żeby odstawić tę małą, żalosalną scenkę.

– Przyjechałem, żeby zabrać cię z powrotem do domu – wycodził z naciskiem, obrzucając ją twardym, pełnym determinacji spojrzeniem. – I tak też właśnie zrobię, nawet jeżeli będę musiał wziąć cię na ramię i wynieść stąd siłą.

– Będę wrzeszczeć wniebogłosy – uprzedziła go z nie mniejszą determinacją, nie chcąc dać po sobie poznać, że wywarł na niej ogromne wrażenie.

– I dobrze, bo każdy pomyśli, że coś ci dolega, strasznie cierpisz i potrzebujesz lekarza, a ja powiem, że zabieram cię do szpitala. Więc jak?

Jego nieziemski upór przerastał nawet jej własny i zaczęła szybko rozważać, jakie ma możliwości. Jeśli uda mu się ją wynieść, straci z oczu swoich popleczników, czyli kolegów z pracy, a jeśli zrobi mu aferę na forum publicznym, Ward jeszcze gotów zyskać ich współczucie, a z niej zrobią potwora bez serca. Znalazła się więc w potrzasku.

– Tylko dlaczego? – zapytała cicho, jakby z nutką rozrzewnienia. Musiał pewnie dostrzec, że wygrał tę batalię. – Dlaczego nie zostawisz mnie w spokoju? Dlaczego nie pozwolisz mi tu zostać?

– Twoja ciocia bardzo tęskni za tobą – odparł gburowato.

– Zawsze może do mnie zadzwonić. Nie zamierzam wracać do Teksasu, żeby jeszcze bardziej skomplikować sobie i tobie życie.

– Moje życie i tak już się dostatecznie skomplikowało, a teraz na dodatek jest jeszcze strasznie nudne, jeśli już chcesz poznać całą prawdę – wyznał, nie spuszczać jej z oczu. – Nawet przestało mnie cieszyć przejmowanie cudzej, niespłaconej własności. Poza tym przyjechał mój kuzyn, Bud, i doprowadza mnie do szalu.

Bud... To imię brzmiało jakoś znajomo. Ach tak, to ten, który ożenił się z narzeczoną Warda. Nie była sobie w stanie wyobrazić, jak Ward mógł go u siebie gościć.

– Muszę przyznać, że dziwi mnie, dlaczego pozwoliłeś mu się zatrzymać w Three Forks...

– A więc i tę historię zdążyłaś poznać...

Marianne oblała się rumieńcem i przewróciła oczami.

– Ciocia mi o tym wspominała – wyjaśniła.

– Cóż... – Ward westchnął ciężko. – To moja rodzina, a babcia wprost go uwielbia. Nie mogłem odmówić, nie ryzykując skomasowanego ataku na moją osobę, a może nawet, kto to wie, jej ponownych odwiedzin w obronie tego dupka. Nie ma co babci wyciągać od Belindy, dobrze jej tam.

Historię starej pani Jessup również znała, uśmiechnęła się więc pod nosem. Nie dziwił jej akurat całkowity brak entuzjazmu Warda do ponownego jej goszczenia.

– Skoro już masz jednego gościa, kolejny nie jest ci potrzebny.

– Dom jest duży. Moja sekretarka odeszła, więc przydałaby mi się pomoc w biurze. Zaproponuj mi swoją stawkę...

– To przez ciebie opuściłam Teksas, zmusiłeś mnie do tego, jakbyś własnymi rękami wepchnął mnie do autobusu. Złożyłeś mi tak oburzającą propozycję, że nie pozostawało mi nic innego, jak wyjechać.

Ward odwrócił wzrok, po chwili powiedział:

– Nie może ci się podobać w tej pracy, przecież mówiłaś, że nie cierpisz rachunków...

– Ale za to lubię jeść, a ciężko o jedzenie, kiedy się nie zarabia pieniędzy.

– Możesz wrócić ze mną i je zarabiać... żyć u boku cioci i pomagać mi choćby w powstrzymaniu Buda od wyprzedawania bydła.

– Jak to od wyprzedawania bydła? – zapytała Marianne.

– Do niego należy dziesięć procent rancza... Miałem moment słabości, gdy skończył osiemnaście lat, i taki mu zrobiłem prezent na urodziny, a teraz on mi robi urocze psikusy. Ostatnio wpadł na pomysł, żeby dokopać się do papierów mojego czystej krwi byka Santa Gertrudis.

– A cóż ja bym ci miała pomóc w związku z tym dramatycznym rozwojem sytuacji, nawet gdybym – wyraźnie podkreśliła ostatnie słowo, dobitnie je akcentując – z tobą pojechała?

– Może udałoby ci się jakoś odwieść go od tego pomysłu, poza tym gdybyś siedziała w biurze, nie mógłby tam buszować w czasie mojej nieobecności i kopać w papierach i w komputerze. To jedyna droga, żeby dowiedzieć się wszelkich szczegółów o moich zwierzętach.

Marianne wiedziała, że to tylko pretekst, choć z drugiej strony było raczej mało prawdopodobne, żeby chodziło mu akurat o nią. Po prostu nie miała już takich złudzeń. Ot, było mu to na rękę, egoistyczne męskie zaspokajanie zachcianek, nic więcej. Pewnie wciąż jeszcze jej pożądał i chciał ją posiadać, to po pierwsze, chodziło mu też o uszczęśliwienie Lillian, lecz i w

tym przypadku nie kierowały nim szlachetne intencje. Po prostu Lillian była rewelacyjną kucharką, a on niepohamowanym żarłokiem.

Marianne nachmurzyła się.

Powiedz mi lepiej, jak się ma moja ciocia?

– Dobrze, ale jeśli mam być szczerzy, jest samotna. Zmieniła się, odkąd wyjechałaś. – Podobnież zresztą jak ja, dodał w myślach, ale nie mógł jej tego powiedzieć, w każdym razie nie teraz. Nie ufała mu i co gorsza, wcale nie mógł jej za to winić.

Marianne siedziała przy biurku, bawiąc się ołówkiem, i rozważała propozycję Warda. Mogłaby kazać mu zjeżdżać, a on by z pewnością tak właśnie zrobił, ale wtedy już nigdy go nie zobaczy... Mogła żyć dalej sama, zmagając się z trudami codziennego dnia, ale byłaby to ledwie wegetacja, długa, nudna i samotna.

– Chodź ze mną, Marianne – powiedział łagodnie. – To nie jest miejsce dla ciebie.

– Ale podtrzymuję to, co powiedziałam przed moim wyjazdem. Jeśli wrócę, nie chcę... nie chcę, żebyś...

– Tak, wiem, już to zrozumiałem – powiedział cicho i westchnął. – Nie musisz się martwić, nie będę ci składał żadnych obraźliwych ofert, masz na to moje słowo.

Marianne wstała.

– W takim razie pojedę.

– Więc chodź. – Uśmiechnął się smutno. Niby odniósł sukces, ale do prawdziwego zwycięstwa droga daleka, wiedział o tym doskonale. – Kupiłem już bilety.

– Taki byłeś pewny swego? – mknęła rozeźlona.

– Wprost przeciwnie, jechałem jak pod gilotynę, stawiałem sto do jednego, że przegram, ale kupiłem bilety tak na wszelki wypadek. Gdybyś mi odmówiła, miejsce obok mnie zająłby mój kapelusz.

– Słyszałam, że prawdziwy Teksańczyk kapelusz kładzie na podłodze, a buty wiesz na wieszaku...

– Racja – rzekł z uśmiechem. – W takim razie wolne miejsce zajęłyby moje buty, ale zdecydowanie wolę mieć przy sobie ciebie.

Pośpiesznie uporządkowała papiery na biurku.

– Muszę się rozmówić z szefem.

– Oczywiście. Zaczekam.

Widział przez przeszkloną ścianę, jak z przeproszącą miną rozmawia z szefem, a na koniec się żegna. Potem wyszła, wzięła swoją torebkę, pomachała koleżankom i kolegom i wreszcie mogli opuścić bank.

Czuła się naprawdę nieswojo i wiedziała, że jej decyzja jest bardzo ryzykowna, ale wciąż była zbyt bezbronna wobec niego, by mu się oprzeć. Mogła mieć tylko nadzieję, że nigdy się nie dowie, jak wielką ma nad nią władzę.

I nagle przemówiła przyroda. Na czystym niebie pokazała się chmura. Pociemniało, gdy nadleciała nad Marianne i Warda.

Zrobiło się jeszcze bardziej ponuro. Marianne i Ward, tak bardzo spięci i zdenerwowani, odczuli to jako złą wróżbę. Spadły krople deszczu.

Ożywczego, dobrego deszczu.

Drobnego, przyjaznego deszczyku.

Spontanicznie złapali się za ręce, zaczęli śpiewać „Deszczową piosenkę” i tańczyć na ulicy jak wariaci.

Ludzie przystawali, przyglądali się roześmianym dziwołagom, podśpiewywali z nimi.

Mała dziewczynka rzuciła na nich z okna różyczkę.

Przechodzący policjant zasalutował żartobliwie.

Chmura odleciała, deszczyk ustał.

Padał może z minutę.

Ta chwila pewnie nic nie znaczyła.

A może...

Pojechali do jej mieszkania i podczas gdy ona się pakowała, Ward przechadzał się w tę i z powrotem po dużym pokoju, spoglądał przez okno i od czasu do czasu przesuwał palcami po grzbietach książek stojących w małym regale.

– Niezłą masz tu kolekcję z historii: „Starożytna Grecja”, „Herodot”, „Tukidydes z Aten” – czytał na głos tytuły.

– Lubię starożytną historię – potwierdziła Marianne. – To ciekawe, jak ludzie żyli w innych czasach.

– Zgadzam się z tym, choć wolę historię Dzikiego Zachodu. Mam spory zbiór na temat szczepów indiańskich i kowboi w południowym Teksasie od czasów Wojny Domowej aż do końca dziewiętnastego wieku.

– Ach tak... – Weszła do salonu ze spakowaną torbą i zdała sobie sprawę, jak bardzo Ward wypełnia go swoją osobą. Był taki duży i taki męski, że pomieszczenie jakby się skurczyło.

– Nie znamy się za dobrze, co? – rzucił do niej półgębkiem.

– Zdaje się, że bliższe poznawanie kobiet to raczej nie jest twoje hobby – odgryzła się Marianne. – Przynajmniej nie w sensie intelektualnym.

– Wyjaśniłem ci przecież, dlaczego tak jest. Niełatwo się nauczyć ufać ludziom.

– Cóż, ze mną jest podobnie – wyznała w zadumie, zaraz się jednak otrząsnęła. – Już jestem spakowana.

Ward rzucił okiem na jej walizkę. Nie była zbyt duża.

– Wystarczy ci to na jakiś czas?

– Myślę, że na tydzień lub dwa powinno wystarczyć, w sumie nie mówiłeś, ile mam zostać.

– Odłożmy to na później, a teraz chcę po prostu wrócić z tobą do domu.

– Raz jeszcze rozejrzył się dokoła. – Twoje mieszkanie jest takie jak ty, jasne i pogodne, no i bardzo przytulne.

Ciekawe, pomyślała, jak to możliwe, bo ona już od tygodni nie czuła się ani jasna, ani pogodna, ani przytulna. Była zdołowana i przybita, ale miło było jej słyszeć, że Ward ma takie skojarzenia.

– Tyle że nie mam w domu strumienia – powiedziała z komicznym smutkiem.

Ward wreszcie się uśmiechnął.

– I całe szczęście, bo gdyby tu był, znając ciebie, pewnie już bym się w nim kąpał. Prawda?

Chrząknęła zakłopotana i również się uśmiechnęła na wspomnienie tamtej przygody.

– Możesz mi wierzyć lub nie, ale nie miałam zamiaru cię utopić ani nawet zmoczyć.

– Czyżby? Wtedy odniosłem inne wrażenie. – Na chwilę zawiesił głos, a potem ciągnął dalej, tyle że już na całkiem inny temat. – Mówiłem serio, Marianne, już nigdy ci nie złożę żadnej obraźliwej propozycji.

– Doceniam to, przykro mi tylko, że dałam ci powody, byś miał o mnie aż tak kiepską opinię. Nie powinnam była do tego dopuścić.

Podszedł bliżej, położył jej dłonie na ramionach.

– To, co nas połączyło, było czymś całkiem szczególnym. Nie potrafiłem tego powstrzymać, zresztą jak i ty. Postarajmy nie odwracać się już

za siebie, tamten etap naszego związku jest za nami, skończył się definitywnie.

Te słowa zabrzmiały tak ostro, tak ostatecznie. Bardzo ją to zabolalo. Wbiła wzrok w jego kamizelkę, która unosiła się i opadała w rytm oddechu.

– No tak... – Westchnęła. – Wiem.

Miała cudownie gładkie włosy, zupełnie jak ciemny jedwab, pachniała kwiatową łąką. Nagle wydało mu się czymś strasznie bolesnym, że tak dawno nie trzymał jej w objęciach i nie całował. Tak nieskończenie i desperacko tego pragnął, ale obiecał sobie, że będzie powściągliwy i niczego nie wolno mu przyśpieszać.

– Lubisz małe kotki? – zapytał niespodziewanie.

– Tak! – Jej oczy rozbłyły. – Dlaczego pytasz?

– Bo mamy w domu kotkę z kociętami. Lillian nie mogła się powstrzymać i przygarnęła ją, kiedy miauczała wniebogłosy na ulewnym deszczu. A już następnego ranka okazało się, że mamy czwórkę białych kociątek z oczami tak niebieskimi jak... – Spojrzał na nią przeciągle i dodał po chwili: – Jak twoje.

– Pozwoliłeś, by je zatrzymała?

– No cóż, lało jak z cebra i gdybym kazał je wynieść, z pewnością by utonęły w strugach deszczu.

Jakoś tego nie kupiła, przecież nie był ani szczególnie romantyczny, ani wrażliwy. Dziwne, swoją drogą, jak dobrze zdążyła go poznać przez ten krótki okres, który spędzili razem.

– No i? – Marianne ściągnęła z niedowierzaniem brwi. – I to ma być prawdziwy powód tej karkołomnej decyzji?

Ta jej sceptyczna mina! Z trudem powstrzymał się, żeby nie wybuchnąć śmiechem. Ta mała znała go lepiej, niż mu się zdawało.

– Wade, mój kuzyn, ma alergię na koty, więc nie mogłem mu ich wcisnąć.

– Ależ ty jesteś!

– No co?

– Niemożliwy! – Roześmiała się. – I jaki podły!

– Że co, że zatrzymałem małe kotki, to jestem podły? Kiedy ja lubię zwierzątka i jestem bardzo dobrym człowiekiem – reklamował się ponad wszelką przyzwoitość, udając przy tym oburzenie.

– Dobrze wiesz, co mam na myśli, gdy mówię, że jesteś bezdusznym draniem. – A jeśli mu się coś nie podoba, pomyślała, może się zabierać, przecież nie trzymam go tu pod kluczem. Chociaż z drugiej strony kochała w nim to, co dobre, i to, co złe. Czy to nie straszne? Ale przecież na tym właśnie polega miłość... – Wróćmy lepiej do Buda. Czemu nie zostawisz go w spokoju?

– Ja?! Niech on mnie zostawi w spokoju, mnie i mojego boskiego byka. Nawet nie masz pojęcia, ile czasu walczyłem o to stworzenie, przelicytowałem dwóch najbogatszych hodowców bydła w Teksasie, żeby go zdobyć.

– A na co mu ten byk?

– Pewnie chce go użyć do jakichś celów, o których nic mi nie wiadomo, może chodzi mu o jakąś agencję reklamową. – Ward westchnął ciężko.

– Jak to, chce się reklamować za pomocą byka? – zdziwiła się.

– Nie o to chodzi, nie sądzę, żeby chciał go użyć do rozreklamowania męskiej bielizny. Myślę, że chce go raczej sprzedać, żeby dofinansować swoją firmę.

– Aha, no dobra, już nie patrz tak na mnie, jakbym postradała zmysły. Zabrzmiało to co najmniej tak, jakby chciał zrobić z twojego ukochanego byka seksowny model.

– No nie, kobieto! – Ward wybuchnął śmiechem.

– Doprowadzisz mnie do rozpaczy! – I może tak by się stało, gdyby zaczął zagłębiać się w zakamarki swojej psychiki, dociekał powodów, które kazały mu przebyć tę daleką i uciążliwą drogę. Tęsknota za Marianne wydawała nagle mu się czymś nie aż tak ważnym, choć w domu trudno mu było znaleźć sobie miejsce. Teraz jednak bardziej chodziło o to, jak być obok niej i nie postradać zmysłów. Pragnął jej nieustannie i nie mógł przestać o niej myśleć ani w dzień, ani w nocy. Ale małżeństwo naprawdę nie było dla niego, coś takiego mu po prostu nie służyło, jak dla niej było niemożliwe, by została jego kochanką. Mogli więc co najwyżej żyć w przyjaźni... Przynajmniej Lillian przestałaby się na nim wyżywać i go głodzić. Wspaniale, tylko jak to zrobić? Miał przecież szlachetne zamiary, tylko nie wolno mu było stracić ich sprzed oczu, nie wolno mu było zboczyć z tej raz wytyczonej drogi.

– A nie możesz z nim zwyczajnie pogadać, poprosić go, żeby sobie pojechał?

– Już to zrobiłem, Lillian też, ale za każdym razem, gdy wszystko jest już ustalone, dzwoni rozżalony do babci i mówi, że nie jesteśmy dla niego gościnni, i potem mi się za to dostaje.

– Wygląda na to, że babcia musi go lubić – odparła Marianne.

– Obawiam się, że bardziej niż mnie, chociaż naprawdę nie rozumiem dlaczego. – Ward obrócił kapelusz w rękach. – Jeśli chcesz, dam ci małego kotka.

– Hola, to zwykle przekupstwo! – oburzyła się teatralnie, lecz efekt zepsuła uśmiechem.

Odwzajemnił jej uśmiech. Była naprawdę piękna, szczególnie gdy się uśmiechała.

– A czy ja twierdzę, że jest inaczej? – rzucił i rozejrzył się po jej małym mieszkaniu. – Pozwolą ci tu trzymać kota?

– Nigdy o to nie pytałam, ale chyba tak. – A więc zaplanował także jej rychły powrót, pomyślała z goryczą.

– Zresztą... kto wie, może wcale nie będziesz chciała wracać? – dodał cicho. – Powinna ci się spodobać praca u mnie. Jestem dobrym szefem. Będziesz mogła brać wolne w każdą niedzielę od świtu do czternastej, a przy komputerze będę cię trzymał tylko do dziewiątej wieczorem.

– Stary tyran! – syknęła, choć oboje wiedzieli, że nie mówi serio.

Ward nie roześmiał się jednak, jak się tego spodziewała, tylko spojrzał na nią badawczym, poważnym wzrokiem.

– Więc wydaję ci się stary? – zapytał, jak gdyby to naprawdę miało jakieś znaczenie.

Uważaj, dziewczyno, ostrzegła się w myślach, ten łotr znowu chce cię przechytrzyć.

– Nie, nie uważam, żebyś był szczególnie stary – odpowiedziała.

– Rozumiem, że dla takiego dzieciaka jak ty mogę być starym grzybem – drażył dalej, patrząc jej przy tym głęboko w oczy.

Nie chciała teraz myśleć o tym, jak bardzo poczuła się dojrzała dzięki jego gorącej namiętności.

– Czy nie mówiłeś przypadkiem, że ten etap mamy już za sobą? Zapomniany i zakończony, ot co.

– Masz rację, skarbie, dobrze, jeśli tego właśnie chcesz...

Marianne popatrzyła na niego zdziwiona. W jego oczach malowały się wyczekiwanie i napięcie.

– Znaleźliśmy się w swoistym impasie, nie sądzisz? – spytała z naciskiem. – Ty nie chcesz się żenić, a ja nie chcę wdawać się w przelotny romans. A zatem nie pozostaje nam nic innego jak przyjaźń.

Ward zacisnął palce na kapeluszu.

– W takiej formie zabrzmiało to jakoś... byle jak... tani, tandetny towar na bazarze. – Spojrzał na nią spode łba, jako że zaniepokoiła go ta uwaga.

– A uważasz, że to nie jest tanie? Byle jakie? – Wstała. Był o niebo wyższy od niej, ale jakoś jej to nie deprimowało. – Moim zdaniem tak to właśnie wygląda. Ty miałbyś wszystkie przywileje wynikające z takiego związku, praktycznie jak w małżeństwie, i to przy zerowej odpowiedzialności. Ale co ja bym z tego miała? Zastanawiałeś się kiedyś nad tym? Kochanica szefa i w razie czego prezent pożegnalny, kiedy już ci się znudzę. A potem zostanie mi już tylko zła sława i smutne wspomnienia, a do tego zero szacunku do samej siebie i samotność do końca życia. Wybacz, ale to dość kiepski interes. Pa, pa, nie wchodzę w to.

– Ty mała świętoszko, co ty możesz wiedzieć o poważnych problemach z tym swoim niesplamionym sumieniem? Dla ciebie wszystko jest takie proste, co? Czarne albo białe? Najpierw prowokujecie facetów, doprowadzając ich do szaleństwa, a potem chcecie ich złapać w małżeńską pułapkę? A na koniec zgarniacie, co się da, i znikacie. I co ma z tego twoim zdaniem facet?

Jego podejście do kobiet zszokowało ją na dobre. Nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo mu zależało na skórze, dopóki nie usłyszała tego gorzkiego komentarza.

– Chcesz powiedzieć, że tak się wobec ciebie zachowała? – zapytała łagodniej. – Doprowadziła cię na skraj szaleństwa, a potem poszła z innym, który był w stanie zaoferować więcej?

Twarz Warda stała się jakby wykuta z kamienia. Jeszcze nigdy go takiego nie widziała, może dlatego, że jeszcze nigdy o tym nie mówił, a teraz tak naprawdę zmusiła go do tego.

– Tak... – Zamilkł na moment. Właśnie tak zrobiła. A gdybym był na tyle głupi, by się z nią ożenić, bez wahania podciąłaby mi gardło nie tylko finansowo, ale też emocjonalnie. I biegnąc do banku, nawet by się nie odwróciła, żeby sprawdzić, czy się przypadkiem nie wykrwawiam na śmierć.

Marianne podeszła bliżej, poruszona cierpieniem wypisanym na jego twarzy i całkowitym brakiem złudzeń.

– Chcesz wiedzieć, czego większość kobiet oczekuje od małżeństwa? Pragną bliskości, której dostarcza im opiekowanie się jednym jedynym mężczyzną przez całe życie, chcą dbać o niego i sprawiać mu różne drobne radości... Pragną być z nim razem w dobrych, ale i w złych chwilach. Dobre małżeństwo ma niewiele wspólnego z zasobnym kontem, przynajmniej sądząc po tym, co zdażyłam zauważyć. Dla mnie małżeństwo to obopólne zaufanie i dbanie o siebie nawzajem, a tego nie można kupić, i to za żadne pieniądze.

Ward poczuł, jak mięknie. Nie cierpiał tego. Ta dziewczyna go otumaniała i nie był w stanie wydostać się z szaleńczego wiru, i za każdym razem było coraz gorzej. Pragnął jej tak bardzo, że aż czuł fizyczny ból, ale cielesne doznanie to nie wszystko. Poruszała go od środka jak żadna inna kobieta, może oprócz Caroline. Caroline... Czy uda mu się ją kiedykolwiek zapomnieć?

– Piękne słowa – powiedział gorzko.

– Piękne ideały – poprawiła go Marianne. – Co więcej, wciąż wierzę w te stare prawdy, nawet jeśli wydają ci się śmieszne. I jestem pewna, że któregoś dnia znajdę mężczyznę, który również będzie w nie wierzył.

– Może... na jakimś cmentarzysku – złośliwie zakpił Ward.

– Jesteś taki cyniczny – rzuciła mu oskarżycielsko w twarz.

– Miałem dobrych nauczycieli – odparował, po czym włożył na głowę kapelusz. – To co, gotowa?

– Gotowa... – Miała równie zły nastrój co on.

Schylił się po jej torbę i podszedł do drzwi. – Więc chodźmy.

Wyszli na korytarz, Marianne pozamykała zamki. Wzdychając ciężko, wsunęła klucze do torebki. Właśnie sobie uświadomiła, że ostatnimi czasy jej życie stało się zupełnie nieprzewidywalne, tak samo jak mężczyzna stojący obok niej.

Lot wydawał się dłuższy, niż był w rzeczywistości. Całe szczęście, że Marianne kupiła kilka kolorowych czasopism, bo Ward zakrył twarz kapeluszem, skrzyżował ręce na piersiach i przez całą drogę milczał. Nawet gdy stewardesa przysłała z lunchem, tylko na moment uchylił kapelusza i otworzył oczy, żeby podziękować za posiłek. Marianne doszła do wniosku, wgryzając się w chrupiącą kanapkę z szynką i serem, że jest albo potwornie wściekły, albo chory. Nigdy nie zauważyła, żeby z innych powodów odmawiał jedzenia. Żałowała teraz, że się pokłócili, choć w sumie powinna się cieszyć, bo przecież skoro był na nią zły, to przynajmniej zostawi ją w spokoju. Naprawdę nie mogła zrozumieć samej siebie, co w nią wstąpiło, że zgodziła się na to kolejne szaleństwo. Parę godzin temu wydawało się jej, że to ma sens, ale teraz... Oczywiście gdzieś w skrytości ducha marzyła, że musi mu na niej choć trochę zależeć, skoro przebył taki kawał drogi, żeby z nią porozmawiać. Teraz jednak miała wrażenie, że już siebie znienawidził za ten pomysł. Była zdruzgotana i przekonana, że powinna mu była stanowczo odmówić. Po chwili zdała sobie sprawę, że właśnie to zrobiła, ale koniec końców nie pozostawił jej praktycznie wyboru. Westchnęła głęboko, a potem uniosła odrobinę rondo jego kapelusza i zapytała:

– Może chcesz gryzą?

– Nie sądzisz, że gdybym był głodny, to bym również jadł? – wycedził przez zęby.

Wzruszyła ramionami.

– Proszę bardzo, dla mnie możesz się zagłodzić na śmierć, nic mnie to nie obchodzi.

Ward uniósł jednym palcem rant kapelusza.

– No tak, ty i to twoje czyściutkie sumienie... Nie gryzłoby cię?

– Na pewno nie z twojego powodu. – Wsunęła do ust ostatni kawałek bułki. – Poza tym nie moja wina, że ogłosiłeś głodówkę.

– Popsułaś mi apetyt.

– Ach tak? Ciekawe czym? Wypowiadając magiczne słowo „małżeństwo”? Dla niektórych nie jest to aż taki koszmar i sama któregoś dnia stanę przed ołtarzem. Przykro mi więc, ale nie dzielam twojego podejścia do tego tematu i co więcej, uważam, że tyle, ile się włoży w związek, tyle się z niego dostanie.

Ward przymrużył oczy.

– A co ty jesteś w stanie do niego włożyć?

– Miłość, śmiech i dużo rozmów do poduszki – powiedziała bez wahania. – Myślę, że będę w stanie dać mojemu mężowi wszystko, czego będzie pragnął, nie tylko w łóżku, ale także poza nim. A tobie życzę powodzenia we wszystkich romansach, aż będziesz już w końcu za stary, żeby je dalej ciągnąć. A wtedy zostaniesz sam i będziesz mógł już do końca życia przeliczać swoje pieniądze. Pozwolę moim wnukom, żeby cię od czasu do czasu odwiedzały.

– Mogę się ożenić, kiedy tylko tego zechcę – powiedział wzburzony nie na żarty. – Kobiety wprost błagają mnie o to.

– No proszę, proszę... – Marianne zagwizdała przeciągle. – Ale chciałam zauważyć, że dobiegasz już czterdziestki i wciąż jesteś singlem...

– A ja chciałem zauważyć, że kończę w tym roku trzydzieści sześć, a nie czterdzieć.

– Co za różnica, trzydzieści sześć to i tak koszmarnie dużo. – Wydeła lekceważąco wargi. Żałowała, że nie ma gumy balonowy, bo efekt byłby jeszcze lepszy.

Ward aż otworzył usta z oburzenia, jakby chciał coś powiedzieć, ale zabrakło mu pomysłu na obronę zalet wieku dojrzałego. Rzucił jej tylko gniewne spojrzenie, po czym odchylił głowę do tyłu i zsunął kapelusz z powrotem na twarz, mamrocząc przy tym coś pod nosem. Nie odezwał się już do niej więcej ani słowem aż do lądowania.

– Zamierzasz mnie ignorować przez resztę mojego pobytu na ranczu? – zapytała, gdy siedzieli już w samochodzie. – Więc po co mnie tu ściągałeś?

– Trudno prowadzić z tobą jakąkolwiek rozmowę, skoro za każdym razem wybuchasz – powiedział szorstko.

– Ciekawe, a mnie się zdawało, że jest akurat odwrotnie – rzuciła niedbale. – Nie widzisz, że to ty ciągle warczysz, a nie ja? Ja tylko powiedziałam, że chcę wziąć normalny ślub, mieć rodzinę i dzieci.

– A musisz to wciąż powtarzać? Ciarki mnie przechodzą, gdy tylko o tym pomyślę.

– Naprawdę nie rozumiem dlaczego, przecież to będą moje dzieci, nie twoje.

Ward zacisnął zęby. Właśnie uzmysłowił sobie coś, czego wcześniej nie brał w ogóle pod uwagę. Jego kuzyn Bud był młodym przystojniakiem i bardzo mu zależało na tym, żeby się ustatkować po zawodzie z Caroline. Wystarczy, że rzuci tylko jedno spojrzenie na to słodkie niewiniątko, i od razu

uczepi się jej sukienki, a po krótkich zalotach zaproponuje ślub. A do tego był beztroski i nie miał za sobą złych doświadczeń... bo Caroline to był epizod, nie zaś zdruzgotane serce... a co za tym idzie, nie miał też blizn, które pozostawiło na nim życie. To z kolei oznaczało, że nie bał się związku, co więcej, gdy się na niego patrzyło, odnosiło się wrażenie, że jest chodzącą miłością, prawdziwym entuzjastą małżeństwa. I oto on sam sprowadzał mu właśnie wprost w ramiona idealną narzeczoną, jedyną kobietę na tej ziemi, której pragnął do bólu, a której nie zdobył. Za to Bud nie będzie miał z tym najmniejszego problemu. Ward bez uprzedzenia nadepnął z całej siły na hamulec.

– Co jest? – wykrzyknęła Marianne, która z impetem poleciała do przodu. – Co się stało?

– To tylko zajac. – Zerknął na nią ukradkiem. – Przepraszam.

Nie widziała żadnego zajaca, za to Ward był na twarzy biały jak kreda.

– Dobrze się czujesz? – Jej głos był łagodny i przepelniony troską.

Ta troska ujęła go nadspodziewanie. Czuł się wobec niej taki bezbronny, jakby serdeczne ciepło Marianne wiązało mu ręce i usta. Tylko że wcale nie chciał tych więzów, ani ślubu, ani dzieci. Czemu więc, gdy patrzył na nią, czuł taką słodką, niepojętą tęsknotę i taką błogość? Nie miało to nawet nic wspólnego z pożądaniem czy seksem, którego przecież nie było. Tym bardziej więc miał powód do poważnego niepokoju.

– Tak – powiedział spokojnie – wszystko w porządku, nic mi nie dolega.

Kawałek dalej zjechał na wąską, wiejską drogę, która tak naprawdę powstała ze śladów opon w trawie i prowadziła do bramy ogromnego pastwiska sięgającego aż do odległego zagajnika.

– Tu żył mój dziadek, tu się urodził mój ojciec, o tam, gdzie te drzewa, tyle że wtedy stała tam mała chata z jedną izbą. Tutaj też moja babcia, bardzo

dzielna kobieta, odprawiła starą wiatrówką grupę Komanczów. Dziadka akurat nie było w domu, bo bawił w Kansas. – Ward wysiadł z samochodu i otworzył drzwiczki po jej stronie. – Znam obecnego właściciela – ciągnął dalej, gdy stanęła obok niego – nie ma nic na przeciwko, żebym tu przyjeżdżał. Czasami lubię odwiedzać to miejsce. – Nie zapytał, czy też miała ochotę na tę wizytę, tylko wyciągnął do niej rękę. – Chodź ze mną.

Bez namysłu podała mu dłoń i przeszył ją przyjemny dreszcz. Nagle poczuła się bezpieczna, a do tego była przy nim taka mała i bezbronna. Otworzył bramę i weszli na posesję. Był wyraźnie zadowolony, że udało mu się wzbudzić jej zaciekawienie.

– Każdy hodowca wie, że nie ma to jak pastwisko z ogrodzeniem.

Przez chwilę szli w milczeniu. Musiało tu ostatnio padać, bo ziemia była jeszcze mokra, a gdzieś tam stały duże, błotniste kałuże.

– Kiedyś farmer mógł bez sądu zastrzelić opryszka, który zostawiał za sobą otwartą furtkę, bo mogło przez nią uciec bydło.

– Naprawdę napadali na te wioski Indianie?

– Oczywiście, skarbie, głównie Komańcze, ale byli też meksykańscy bandyci, którzy najeżdżali tutejsze rejony. Kradzież bydła była kiedyś świetnym interesem. I można powiedzieć, że na niektórych obszarach nadal jeszcze kwitnie ten proceder, tyle że zwierzęta wywozi się wielkimi ciężarówkami, podczas gdy dawniej po prostu pędziło się całe stado przez kraj. Zmieniłi oznakowanie zwierząt i trudno im coś było udowodnić.

– Nieźle dawali sobie radę...

– To fakt, ale to przestępstwo. – Ward wsunął ręce do kieszeni i stał tak przez dłuższą chwilę, zapatrzony w dal. Na obrzeżach pastwiska rosły pierzaste drzewa moskitowe i zimozielone dęby. Uśmiechnął się sam do siebie. – Boże, jak tu pięknie – powiedział w końcu. – Taki spokój i cisza...

Nigdy mi się to nie znudzi, to chyba przez tę irlandzką krew, która płynie w moich żyłach. – Spojrzał na Marianne. – Moja babcia dziś twierdzi, że to brytyjska krew, ale tak między nami, jakoś mi się nie wydaje, żeby nazwisko O'Mara miało brytyjskie pochodzenie, a tak właśnie brzmi jej nazwisko panięskie.

– Może twoja babcia z jakichś względów nie przepada za Irlandczykami?

– Pewnie nie, skoro pewien Irlandczyk porzucił ją w czasie wojny...

– Jakiej wojny? – zapytała Marianne.

– O to boję się zapytać i nawet nie wiem, ile ona właściwie ma lat. Zresztą nikt tego nie wie.

– Jakie to ekscytujące! – Marianne roześmiała się beztrósco.

Ward przyjrzał się jej bacznie. Tak bardzo się przy nim zmieniała, że aż trudno było w to uwierzyć. Dziś ta pewna siebie i uwodzicielska kobieta, która stała teraz obok niego, w niczym nie przypominała tej dawnej Marianne, bladej i spłoszonej.

Zapadła krótka, pełna napięcia cisza, wreszcie Marianne ruszyła przed siebie w stronę zagajnika, w którym znajdowały się ruiny rancza. Stare zabudowania uginały się pod naporem lat, manifestując swój wiek spróchniałymi belkami i rdzą. Ale obecność Marianne sprawiała, że wszystko to jakby zaczynało żyć na nowo i nabierać nieznanego blasku, blasku będącego odbiciem jej promiennego wnętrza. Ekscytujące i zdumiewające, jak przy nim rozkwitała. Był bliski tego, by przypuszczać, że stał się dla niej ważny, a może go nawet kocha...

Nagle Marianne odwróciła się, a w jej oczach malował się zachwyt.

– Popatrz, Ward!

Spojrzał we wskazanym kierunku i dostrzegł róże rosnące obok schodów, których różowe kwiaty przedarły się przez masę splątanych pędów i liści winorośli. Wokół unosił się zniewalający zapach.

– Są takie cudownie piękne! – Pochyliła się, żeby powąchać kwiaty. – Cóż za niebiański zapach!

– Rodzinna legenda głosi, że babcia mojego ojca, pani O'Mara, przywiozła je z hrabstwa Calhoun z Georgii i pielęgnowała jak własne dzieci, pragnąc z całego serca, żeby się tu przyjęły. W długiej podróży chroniła je przed ogniem, powodzią i Indianami. Należą do tej ziemi, tak jak ona tu należała, i pozostaną tutaj na zawsze. To niezwykle, jak się pomyśli, że ta ziemia wyżywiła tak wiele pokoleń i będzie trwać po wieki.

– Mówisz jak prawdziwy farmer. – Marianne uśmiechnęła się.

– Bo jestem farmerem...

– Myślałam, że ranczerem, a przede wszystkim nafciarzem.

– Fakt, kiedyś mi się zdawało, że ropa to najważniejsze, co mam w życiu, ale gdy się jej dorobiłem, sam już nie wiem, co tak naprawdę jest najważniejsze. Ostatnio moje życie wywróciło się do góry nogami. – Spojrzał jej prosto w oczy. – Byłem szczęśliwym człowiekiem, aż zjawiłaś się ty...

– Raczej byłeś warzywem, póki nie zjawiłam się ja – poprawiła go Marianne. – Uważałeś, że okradanie ludzi to nic złego, a uczucia w ogóle nie istnieją.

– Ech, ty mała diablico! – Oczy Warda rozbłysły pożądaniem.

Widząc to rozpalone, a zarazem łobuzerskie spojrzenie, roześmiała się, choć niosło z sobą pewne zagrożenie. Ruszyła biegiem przez łąkę, ciemne włosy powiewały na wietrze. To była czysta prowokacja, typowa pułapka, a jednak dał się w nią wciągnąć, i to bez wahania. Pobiegł za nią, by schwytać w ramiona to cudne, kolorowe zjawisko, jakim była Marianne.

– Stój! Zaczekaj! – zawołał nagle, a wszelkie rozbawienie zniknęło z jego głosu.

Stała w miejscu jak wryta z uniesioną nogą, jakby to była zabawa, w którą grają dzieci.

– Tak? Co się dzieje? – spytała, śmiejąc się i chwiejąc na jednej nodze. I wtedy zobaczyła coś długiego, coś, co wilo się pośród traw. Dopiero teraz zrozumiała, przed czym chciał ją ostrzec. Tu były węże!

– Nic się nie bój, tylko stój i nie ruszaj się – powiedział spokojnie. Podniósł z ziemi gruby drąg, zamachnął się i z całej siły uderzył w długie cielsko. Rozległo się głośne grzechotanie, a po chwili szelest wijącego się na ziemi kłębu.

Marianne zdrętwiała z przerażenia. Z oczami przepelnionymi strachem patrzyła na nieruchomo leżące w trawie stworzenie, które jeszcze przed kilkoma sekundami mogło ją pozbawić życia. Otworzyła usta, żeby podziękować Wardowi, lecz porwał ją w ramiona i zaczął gorąco całować, aż zabrakło jej tchu. Jego usta wyrażały to, czego słowa nie byłyby w stanie, że bał się o nią, że nie darowałby sobie, gdyby coś się jej stało. Ale w jego pocałunkach były też szczęście i pragnienie, by otoczyć ją opieką. Pozwalała więc, by wyraził w ten sposób swoje uczucia, rozkoszując się silnymi ramionami, które z czułą radością dawały jej poczucie bezpieczeństwa, i jego głodnymi ustami, i cudownym, ponętym zapachem.

– Boże drogi – wyszeptał z ustami przytkniętymi do jej warg – jeszcze jeden krok i mogłaś zginąć.

– Mimo opalenizny pobladł śmiertelnie.

– Ale przecież dzięki tobie nic mi się nie stało.

– Uśmiechnęła się do niego czule i pogładziła po nieogolonej twarzy. Potem musnęła palcami jego usta. – Dziękuję, uratowałeś mi życie.

– Dzięki mnie – powtórzył jak echo, czując, jak rozpiera go duma, przycisnął ją mocno do siebie i gorąco pocałował. Z taką intensywnością odpowiedziała na ten pocałunek, że z trudem zapanował nad sobą, by nie zedrzeć z niej ubrania i nie kochać się z nią tu, na ziemi. Trzymał ją w objęciach, oddychając ciężko i nierówno, z zachwytem przyglądając się jej zaróżowionym policzkom. – Uzgodniliśmy, że to się więcej nie powtórzy – wysapał. Gdy Marianne potwierdziła jego słowa, kiwając głową, dodał z rozpaczą: – Ale okoliczności są takie... nietypowe.

– Tak, wiem – wyszeptała, patrząc z nieskrywanym pożądaniem na jego usta i przypominając sobie rozkosz, którą odczuwała, gdy ją całował. – Nawet bardzo nietypowe...

– Przestań tak na mnie patrzeć, albo nie skończy się na pocałunkach. Przecież chyba czujesz, co ze mną wyprawiasz?

Odwróciła wzrok i odsunęła się o krok. Jakoś wciąż zapominała, że był normalnym, doświadczonym mężczyzną, dopóki nie zrobił uwagi podobnej do tej. Nie wolno jej więcej o tym zapominać. Była jedną z jego wielu kobiet, kolejną, ani pierwszą, ani ostatnią, i musiała to sobie wbić do głowy. Owszem, uratował jej życie, zabijając jadowitego węża, ale wcale nie dlatego, że była dla niego aż taka ważna. Zrobił to z poczucia obowiązku, czuł się za nią odpowiedzialny.

– Dziękuję ci za to, że uratowałeś mi życie – powtórzyła, po czym odwróciła się i ruszyła w stronę samochodu. Próbowała nie patrzeć na martwego węża.

Ward poinstruował ją:

– Uważaj, jak stąpasz. Jedna taka akcja całkiem mi wystarczy, dość najedliśmy się strachu.

Była zbyt wyczerpana i skołowana, by wdawać się w dalszą dyskusję. Nie mogła pogodzić się z tym, że sama sobie naważyła tego piwa, pozwalając się tutaj wywieźć. Wciąż pragnęła Warda, jak więc miała znieść całe dni i tygodnie z nim pod jednym dachem, skoro z trudem wytrzymywała już teraz. Czuła się tak bezbronna wobec niego, uległa i oddana, że chciało jej się płakać. Była na siebie wściekła, a przyszłość u jego boku wydała jej się nagle nieskończenie beznadziejna.

TTLR

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Przez resztę drogi na ranczo Ward milczał, za to przez cały czas obserwował ją kątem oka. Na swój sposób było to ekscytujące i podniecające. W pewnej chwili ujął jej rękę i trzymał tak długo, aż nasilony ruch na drodze zmusił go, by ją puścił. Jej serce wykonywało w tym czasie nieskończoną ilość fikołków i nie wiedziała, jak ma sobie poradzić z tą nową, nietypową sytuacją. Jakoś mu nie mogła do końca zaufać, bała się, że ma ukryte zamiary, o których nawet nie wspomina. Nie czuł też takiego skrepowania jak ona czy ograniczenia własnymi emocjami.

Przed dom wyszła im na powitanie Lillian. Wyglądała zdrowo i była pełna energii, jak zwykle zresztą, a noga też zdawała się już całkiem w porządku.

– Spójrz! – zawołała do Marianne i wykonała parę obrotów, jakby tańczyła walca.

– Wspaniale! – Uradowana podbiegła do cioci, by ją uściskać. – Jak miło cię znowu widzieć!

– Był nie do zniesienia – szepnęła jej do ucha Lillian, korzystając z tego, że Ward wypakowuje bagaże z samochodu. – Po prostu okropny! Po tym, jak wyjechałaś, snuł się po domu niczym cień.

– Trzeba było mu doradzić, żeby przejął czyjeś pola naftowe za długi. Od razu poprawiłby mu się humor – stwierdziła Marianne.

– Wstydź się, jak możesz tak mówić? – oburzyła się ciotka, ale po chwili parsknęła śmiechem.

– Widzę, że dopisują wam humory! – rzucił ponuro Ward, przechodząc obok nich z bagażami.

– To z racji twojego niepohamowanego apetytu – stwierdziła zaczepnie Marianne.

Gdy Lillian weszła do środka, Ward odparował znaczącym tonem:

– Wiesz o tym więcej, skarbie, niż niejedna kobieta w moim życiu... A jeżeli nie będziesz dość uważna, by zachować odpowiednią ostrożność, może się zdarzyć, że dowiesz się jeszcze znacznie więcej.

– Na twoim miejscu nie liczyłabym na zbyt wiele

– rzuciła mu w twarz i wbiegła do domu, zanim zdążył coś powiedzieć.

Bała się, że znowu ją zaczaruje i nie będzie się mogła oprzeć jego urokowi.

– A gdzie jest Bud? – zapytał Ward, gdy tylko wszedł do przedpokoju.

– Halo, halo! Ktoś mnie wołał? – dobiegł z biura wesoły głos.

Na korytarz wyszedł młody mężczyzna. To było prawdziwe zaskoczenie dla Marianne. Spodziewała się, że kuzyn Warda był mniej więcej w jego wieku. Bud jednak okazał się znacznie młodszy, gdzieś może około dwudziestki piątki, a do tego całkiem niczego sobie: wysoki, szczupły i przystojny. Miał tę samą smagłą karnację co Ward, za to oczy brązowe, a nie zielone. Włosy też miał jaśniejsze. Robił niezłe wrażenie, dżinsy i skórzana kurtka również mu dodawały specyficznego uroku.

– Znowu grzebiesz w moich dokumentach, żeby wywęszyć, gdzie jest mój pupil? – rzucił Ward zaczepnie.

– A niby jakim cudem, mój ukochany kuzynie? Musiałbym zatrudnić w tym celu cały pułk sekretarek, żeby przekopać te wszystkie papierzyska!

– Skoro już mowa o sekretarkach – zagaił Ward – oto moja nowa sekretarka. Marianne Raymond. A to jest mój kuzyn Bud – zwrócił się do niej.

– Ach, Marianne Raymond, miło mi, wiele o tobie słyszałem. – Bud puścił do niej oko.

Nie spodobało się to Wardowi, więc rzucił mu ostre spojrzenie. To jednak tylko bardziej zdeterminowało Buda, by jeszcze trochę pociągnąć tę zabawę.

– Naprawdę, bardzo mi miło. – Wyszczrzył zęby w szerokim uśmiechu.

– Mnie także miło – odparła Marianne.

Bud podszedł bliżej.

– Trzymaj, synu – powiedział Ward i rzucił do niego torbę. – Bądź tak miły i zanieś to, proszę, do pokoju gościnnego. Jestem pewien, że Marianne chciałaby zobaczyć biuro. – I zanim Bud zdołał coś odpowiedzieć, wziął ją pod rękę i pociągnął w stronę biura. Zły jak diabli zamknął za nimi drzwi. – To nie jest dobry materiał na męża dla ciebie – wycedził przez zaciśnięte zęby – więc nie traktuj go zbyt poważnie. Za to bardzo lubi flirtować...

– Może ja też lubię – powiedziała przekornie.

Ward pokręcił głową i zbliżył się do niej.

– Nie, skarbie, z pewnością nie jesteś flirciarą, żadnym takim motylkiem. Jesteś małym, śpiewnym ptaszkiem, wiecznie wzburzonym i z oczami wokół głowy, a do tego masz bardzo rozbudowany instynkt czy też może raczej potrzebę założenia gniazda.

– Wydaje ci się, że mnie znasz, co? – Marianne zrobiła krok do tyłu i potknęła się o krzesło.

Za to Ward postąpił krok do przodu, w jej kierunku, i już teraz czuła, jak nad nią góruje. Spoglądał przy tym groźnie i z wielką powagą.

– Lepiej niż sądzisz i lepiej niż się spodziewałem, więc przestań wreszcie uciekać. Oboje doskonale wiemy, że to mnie pragniesz tak naprawdę, a nie mojego kuzyna...

– Ty zadufany w sobie...

Nie zdążyła dokończyć, bo jednym ruchem przyciągnął ją do siebie i zamknął jej usta pocałunkiem.

Jednocześnie uchronił ją od upadku. W jego oczach były i żar, i rozbawienie.

– No dalej, nie żałuj sobie, dokończ... – zachęcił ją po chwili.

Ale teraz już jakoś nie mogła, nie kiedy był tak blisko i gdy czuła na sobie jego oddech. Nie po takim pocałunku. Dlaczego sprawiał, że czuła się przy nim tak bezgranicznie bezbronna i tak cudownie kobieca? Gdy patrzył na nią w ten sposób, pragnęła tylko, żeby ją całował.

– W tym twoim biurze – wykrztusiła z trudem

– jest jeden wielki bałagan.

– Taki sam jak we mnie – wyszeptał ochryple.

– Boże, jak ja tęskniłem za tobą...

To wyznanie rozbroiło ją do reszty. Patrzyła na niego jak zahipnotyzowana.

– Proszę, posmakuj mnie – szepnął, nachylając się nad nią.

Czuła, jak zapiera jej dech w piersiach. Lecz zaledwie zdążył lekko musnąć jej usta, rozległo się pukanie do drzwi. Odskoczyli od siebie nerwowo.

– Co jest? – warknął Ward.

– Lillian przygotowała kawę i ciasto – zza drzwi oznajmił Bud – i pyta, czy macie ochotę się posilić?

– Miałbym ochotę przerobić go na potrawkę

– wymamrotał pod nosem Ward, słysząc oddalające się kroki kuzyna.

– W sumie czemu nie – powiedziała Marianne trochę niepewnie – nawet chciałabym się napić kawy... – Głos jej drżał.

– Nie, nie chciałybyś – spojrzał na nią stanowczo – chciałybyś mnie, a ja ciebie, i to tutaj, na tej dużej sofie, gdzie dotykałem cię po raz pierwszy. I gdyby nie mój natrętny i zazdrosny kuzyn, już byśmy tam leżeli. – Odsunął się raptownie. Aż go roznosiło od złości. – No dobrze, pójdziemy na tę twoją kawę, żeby nie robić przykrości Lillian. – Z ręką na klamce zatrzymał się jeszcze i spojrzał na Marianne świdrującym wzrokiem. – Ale któregoś dnia będę cię miał, a raczej będziemy się mieć nawzajem, bo któregoś dnia nie będziemy się już w stanie dłużej powstrzymać.

Nie dała rady podnieść wzroku, żeby na niego spojrzeć. Wiedziała, że miał rację. Musiała być naprawdę szalona, żeby się zgodzić na ten przyjazd, ale mogła winić za to tylko i wyłącznie siebie.

Od pierwszej chwili Bud był wyraźnie zdeterminowany, by doprowadzić swojego kuzyna do absolutnego szaleństwa. Nawet na sekundę nie odstępował Marianne, by przypadkiem nie została choćby na krótką chwilę sam na sam z Wardem. Wciąż wynajdował nowe preteksty, by zaglądać do niej do biura, a gdy musiała zapytać o coś Warda, zawsze wyrastał jak spod ziemi, by im towarzyszyć, zanim zdążyli zamienić dwa słowa. Marianne miała wrażenie, że to z jego strony tylko przewrotna złośliwość, ale Ward traktował go jak prawdziwego rywala. Samo w sobie wcale nie było to takie złe, bo na każdym miejscu i przy każdej okazji manifestował, że mu zależy na jej opinii, dzielił się z nią wszystkimi ważnymi sprawami dotyczącymi rancza i pracy, a gdy wracał późnym wieczorem do domu, swoje kroki od razu kierował do niej. Zawsze udawało mu się ją odnaleźć, nieważne, gdzie akurat była. Każdy pretekst do spotkania wydawał się dostatecznie dobry, nieważne, czy chodziło o to, żeby zrobiła mu kanapkę lub coś do picia, czy też dała kawałek ciasta. Okazało się, że jest strasznie zaborczy, co demonstrował, gdy tylko znajdowała się w pobliżu. Lillian przyjęła te zmiany z ogromną radością i

serce podskakiwało jej za każdym razem, gdy widziała, jakimi spojrzeniami obsypuje jej bratanicę, która wydawała się w tym wszystkim dość zagubiona, ale cieszyła się, że odzyskała dawną pozycję. Budowi zwykle udawało się skutecznie przeszkadzać Wardowi, ale w końcu nadchodził wieczór i zostawali sami.

Tego dnia było już naprawdę późno, gdy Ward wrócił do domu. Był bardzo zmęczony, a jego ubranie i włosy dosłownie lepiły się od kurzu.

– Przydałoby mi się parę kanapek, skarbie – powiedział z uśmiechem do Marianne, zatrzymując się w drzwiach salonu.

Lillian położyła się już spać, a Marianne, skulona na sofie, przeglądała jakieś papiery.

– Oczywiście, zaraz ci zrobię. – Wstała i nie włożywszy butów, poszła do kuchni. Ward wydał się jej jeszcze wyższy i większy.

Rozbawiło go, że była boso.

– Wreszcie wyglądasz jak prawdziwa wiejska dziewczyna – stwierdził z uśmiechem.

– I tak też się czuję. Chodź, wielkoludzie, nakarmię cię! Chcesz też kawę?

– Jasne, poproszę dużą kawę z mlekiem.

– W porządku. – Włączyła ekspres. – Wszystko już wcześniej przygotowałam. – Wysunęła język. – Wiedziałam, że będziesz umierał z głodu.

– Aha, więc czytasz w moich myślach. – Usiadł na krześle przy stole kuchennym i wyciągnął przed siebie nogi.

– Naturalnie, więc lepiej uważaj, co ci tam po głowie chodzi...

– No właśnie, dni są coraz dłuższe, a ja coraz starszy. – Ziewnął przeciągle. – Jak dalej będę działał na takich obrotach, to już niedługo będziesz mnie wozić na wózku inwalidzkim.

– Ciebie? Akurat! Ktoś taki na pewno przedwcześnie się nie zestarzeje i założę się, że nawet jako staruszek będziesz się uganiał za babami.

W oszalamiającym tempie otrzeźwiał i zaczął się przyglądać jej pełnym gracji ruchom, gdy krzątała się po kuchni.

– Mówiłem ci już przecież, Marianne, że jesteś jedyną kobietą, za którą chcę się uganiać, również gdy będę staruszką.

Jej serce aż podskoczyło na te słowa, ale nie mogła tak łatwo oddać poła. Już raz zbyt mocno zbliżył się do niej i zranił, nie wolno więc jej było spuścić z tonu i znowu dać się złapać w pułapkę.

Starła się więc traktować to wszystko w miarę beztrąsko, na tyle, na ile była w stanie się zdystansować.

– Miło to słyszeć – odparła.

– Tylko miło?

– Nim się zdecydujesz na ten dramatyczny krok

– powiedziała z uśmiechem i postawiła przed nim na stole talerz z kanapkami – będę już kilkakrotną babcią. – Wróciła do ekspresu, by mu nalać kawę do kubka. – Poza tym myślę, że mój przyszły mąż mógłby mieć coś przeciwko, nie sądzisz?

Nie spodobała mu się wizja, że Marianne ma u swego boku męża. Nachmurzył się więc i w milczeniu zaczął pochłaniać kanapki.

– Muszę jutro odwiedzić Tysona Wade'a, może chcesz się wybrać ze mną i poznać Erin oraz ich małe, urocze bliźnięta?

– Że niby ja? – zdziwiła się. – Nie będę wam przeszkadzać w interesach?

– Nigdy mi nie będziesz przeszkadzać, skarbie.

– W jego głosie brzmiała prawdziwa, niekłamana czułość. – Nigdy!

Marianne zadrżała pod wpływem jego intensywnego spojrzenia. Oplatał ją delikatną, niewidoczną siecią, chociaż pozbawioną tej dzikiej namiętności, którą okazał jej na początku ich pełnego turbulencji związku. To było dla niej nowe i takie inne i choć po części bała się mu zaufać, to jednak bardzo go pragnęła.

– Więc jak? – spytał spokojnie, starając się jej nie ponaglać. Zrozumiał, że pora pogodzić się z faktem, po prostu nie będzie potrafił dać jej odejść. Teraz należało jeszcze tylko udowodnić Marianne, że nie ma żadnych złych czy choćby ukrytych zamiarów. Doskonale wiedział, że jest tak samo nieufna jak on.

– Nie powiem, chciałabym poznać panią Wade – powiedziała po chwili.

– Chętnie poznam kobietę, której się udało ujarzmić takiego faceta.

Ward parsknął śmiechem.

– Szkoda, że nie znałaś Tysona, zanim zjawiała się Erin. Dopiero byś ją podziwiała! Naprawdę niełatwo było nad nim zapanować, jutro zresztą sama zobaczysz, co mam na myśli.

Następnego popołudnia Marianne wsiadła wraz z Wardem do chryslera, by odwiedzić rodzinę Wade'ów. Ward włożył luźne spodnie i zieloną, prążkowaną koszulę, której trzy ostatnie guziki jak zwykle były niezapięte, a ona zielony spodniem i bluzkę w kolorowe paski. Ward uśmiechnął się pod nosem, gdy spostrzegł, że mają na sobie podobne wzory i kolory.

Otworzyła im Erin w długiej, przewiewnej sukience w kolorze lawendy. Na pierwszy rzut oka było widać, że jest pogodna z natury i często się uśmiecha. Miała długie, czarne włosy i duże, zielone oczy. Była naprawdę

bardzo ładna, choć nie używała ani tuszu, ani rózu. Wyglądała jak zdrowa, wiejska młoda kobieta, czysta, świeża i optymistycznie nastawiona do życia.

– Cześć – powitała ich entuzjastycznie. – Nawet nie wiesz, jak się cieszę, że przyprowadziłeś z sobą Marianne, bo to Marianne, prawda? – Wyciągnęła dłoń na powitanie i zanim Marianne zdążyła się zająknąć, dodała: – Jestem Erin, naprawdę miło mi cię poznać. I cieszę się, że poznasz moich chłopaków.

– Mnie również jest bardzo miło, zwłaszcza że krążą o tobie legendy...

– Oho, jestem sławna, tak? – Erin roześmiała się uroczo.

Jest piękna nawet bez makijażu, pomyślała Marianne. To taki rodzaj piękna, który ma się w sobie, gdzieś w środku, które pochodzi z głębi duszy, sprawiając, że nawet niezbyt atrakcyjne osoby zyskują nieprzeciętny powab i czar.

– Cóż, Tyson i ja zaczęliśmy nie najlepiej, ale w krótkim czasie udało się nam pokonać długą drogę. Nie sędzę, by dziś żałował, że zdecydował się na małżeństwo i ojcostwo, a jest w końcu ojcem bliźniąt, a to nie bagatela.

– Już widzę, jak przewija malucha po maluchu, a szczęście ma wypisane na twarzy – rzucił kpiarsko Ward.

– Jeśli masz jakieś wątpliwości, chętnie ci to zademonstruję. Wystarczy, że pójdziesz za mną – odparła ze spokojem Erin i wprowadziła go do pokoju dzieciennego, w którym faktycznie sam wielki Tyson Wade, niegdyś postrach okolicznych hrabstw, zmieniał synowi pieluchę.

Rzeczywiście był to niezwykle poruszający widok, jak ten wielki facet, twardej o ciężkiej łapie, pochyla się z czułością nad małym, wierzgającym i chichoczącym radośnie dzieciakiem i go przewija. W pokoju panował idylliczny nastrój: biała, wysoka komoda do przewijania z kolorowym materacykiem, a na ścianach tapeta w misie.

– O, kogo my tu mamy, stary, dobry Jessup – powiedział Tyson, spoglądając na nich przez ramię. Skończył zapinać pieluchę i spodenki i wsadził małego do kojca, w którym stał jego braciszek na grubiotkich, niepewnych nóżkach i wgryzał się w poręcz, zaciskając na niej pulchne, małe rączki.

– Jason pewnie jest głodny, bo od kilku minut próbuje zjeść kojec – powiedział ze śmiechem.

– Ząbkuje – wyjaśniła Erin, po czym nachyliła się nad kojcem, żeby wyjąć dziecko.

Mały uśmiechnął się szeroko i zaczął uroczo gaworzyć:

– Tata tata.

– Nienawidzi tego – powiedział Tyson, spoglądając na swoją żonę. – Większość dzieci najpierw wymawia słowo „mama”, a oni obaj, jak na złość, wciąż powtarzają „tata tata”!

– Już nie patrz tak triumfująco! – Erin pokazała mu język. – I nie zapominaj, kto wstał do nich zeszłej nocy, żebyś ty mógł spać.

Tyson puścił do niej oko. W jego spojrzeniu malowała się głęboka miłość. Marianne zerknęła spod oka na Warda i dostrzegła, że cały czas patrzy na nią dziwnym wzrokiem. Przeniósł go na jej płaski brzuch, a potem nieco wyżej, na piersi. Marianne oblała się rumieńcem, bo dobrze wiedziała, o czym myśli. Była to w stanie wyczytać z jego iskrzących się oczu. Zrobiło się jej gorąco od tego niespodziewanego obrotu sprawy i musiała się odwrócić, żeby odzyskać nad sobą kontrolę.

– Może kawy? – zapytała Erin, przekazując Jasona ojcu. – Gdybyś był tak miły i przeniósł kojec – zwróciła się do Warda – chłopcy mogliby być z nami.

Ward przymierzył się do tej operacji, usiłując złożyć kojec, ale nigdy wcześniej tego nie robił, więc nie do końca wiedział, co i jak przycisnąć.

– Poczekaj, łamago, ja się tym zajmę – powiedział ze śmiechem Tyson.

– Marianne, mogłabyś potrzymać przez chwilę dzieci?

– Jasne. – Z nadzwyczajnym entuzjazmem przejęła maluchy, słodko do nich przemawiając. Była szczerze zuroczona pulchnymi buźkami i rączkami, które z zainteresowaniem dotykały jej twarzy i włosów. – Jakie cudne jest takie maleństwo – zachwycała się, czule i delikatnie całując mięciutkie policzki i meszek na główkach. Bliźnięta, tak jak ich tata, miały zielone oczy.

– Dziękuję Bogu, że są podobne do Erin, a nie do mnie – powiedział Tyson. Rozstawił w salonie kojec i wziął chłopców od Marianne, by ich wsadzić do środka.

– Nie jest z tobą aż tak źle – pocieszał go obłudnie Ward. – Widziałem już prawdziwe koszmary, a ty jesteś tylko paskudny.

– Uważaj, co mówisz, Jessup, jeżeli masz chrapkę na tę drugą dzierzawę...

– W czym niby zawiniłem? Przecież sam się dopraszasz! – Ward wyszczerzył zęby.

– Dobrze ci radzę, uważaj – powtórzył pod nosem Tyson, a potem pomógł Erin poustawiać na stole filiżanki i dzbanek z kawą.

Panowie zaczęli poważne debaty o interesach, a Marianne z radością oddała się plotkom na temat dzieci, macierzyństwa i najnowszej mody. Było to najmiłsze popołudnie, jakie spędziła od dłuższego czasu, a słodkie maluchy były dodatkowym bonusem. Niechętnie się żegnała, gdy przyszła pora wracać do domu.

– Ward, zabierz Marianne następnym razem, jak będziesz się do nas wybierał – poprosiła Erin. – Nie bardzo mam z kim pogadać o ciuchach, a uwielbiam babskie ploty.

– Nie ma sprawy, masz to jak w banku – odparł wesoło.

Pożegnali się i ruszyli do samochodu. Gdy odjeżdżali, Tyson stał obok Erin i czule ją obejmował.

– Ich małżeństwo będzie trwało dłużej niż to ranczo – powiedziała Marianne jakby do siebie, patrząc ze zdziwieniem, jak niebo się zaciąga i wszystko wokół szarzeje. Po chwili lunął straszny deszcz, bębniąc głośno o dach i szyby. W samochodzie zrobiło się chłodno, więc objęła się ramionami.

– Wydają się tacy szczęśliwi...

– Nie tylko się wydają, ale po prostu są. – Ward spojrział na nią tak, jakby chciał ją przejrzeć na wylot. Skreślił w wiejską drogę i stanął pod wielkim dębem. – Chcesz wiedzieć, dlaczego się zatrzymałem? – zapytał zniżonym i czułym głosem, nie spuszczając jej z oka. – A może już wiesz?

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Nie, Marianne nie musiała się nadmiernie wysilać, żeby zrozumieć, po co tu zaparkował. Zresztą Ward odpowiedź miał wypisaną na twarzy, a przyspieszony oddech, w rytmie którego wznosiła się i opadała jego klatka piersiowa, był tylko dodatkowym potwierdzeniem. Wyglądał tak pociągająco, że nie mogła od niego oderwać oczu, i nic nie pomagała nawet ta jawna arogancja, która wyzierała z jego spojrzenia. Mimo to Marianne nie była pewna, czy ma ochotę na ten słodki przerywnik. Jej mur obronny był i bez tego już dostatecznie nadwątlony. Zaczęła się gorączkowo zastanawiać, co zrobi, gdy Ward będzie nalegał. Potrafi mu się oprzeć czy też wpadnie po uszy w tę oszalamiającą pułapkę, którą na nią zastawił?

– To chyba nie jest dobry pomysł – zaczęła, widząc, że rozpiną swój pas, a zaraz potem jej.

– Nie? Nawet po tym, jak spłonęłaś purpurą u Wade'ów, gdy zmierzyłem wzrokiem twoją talię? Dobrze wiesz, o czym wtedy myślałem... – Wyciągnął do niej rękę, a po chwili przypierał ją pocałunkiem do szyby, o którą bębnił deszcz równie intensywny, jak narastające w Marianne pożądanie. Drobne, czułe pocałunki sprawiały, że pragnęła Warda coraz bardziej. Nie protestowała, gdy poczuła jego duże, silne dłonie na swojej bluzce, a potem pod nią, na piersiach.

– Spokojnie – szepnął, gdy zadrżała. – Już długo nie cieszyliśmy się sobą nawzajem w ten sposób, zbyt długo. – Pocałunkami zamknął jej oczy, które wciąż szeroko otwarte śledziły każdy jego ruch. Gładził ją i pieścił, usypiając jej czujność.

Nie mogę na to pozwolić, powtarzała sobie w duchu Marianne, dla niego to tylko gra, lada chwila rozłoży siedzenia i... Poderwała się, kierowana

instynktem samozachowawczym. Był tak zaskoczony, że ją wypuścił z objęć. Po omacku otworzyła drzwi samochodu, głucha na jego wołanie, i wypadła na deszcz. Wysoka trawa biczowała ją po nogach, gdy biegła przed siebie, byle dalej od jego cudownych rąk i ust. Nie wiedziała, dokąd tak gna ani dlaczego, coś pchało ją po prostu do przodu, lecz już po kilku sekundach Ward znowu był przy niej i po chwili leżeli na ziemi, w mokrej trawie, doszczętnie zmoczeni przez płynące z nieba strugi deszczu.

– Nigdy nie uciekaj przed myśliwym – wydyszał, przygniatając ją sobą. Byli złączeni w jedną całość, jak gdyby nie dzieliła ich żadna granica, nawet tkanina, i całowali się upojnie, do utraty tchu. To było tak nowe i ekscytujące doznanie, że nie znalazła w sobie siły, by je odrzucić. Ciepło ciała Warda nabierało teraz całkiem nowego wymiaru, gdy wokół szalała ulewa, a oni byli przemoczeni do suchej nitki. W tych okolicznościach, jakby na złość, skóra stała się jeszcze bardziej podatna na bodźce.

– Równie dobrze moglibyśmy leżeć tu teraz bez ubrań – szepnął pożądliwie Ward. – Czuję cię całą, od stóp do głów. – Dłonią przejechał wzdłuż jej ciała oblepionego cienką, mokłą tkaniną.

To było tak, jakby poczuła jego ręce na swojej skórze. Westchnęła tylko, obejmując go mocno, jakby chciała powiedzieć, że i tak nie jest w stanie mu się sprzeciwić. Czuła się bezsilna, mógł z nią robić, co chciał, i tak nie umiałyby go powstrzymać. Mimo ulewnego deszczu cała płonęła, pragnęła przylgnąć do jego ciała jak najbliżej i oddać się rozkoszy tutaj, w sercu nieskalanej przyrody. To westchnienie było bardziej wyraziste niż słowa i rozpałiło w Wardzie szalony ogień. Całował ją coraz bardziej łapczywie, wtapiając się w jej ponętne ciało, które wiło i prężyło się pod nim pod wpływem pieszczot. Aż za dobrze wiedział, co i jak robić, by uczynić kobietę bezbronną.

– Powiedz mi, żebym przestał – wyszeptał rozpalony, cały czas nie przerywając pocałunków. – Przepędź mnie na cztery wiatry, odepchnij, zwy-myślaj !

– Nie mogę – jęknęła Marianne z oczami przepelnionymi łzami. – Nie mogę, choć bardzo bym chciała, ale tak cię pragnę, Ward, tak bardzo... – Wbiła mu paznokcie w ramiona. Czuła jego usta na całej twarzy i nie chciała się już dłużej przed nim bronić.

Ta słodka, niewinna uległość całkowicie nim zawładnęła. Pragnął chłonać Marianne, pieścić i chronić aż do końca swoich dni, tak jak teraz. Nagle objął jej twarz dłońmi i złożył na jej ustach delikatny pocałunek.

– Chcę ci dać dziecko – powiedział drżącym głosem. – To właśnie ujrzałaś na mojej twarzy, gdy byliśmy u Wade'ów, i dlatego oblałaś się rumieńcem, prawda?

– Tak – szepnęła cicho.

– Mógłbym zrobić to teraz, Marianne, tu i teraz mógłbym cię mieć i nikt by nas nie zobaczył ani nie usłyszał.

Przełknęła nerwowo, zamknęła oczy. Była pokonana, wiedziała o tym, jak i on to wiedział. Czuła na sobie jego podniecenie i pragnęła mu się oddać, bo kochała go bardziej niż własny honor.

– Tak, wiem – wyszeptała ledwie słyszalnie i Ward jakby nagle przestał oddychać. Otworzyła oczy i ujrzała tuż nad sobą jego twarz. Była przepelniona tak niekłamany uniesieniem, że aż trudno jej było to zrozumieć.

– Maleńka... – Pocałował ją z tak przejmującą czułością, że znowu jej oczy napelniły się łzami.

– Moja słodycz, moje serce – szeptał na wpół przytomnie – tak cudownie pachniesz różami i gardeniami, mógłbym leżeć tu z tobą przez całe życie.

To nie brzmiało jak niekontrolowana namiętność, nawet nie jak pożądanie. Poglądziła delikatnie jego twarz, na co on ucałował spód jej dłoni.

– Jesteś taka mokra, że przez ubranie widać całe twoje ciało – powiedział, spoglądając na bluzkę, pod którą wyraźnie odznaczały się piersi.

– Ty też jesteś mokry – szepnęła, starając się odwzajemnić uśmiech. Na co była jej teraz дума, skoro i tak już mu się ofiarowała?

– Nie czujesz już skrępowania, prawda?

– I tak już wiesz, jak wyglądam...

– To prawda – odparł z uśmiechem i rozpiął jej bluzkę, nie zwracając uwagi na wciąż siąpiący deszcz. Zsunął jej stanik i pochylił się, by musnąć ustami jej alabastrową pierś.

Marianne zadrżała z napięcia, chłonąc jednocześnie delikatną słodczą pieśczoć. Czowała, że stanowi z Wardem nierozdzielalną jedność i już nic nie wydawało się jej niesłuszne czy niestosowne.

– Jesteś taka słodka – szepnął Ward z czułością i przesunął policzkiem po jej jasnej skórze. – Już do końca życia nie będę tak nigdy dotykał żadnej innej kobiety ani jej smakował z taką rozkoszą...

Marianne czuła dokładnie tak samo, po prostu nie chciała żadnych innych mężczyzn. Zamknęła oczy i głaskała go po mokrych włosach, podczas gdy on obsypywał jej ciało delikatnymi pocałunkami. To, co dawał, starczyłoby jej do końca życia, i niczego innego nie pragnęła, jak tylko być mu wierną. Kochała go wprost nieskończoną miłością.

– Ja też nie chcę żadnego innego mężczyzny – wyznała.

Ward objął ją mocniej i leżeli w tym miłosnym uścisku, wtuleni w siebie i zapatrzeni w przyszłość. Nad nimi kołysały się trawy poruszane podmuchami wiatru, a na nich spadały krople deszczu, które na skórze lśniły jak jedwab. Ward odchylił się do tyłu i poprawił rozchełstaną, mokrą bluzkę

Marianne, potem odgarnął jej do tyłu włosy i raz jeszcze z czułością pocałował. Na koniec wziął ją na ręce i zaniósł do samochodu, wtulając twarz w jej ciepłą szyję.

– Zamoczę siedzenie – powiedziała Marianne, gdy chciał ją usadowić na miejscu obok kierowcy.

– Nieważne – przypiął ją pasem – to bez znaczenia. Teraz już nic nie ma znaczenia.

Usiadł obok niej, ujął jej ciepłą dłoń i splótł z nią palce. Drugą ręką uruchomił samochód i ruszył przed siebie, do domu, rozkoszując się tą bliskością i namaszczonym nią milczeniem.

Gdy zobaczyła ich Lillian, zrobiła wielce zdziwioną minę.

– Ani słowa – ostrzegł ją Ward, wprowadzając Marianne do środka. – Proszę, ani słowa.

Lillian westchnęła.

– No cóż, przynajmniej teraz mokniecie już razem, to też coś – wymamrotała z uśmiechem i wróciła do kuchni. – Zawsze to lepsze, niż marnieć w samotności – dodała, gdy była już sama.

Marianne puściła oko do Warda i pobiegła na górę, żeby się przebrać. Gdy zeszła na dół, okazało się, że Ward gdzieś zniknął, jak twierdziła Lillian, po pilnym telefonie. Marianne snuła się oszołomiona tym niespodziewanym obrotem sprawy, próbując unikać cioci i jej dociekliwych pytań. Był już wieczór, a Ward wciąż nie wracał i Marianne zaczęła się niepokoić. Przemierzała pokój wzdłuż i wszerz, zastanawiając się, co powinna zrobić. Nie mogła przecież tak po prostu wyjechać, nie po tym, co się właśnie wydarzyło. Ward jej pragnął, a ona jego, i skoro nie mógł jej zaoferować małżeństwa, zamierzała się zadowolić tym, co był w stanie jej dać. Musiało mu przecież na niej choć trochę zależeć, a jej miłości starczy dla nich obojga. Zastanawiała się,

dłaczego nie posunął się dalej, skoro miał taką okazję, no i byli już tak blisko spełnienia. Co go powstrzymywało? Może chciał dać jej czas na podjęcie decyzji, żeby była całkowicie pewna, że chce tego naprawdę? Tak, z pewnością o to mu właśnie chodziło. No cóż, teraz albo nigdy, pomyślała, i wyjęła z szafy uwodzicielską koszulkę nocną, bardzo ładną, białą, z dużą ilością koronek, która odsłaniała długie, zgrabne nogi. Włożyła ją, a potem jakiś czas szczotkowała włosy, aż stały się gładkie i lśniące, i skropiła się lekko perfumami. Spojrzała w lustro w swoje zatroskane oczy, zapewniając siebie, że podjęła słuszną decyzję.

Po około godzinie usłyszała warkot silnika samochodu podjeżdżającego pod dom. Słyszała, jak Ward wchodzi po schodach i jak zatrzymuje się pod jej drzwiami. Nastąpiła głucha cisza. Marianne wstała więc z łóżka, podeszła na palcach do drzwi, otworzyła je i spojrzała na niego jasnym wzrokiem, który wyraźnie mówił, że jest gotowa na wszystko. Wyglądał jak zwykle seksownie i męsko, miał na sobie ciemne spodnie i rozpiętą, szarą koszulę, a w ręku trzymał kremowy kapelusz. Przeczesał nerwowo włosy, pozerając ją wzrokiem.

– To niebezpieczne, maleńka, byś wkładała przy mnie coś takiego... – powiedział łagodnie.

Marianne stłumiła w sobie dumę.

– Pragnę cię – wyszeptała drżącym głosem.

– Ja ciebie również, i to bardzo.

Gdy niezbyt pewnym ruchem otworzyła szerzej drzwi, Ward uniósł brwi.

– Chcesz mnie uwieść? – zapytał cicho.

– Nie bardzo wiem, jak się to robi, więc raczej ty będziesz musiał się tym zająć.

– A co z zabezpieczeniem, ty mała kusicielko? Marianne oblała się rumieńcem. Nie spodziewała

się oporu z jego strony.

– Cóż – zaczęła, spoglądając na niego spod przymrużonych rzęs – tym też chyba ty się będziesz musiał zająć...

– Co to, to nie – powiedział, a uśmiech nie zniknął mu z twarzy.

Marianne zaczerwieniła się jeszcze bardziej.

– Nie...?

Ward cisnął kapelusz w kąt pokoju i wszedł do środka, cicho zamykając za sobą drzwi.

– Chodź tu teraz do mnie, ty mała kusicielko!

– Chwycił ją za ramiona i przyciągnął do siebie.

– Jak myślisz, czego ja chcę, Marianne?

– Jasno dałeś mi to do zrozumienia – odparła, nie kryjąc zawodu.

– Więc czego twoim zdaniem chcę? – powtórzył pytanie, a jego spojrzenie, niczym dłoń, przesunęło się wzdłuż jej ciała, napawając się widokiem lśniącej, delikatnej skóry, prześwitującej spod cienkiego materiału koszulki. – Co do jednego masz z pewnością rację – dodał, gdy milczała – mógłbym urządzić tu teraz ucztę bogów, ale nie zrobię tego, nie dziś...

– Jesteś zbyt zmęczony? – zapytała niewinnie.

– Nie, akurat do tego nigdy nie jestem zbyt zmęczony.

– Więc nic już nie rozumiem...

– Domyślam się. – Sięgnął do kieszeni i wyjął z niej małe, czarne, aksamitne pudełeczko. Otworzył je i wręczył Marianne. Pierścionek miał duży piękny diament, a także wiele drobnych diamencików wkoło. Obok wsunięty był drugi, mniejszy, też z diamencikami. – To pierścionek zaręczynowy

– wyjaśnił jej Ward. – Należy go włożyć na trzeci palec lewej ręki, a na ślubie założę ci ten węższy na palec serdeczny.

Marianne słyszała niby, co do niej mówi, pierścionek też wyglądał na prawdziwy i był taki piękny, że nie mogła oderwać od niego oczu. Ale to wszystko nie mogło dziać się naprawdę.

– Przecież nie chcesz się żenić – szepnęła. – Nie możesz znieść myśli o zniewoleniu i nie lubisz kobiet, bo są fałszywe i chciwe...

Pogładził ją delikatnie po policzku.

– Pragnę się ożenić, maleńka, pragnę, byś dzieliła ze mną życie.

Marianne nie wytrzymała i wybuchnęła płaczem. Łzy spływały jej po policzkach, a z gardła wyrwał się rozdzierający szloch. Wszystko z Wardem włącznie stało się jedną wielką, zamazaną plamą.

– Cicho, już cicho... – szeptał, scałowując jej łzy z twarzy. – Już dobrze, nie płacz, skarbie...

– Naprawdę chcesz się ze mną ożenić? – wydusiła przez łzy.

– Tak, skarbie, tak.

– Ale naprawdę? – upewniała się.

– Naprawdę. – Odgarnął jej z twarzy włosy i spojrzał na nią pożądliwie.

– Byłbym skończonym głupcem, gdybym pozwolił odejść kobiecie, która mnie tak bardzo kocha jak ty.

– Och... – Marianne zamarła. Dopraszał się komplementów, snuł domysły czy też może wiedział? Ale skąd?

– Nie dziw się, powiedziałaś mi to – szepnął z czułością i przyciągnął ją do siebie. – Ofiarowałaś mi dziś siebie bezwarunkowo, a nie zachowałabyś się tak wobec mężczyzny, którego nie kochasz do szaleństwa. Wiedziałem o tym i dlatego przestałem, bo nie tak powinien wyglądać twój pierwszy raz.

– Ale czy ty... ale czy ty mnie... – Marianne nie miała dostatecznie dużo odwagi, by zapytać go o to, co było najważniejsze.

– Chcesz wiedzieć, co ja czuję do ciebie? – dokończył za nią, wodząc delikatnie palcem po jej ponętnych ustach. – Więc nie wiesz?

Jego oczy zdradzały, co czuje, wyznawał jej to spojrzeniem.

Patrzyła na niego z narastającym zachwytem, lecz pragnęła usłyszeć to z jego ust.

– Proszę, powiedz mi to – wyszeptała. Ujął czule jej twarz i przyciągnął do ust.

– Kocham cię, Marianne – wyszeptał gorąco. – Poczuj tylko, jak bardzo. – Złożył na jej ustach gorący pocałunek.

Sami nie wiedzieli, jak znaleźli się w łóżku. Marianne leżała pod Wardem z odsłoniętymi piersiami i koszulką zsuniętą aż do talii. To była tak szalona, zniewalająca namiętność, że Ward nie miał pojęcia, jakim cudem udało mu się nad sobą zapanować. Zdawało mu się, że za moment umrze, jeśli nie zaspokoi dręczącego pragnienia i nie posiadzie tej dziewczyny do końca. Z całych sił powstrzymywał swoje pożądanie, chcąc, by jego marzenie dopełniło się w innych okolicznościach, tak jak postanowił. Pomogła mu w tym Lillian, która zwąchała pismo nosem, i głośno zapukała do drzwi.

– Chyba pora już iść spać, szefie! – zawołała. – Jest naprawdę późno, a Marianne to młoda dziewczyna i potrzebuje snu.

– Wcale nie – zachnęła się Marianne, próbując stłumić w sobie frustrację.

Ward zaśmiał się cicho i pogłaskał ją po twarzy.

– Lillian ma rację – szepnął. – Już dobrze, zaraz idę spać, moja przyszła ciociu – krzyknął do Lillian.

– Daj mi jeszcze trzy minuty, żebym mógł powiedzieć Marianne dobranoc, i zaraz wychodzę.

– To co, pobieracie się? – zapytała Lillian z entuzjazmem, przykładając ucho do drzwi.

– Na to wygląda! – odkrzyknął Ward i uśmiechnął się do Marianne. – Wyobrażam sobie, jaka jesteś uszczęśliwiona, że ci się tak udało nas wmanewrować w tę niecodzienną sytuację.

– Słowo „uszczęśliwiona” w żadnym stopniu nie oddaje tego, co czuję – zapiszczała Lillian – ale jako twoja przyszła ciotka proszę cię, wyjdź już stamtąd, albo będziesz musiał poczekać z jedzeniem aż do jutrzejszej kolacji. Trzeba pozwolić toczyć się sprawom swoim własnym rytmem...

– Tak właśnie miało być – wyszeptał Ward.

– Prawda? – dodał czule.

– Tak – ze śmiechem odparła Marianne – ale nie możemy się do tego przyznać.

– Masz rację, chociaż szkoda. – Ward wstał z łóżka i zapiął koszulę, którą mu rozpięła Marianne palcami drżącymi z pożądania. – Aniele mój prześliczny – wyszeptał, patrząc, jak Marianne naciąga koszulkę.

– Ty też jesteś piękny.

– Wychodzisz wreszcie czy mam tam wejść? – zapytała Lillian zniecierpliwiona.

– Dlaczego nie dasz mi nawet minutki, żebym mógł powiedzieć dobranoc?

– Tak się składa, że mówisz jej już dobranoc co najmniej pół godziny! Wystarczy! A teraz liczę do trzech: raz, dwa, trzy...

– Dobranoc, skarbie – rzucił Ward pośpiesznie.

– Dobranoc, kochany – szepnęła i po chwili drzwi się zamknęły.

Rozparła się na poduszkach, wsłuchując się w głosy dobiegające z korytarza. Z niedowierzaniem wpatrywała się w pierścionek.

– Gratuluję i dobranoc, kochanie! – usłyszała jeszcze głos cioci Lillian zza zamkniętych drzwi.

– Dobranoc, ciociu, i dziękuję – zawołała Marianne.

– Ależ nie ma za co – wtrącił swoje trzy grosze Ward.

– Już, jazda mi stąd – ofuknęła go ciotka.

Gdy zapadła wreszcie cisza i Marianne została sama, musiała jakoś przekonać samą siebie, że to nie senne marzenie. Więc Ward był już jej i mieli się wkrótce pobrać, mieli razem żyć, kochać się i mieć dzieci... Zamknęła oczy. Na całym ciele czuła przyjemne mrowienie i po chwili zapadła w błogi sen.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Następnego ranka Marianne nie była już taka pewna, czy to nie był tylko piękny sen. Wtedy spojrzała na palec, na którym widniał pierścionek, co utwierdziło ją w przekonaniu, że oświadczyzny Warda to nie sen, lecz najprawdziwsza, choć jakże zaskakująca jawa.

Szybko się ubrała i zeszła na śniadanie, i ku swojemu jeszcze większemu zaskoczeniu spotkała tam całkiem nowego, odmienionego Warda. Podszedł do niej i bez wahania pocałował ją na powitanie czule w usta.

– Więc to jednak prawda? – szepnął, zerkając na palec z pierścionkiem.

– A już mi się zdawało, że mi się to tylko śniło – dodał z błogim uśmiechem.

– Mnie też. – Marianne niepewnie pogładziła jego silny, mocno owłosiony tors. Jak cudownie, że nie musi już niczego udawać! I jak cudownie, że nic już nie było zakazane ani niewłaściwe. Mogła go dotykać, nie kryjąc się z tym, że sprawia jej to ogromną przyjemność. Mogła też patrzeć na niego do woli, nie prowadząc żadnej gry, i mówić to, co czuła. Aż trudno było w to wszystko uwierzyć.

– I teraz naprawdę jesteś już mój? – zapytała z niewinnością, którą tak bardzo kochał.

– Aż do śmierci – przyciągnął ją do siebie – choć nie sądziłem, że to się kiedykolwiek wydarzy, że uda mi się jeszcze kiedykolwiek po Caroline pokochać kobietę i obdarzyć ją zaufaniem. I wtedy zjawiłaś się ty! Najpierw mnie wrzuciłaś do strumienia, potem zapędziłaś w kozi róg, wytykając niewłaściwe podejście do ludzi i bezwzględność w interesach, a następnie swoją niewinnością opanowałaś wszystkie moje myśli. Musisz wiedzieć, że już tego pierwszego wieczoru zapadłaś mi głęboko w pamięć, a przez resztę czasu usiłowałem przekonać samego siebie, że wciąż jeszcze i mimo wszystko

jestem wolny. Ale już wtedy dobrze wiedziałem, że zakochałem się w tobie po uszy i straciłem wolność, tylko za żadne pieniądze nie chciałem zaakceptować tego stanu rzeczy.

Marianne wtuliła się w niego. Jak cudownie było usłyszeć te słowa z jego ust wypowiedziane tym słodko–zaborczym tonem! To było prawdziwe szczęście.

– Gdybyś wiedział, jak bardzo byłam nieszczęśliwa, kiedy pojechałam do Atlanty – wyznała. – Tak strasznie tęskniłam za tobą każdego dnia!

Za wszelką cenę starałam się przywyknąć do samotności, do tego, że ciebie nie ma, ale...

– Nie powinienem był ci składać tamtej propozycji, nie tobie. – Westchnął ciężko. – Wciąż jednak się łudziłem, że uda mi się w ten sposób powstrzymać bieg zdarzeń, uniknąć zaangażowania, którego tak bardzo się bałem. Bóg raczy wiedzieć, jak radziłem sobie ze swoim sumieniem, którego zresztą wcale nie miałem, dopóki nie zjawiałaś się ty. Za każdym razem, gdy padało nazwisko Wade, zachodziłem w głowę, jak to możliwe, że Tyson tak bardzo się zmienił pod wpływem Erin. Teraz już rozumiem, jak to się stało i dlaczego. – Pogładził ją po policzku. – Wydaje mi się, że musiał czuć to samo do Erin co ja do ciebie, gdy zdał sobie sprawę, że ją kocha.

Marianne westchnęła, bez reszty urzeczona tym wyznaniem, i zatopila oczy w jego spojrzeniu.

– Kiedy stąd wyjeżdżałam, wiedziałam, że pozostawiam tutaj jakąś część siebie, a potem było już tylko coraz gorzej...

– A jak sądzisz, dlaczego po ciebie przyjechałem? – Nie czekając na odpowiedź, ciągnął dalej:

– Bo nie mogłem bez ciebie wytrzymać. Nie, oczywiście nie przyznałem się do tego nawet przed samym sobą aż do tej historii z grzechotnikiem.

Wiedziałem, że muszę go pokonać, bo gdyby cokolwiek ci się stało, moje życie straciłoby wszelki sens.

– Mówił z wielkim przejęciem, widać było, że to wyznanie wiele dla niego znaczy.

– Czuję dokładnie tak samo – szepnęła wzruszona Marianne. – Czy naprawdę możemy się pobrać?

– Tak, skarbie. – Przycisnął ją mocniej do siebie. –I żyć razem, spać razem, założyć razem rodzinę...

– Zawiesił głos, gdyż w drzwiach pojawiła się rozpromieniona Lillian. Ward spojrział na nią z komiczną srogością. – To wszystko twoja wina, gdyby nie ty, dalej żyłbym sobie jak dziki wilk...

– Nie musisz mi dziękować, nie ma za co, naprawdę — odpowiedziała Lillian z szerokim uśmiechem, po czym zniknęła w kuchni, cały czas kręcąc z niedowierzaniem głową.

Ślub odbył się tydzień później. Z tej okazji przyjechały do Ravine babcia Warda i Belinda. Siedziały obok Marianne, która promieniała prawdziwym szczęściem.

– Miła dziewczyna – szepnęła Belinda. – Zrobi z Warda nowego człowieka.

– Chyba już zrobiła – odparła seniorka rodu.

– Jest naprawdę urocza, już ją lubię.

– Ja ją zawsze lubiałam – wtrąciła się Lillian.

– Dobrze, że zauważyłam, w jakim stanie jest Ward, i na czas ją tutaj ściągnęłam. Byłam pewna, że są dla siebie stworzeni.

– Już się tak nie pusz – obruszyła się Belinda.

– A czy to nie ty przypadkiem przedstawiłaś mu wcześniej Caroline? – zwróciła się do Lillian pani Jessup.

Lillian zrobiła obrażoną minę.

– Ja? Nigdy w życiu, to Belinda! Babcia spojrzała złowrogo na wnuczkę.

– To byłaś ty?

– Och, zadziałał czysty przypadek – broniła się Belinda. – Chciałam ją poznać z Bobem Whitmanem, żeby wyrównać z nim rachunki, bo mnie porzucił, a Ward wszedł mi w drogę i pokrzyżował plany. Przecież nie życzyłabym mojemu biednemu bratu aż tak źle!

– Na szczęście to już przeszłość – łagodziła emocje Lillian. – Ward ma przy sobie młodą, uczciwą dziewczynę i wszystko się dobrze skończyło.

Pani Jessup pokiwała z aprobatą głową.

– Gdyby jeszcze tylko Belinda się ustatkowała i przestała tak skakać z kwiatka na kwiatek...

Starsze panie spojrzały na Belinę, która patrzyła zafascynowana na Marianne zmierzającą w stronę ołtarza w pięknej, białej ślubnej sukience. Cały kościół wypełniały dźwięki organów. Ceremonia ślubna była krótka, lecz głęboko poruszająca. Marianne czuła się najszczęśliwszą kobietą pod słońcem, bo jeszcze nigdy w życiu nie widziała tak przystojnego mężczyzny jak ten, który stał obok niej. A gdy ksiądz ogłosił ich mężem i żoną, jej oczy wypełniły się łzami, które scałował Ward.

Wiązankę ku swojemu najwyższemu zaskoczeniu złapała Lillian, a nie Belinda, jak by się należało, co wzbudziło ogólną wesołość wśród zgromadzonych gości. Młoda para wyszła przed kościół i pośród deszczu ryżu przyjmowała życzenia. Na samym czele tej gromady była Erin ze swoim mężem Tysonem.

– Nareszcie sami – uśmiechnął się Ward do żony, gdy pożegnali się ostatni goście.

– Też się bałam, że już nigdy sobie nie pójdą. A co będziemy teraz robić? – spytała Marianne.

– Tahiti – szepnął Ward i uśmiechnął się szeroko. – Zarezerwowałem bilety, jak tylko się zgodziłaś wyjść za mnie. Jutro rano wylatujemy z San Antonio.

– A co z dzisiejszym wieczorem?

– O tym też pomyślałem... – odrzekł Ward tajemniczo.

Po chwili ruszyli limuzyną, a Ward całą drogę trzymał Marianne za rękę. Po godzinie dotarli do dużego, pięknego hotelu, w którym Ward, jak się okazało, zarezerwował dla nich apartament dla nowożeńców, i był to najbardziej niewiarygodny widok, jaki Marianne przyszło zobaczyć w całym swoim życiu. Wielkie łóżce zdawało się wypełniać całą sypialnię. Oszołomiona stała w drzwiach, gdy tymczasem Ward dał napiwek chłopcu hotelowemu i zamknął drzwi.

– Ależ jest ogromne! – zawołała z zachwytem.

– I strategicznie położone – dodał Ward. – Zauważyłaś? – Wziął ją na rękę.

Tak bosko wyglądał w tym białym, lnianym garniturze!

– Jasne, że zauważyłam – odparła Marianne, wciąż patrząc na niego z niedowierzaniem. – Tak wspaniale wyglądasz...

– Ty też, skarbie, jesteś boska i kocham cię do szaleństwa, mówiłem ci to już? – Ruszył w stronę łóżka.

– Och, już z kilka razy...

– I będę ci to powtarzał bez końca, mam nadzieję, że nie masz nic na przeciw – szepnął jej do ucha i położył ją na aksamitnie gładkiej pościeli.

Marianne spodziewała się prawdziwego ognia namiętności i właśnie to ofiarował jej Ward, ale bez zbędnej nachalności. Sprawiał, że wszystko

wydawało się naturalne i proste, dzięki czemu Marianne nie była spięta nawet wówczas, kiedy ją rozbierał. Wciąż tak wyraźnie miała w pamięci jego dłonie i usta, że i teraz je przyjęła bez najmniejszego sprzeciwu.

– To już znane nam terytorium, najdroższa – powiedział Ward, kładąc się już bez ubrania obok niej.

– Przynajmniej do tego momentu. – Widząc zmieszanie na jej twarzy, dodał: – Już wiesz, jak to jest, gdy masz na sobie moje spojrzenie, moje ręce i usta, i wiesz, że nic złego cię ode mnie spotkać nie może, więc nie musisz się obawiać, bo nie ma czego.

Marianne spojrzała mu z ufnością prosto w oczy.

– Nie, nie mogłabym się ciebie bać.

– Obiecuję, że nie stracę kontroli nad sytuacją.

– Pocałował ją. – Oddaj mi się teraz, Marianne, przypomnij sobie, jak to było na ziemi, w ulewnym deszczu, i oddaj mi się, tak jak chciałaś to zrobić wtedy.

Marianne nagle, jakby ktoś jej to kazał, zanuciła kilka taktów „Deszczowej piosenki”. Ward jej zawtórował. Wiedzieli już, że ten muzyczny motyw będzie do nich wracał w chwilach szczególnych, bo wywodził się z tamtej wyjątkowej chwili. Zdarzenie było pozornie błahe, lecz właśnie w trwającym zaledwie minutkę spontanicznym tańcu okraszonym deszczem poczuli cudowną i jakże upragnioną swobodę i wolność, dzięki czemu ich miłość mogła po jakimś czasie zerwać kajdany wzajemnych animozji, nieufności, wewnętrznych oporów. To była chwila przełomowa, która doprowadziła ich tutaj, do apartamentu nowożeńców.

Skończyli nucić i przywarli do siebie, by w ostateczny sposób się połączyć. Marianne objęła męża namiętnie, jakby nagle opadły wszystkie

bariery, te fizyczne i te moralne, a jej uległość i oddanie znowu wprawiły go w zadziwienie.

– Cicho – wyszeptała, gdy w ostatniej chwili chciał się wycofać, by złagodzić swój temperament, by nie sprawić jej bólu. – Teraz – szepnęła. – Teraz, teraz...

– Marianne... – Westchnął głośno i wstrząsnął nim rozkoszny dreszcz. – Moja Marianne...

Czuła go tak blisko, czuła jego ręce silne jak z żelaza, które wbijały się jej w biodra. Był teraz częścią swej żony, a ona częścią swego męża, spleceni i połączeni w miłosnym akcie.

– Marianne – wykrzyknął w ekstazie – moja Marianne!

Potem zabrał ją w słodką, intymną podróż. Poddawała się jego doświadczeniu i pozwoliła, by ją prowadził i uczył. Używała mięśni, o istnieniu których dotąd w ogóle nie wiedziała. Szeptała mu do ucha rzeczy, które potem, przy świetle dnia, miały ją zaszokować, wiła się i oplatała wokół niego, zapominając w szaleńczym uniesieniu o wszelkich zahamowaniach, w uniesieniu, które zdarło tajemniczy woal z najśłodsze go ze sposobów wyrażania miłości. Choć był to jej pierwszy raz, nadal czuła rozkosz, o której istnieniu także nie miała pojęcia. Wciąż zadziwiona, przeciągnęła się rozkosznie i wtuliła mocno w męża. Jej twarz emanowała satysfakcją i spełnieniem.

– Kocham cię – powiedział Ward z taką czułością, jakby te słowa wciąż go dziwiły, i delikatnie pogładził ją po włosach. – Kocham i zawsze będę kochał.

– Ja też cię bardzo kocham – wyznała, gładząc go po torsie. – Czy mi się zdaje, czy nie było na ślubie twojego kuzyna Buda...

– Dokładnie mówiąc, już od tygodnia nie było go w domu – odparł z uśmiechem.

To stwierdzenie uświadomiło jej, jak bardzo była nieobecna w ostatnim czasie.

– To naprawdę straszne, ale w ogóle tego nie zauważyłam!

– I bardzo dobrze, nie przejmuj się tym.

– Ale gdzie on właściwie jest?

– Wysłałem go w małą podróż... – Objął ją czule i ucałował w skroń. – Powiedziałem mu, że byk, którego szuka, pojechał na farmę w Montanie, więc wybrał się na poszukiwania.

– Jak to na poszukiwania?

– Bo nie powiedziałem mu, które to ranczo, kochanie, a tam jest całe mnóstwo rancz.

– Ale z ciebie czort! – Dźgnęła go pod żebro.

– W miłości i na wojnie wszystkie chwytaki są dozwolone! Nie mogłem przecież pozwolić, by mój kuzyn stanął mi na drodze do szczęścia. Nie chciałem go w moim domu, dopóki nie będziesz moja.

– Nie byłeś chyba zazdrosny?

– O ciebie byłem, jestem i będę zawsze zazdrosny – przyznał, bawiąc się kosmykiem jej włosów. – Byłaś moja, nie mogłem dopuścić do tego, żeby mi cię odebrał. Ale nic się nie martw, zapewne wkrótce zorientuje się w sytuacji.

– Może nie powinnam pytać, ale... w czym się zorientuje?

– Że ten byk, który jest obiektem jego pożądania, cały czas jest na moim ranczu.

– I jak mu to zamierzasz wyjaśnić?

– Ach, nie wiem jeszcze, to bez znaczenia, powiem na przykład, że mnie źle zrozumiał. Poza tym nie sądził, że traktuję cię poważnie... Zdziwi się, że się dał tak wystrychnąć na dudka.

Chciała zaprotestować, ale zanim zdążyła coś powiedzieć, przeturlał ją po ogromnym łożu, całując do utraty tchu. Zamknęła więc oczy, odwzajemniając pocałunki. O szybę okna uderzały leciutko krople deszczu i Marianne pomyślała, że jeszcze nigdy w życiu nie słyszała słodszej i bardziej urokliwej miłosnej piosenki. Deszczowa piosenka...

TTLR